

Roger Zelazny

REKA  
OBERONA



**Roger Zelazny**

**Ręka Oberona**

# Rozdział 1

---

Rozbłysk zrozumienia, jak blask tego niezwykłego słońca...

Oto było... W jasnym świetle dnia coś, co do tej pory oglądałem jedynie w półmroku rozjaśnianym jego własnym lśnieniem: Wzorzec, wielki Wzorzec Amberu na owalnej płaszczyźnie pod; nad przedziwnym niebo – morzem.

...I wiedziałem, może dzięki temu, co istnieje we mnie i co wiąże nas wszystkich, że to właśnie musi być prawdziwy Wzorzec. A to znaczy, że ten w Amberze jest tylko jego pierwszym cieniem. Zatem...

Zatem sam Amber jest tylko Cieniem, ale wyjątkowym, gdyż Wzorzec nie sięga do miejsc poza obszarem jego, Rebmy i Tir-na Nog'th. A więc region, gdzie przybyliśmy, musi być, prawem pierwszeństwa i konfiguracji, prawdziwym Amberem.

Spojrzałem na uśmiechniętego Ganelona, z brodą i zwichrzonymi włosami stapianymi w jedno przez bezlitosny blask.

– Skąd wiedziałeś?

– Wiesz, Corwinie, że potrafię zgadywać – odparł. – Pamiętam wszystko, co mówiłeś o Amberze, i jak padają na wszystkie światy cienie miasta i waszych konfliktów. Często się zastanawiałem, myśląc o czarnej drodze, czy coś mogłoby rzucić taki cień na sam Amber. I doszedłem do wniosku, że musi to być coś niezwykle potężnego, fundamentalnego i ukrytego – skinął na obraz przed nami. – Tak jak to.

– Mów dalej – poprosiłem.

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Musi więc istnieć warstwa rzeczywistości głębsza niż Amber – stwierdził. – I tam wykonano brudną robotę. Zwierzę, które jest waszym patronem, doprowadziło nas chyba do takiego właśnie miejsca. A ta plama na Wzorcu to efekt brudnej roboty. Zgodzisz się chyba?

Przytaknąłem.

– To raczej twoja spostrzegawczość mnie zaskoczyła, nie sama konkluzja – wyjaśniłem.

– Nie jestem taki szybki – wyznał Random, stojący po prawej stronie. – Ale to wrażenie dotarło jakoś do moich trzewi, delikatnie rzecz ujmując. Wierzę, że to, co tu widzimy, w jakiś sposób tworzy fundament naszego świata.

– Ktoś z zewnątrz potrafi czasem lepiej ocenić fakty niż ten, kto jest ich częścią – wtrącił Ganelon.

Random spojrzał najpierw na mnie, potem w dół.

– Myślisz, że coś jeszcze ulegnie zmianie? – zapytał. – Gdybyśmy tak zjechali i przyjrzeliby się temu z bliska?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparłem.

– W takim razie gęsiego. Ja pierwszy.

– Zgoda.

Random prowadził wierzchowca w prawo, w lewo, znów w prawo, długą serią zwrotów, które wiodły nas od brzegu do brzegu urwiska. Zgodnie z porządkiem, jakiego przestrzegaliśmy przez cały dzień, jechałem tuż za nim, a Ganelon zamykał szyk.

– Wygląda na ustabilizowany! – krzyknął przez ramię Random.

– Na razie – mruknąłem.

– Jest jakiś otwór w skałach pod nami.

Wychyliłem się. Po prawej stronie, na poziomie płaszczyzny owalu, dostrzegłem wejście do jaskini. Nie było widoczne z naszej poprzedniej, wyższej pozycji.

– Przejedziemy całkiem blisko – stwierdziłem.

– Pospiesznie, czujnie i bezgłośnie – dodał Random i dobył miecza.

Wyjąłem Grayswandira, a jeden zakręt nade mną Ganelon postąpił podobnie.

Nie minęliśmy wejścia do jaskini, gdyż wcześniej ponownie skręciliśmy w lewo. Przejechaliśmy jednak w odległości czterech, może pięciu metrów i poczułem nieprzyjemny zapach, którego nie potrafiłem zdefiniować.

Konie chyba lepiej sobie z tym poradziły albo były pesymistami z natury, ponieważ położyły płaską uszy, rozdeły nozdrza i prychały lękliwie, szarpiąc uzdy.

Uspokoily się natychmiast, gdy tylko ponownie zaczęliśmy się oddalać. Nie sprawiały problemów aż do chwili, gdy zakończyliśmy zjazd i próbowaliśmy zbliżyć się do uszkodzonego Wzorca. Tu zaprotestowały zdecydowanie.

Random zeskoczył z siodła. Stał na krawędzi owalu i patrzył. Po chwili odezwał się, nie odwracając głowy.

– Z tego, co wiemy, uszkodzenia dokonano świadomie.

– Na to wychodzi – przyznałem.

– Jest więc oczywiste, że sprowadzono nas tu w pewnym celu.

– Zgadza się.

– Nie trzeba nadweręzać umysłu, by dojść do wniosku, że celem tym jest stwierdzenie, w jaki sposób uszkodzono Wzorzec i co możemy zrobić, by go naprawić.

– Możliwe. Masz jakiś pomysł?

– Jeszcze nie.

Ruszył brzegiem figury w prawo, do miejsca, gdzie zaczynała się ciemna smuga. Schowałem miecz i chciałem zsiąść z konia, gdy Ganelon chwycił mnie za ramię.

– Sam mogę... – zacząłem, ale przerwał mi.

– Corwinie, dostrzegam chyba drobną nieregularność w pobliżu środka Wzorca. Nie sądzę, by należała...

– Gdzie?

Wyciągnął rękę, a ja spojrzałem w stronę, którą wskazywał.

Tuż obok centrum istotnie leżał jakiś obcy obiekt. Patyk? Kamień? świstek papieru? Trudno powiedzieć z tej odległości.

– Widzę – powiedziałem.

Zsiadliśmy z koni i poszliśmy za Randomem, który przykucnął na prawym krańcu figury i badał przebarwioną plamę.

– Ganelon dostrzegł coś, niedaleko środka – oznajmiłem.

Skinął głową.

– Też zauważyłem. Zastanawiam się, jak tam dotrzeć. Nie podoba mi się idea przejścia uszkodzonego Wzorca. Z drugiej strony nie wiem, czy nie odsłonię się zupełnie, jeśli pójdę po tym zaczernionym pasie. Jak sądzisz?

– Przejście po tym, co zostało z Wzorca, zajmie sporo czasu – zauważyłem. – O ile stawia opór zbliżony do tego, który mamy w domu. Uczono nas, że zejście z trasy to śmierć. A ten układ zmusza cię do zejścia, gdy dotrzesz do plamy. Z drugiej strony, jak powiedziałaś, przejście po plamie może zaalarmować naszych wrogów. Zatem...

– Zatem żaden z was tego nie robi – przerwał Ganelon. – A ja tak.

I nie czekając na odpowiedź, jednym skokiem znalazł się w ciemnym sektorze, pomknął do środka, zatrzymał się na moment, by podnieść tajemniczy przedmiot, po czym zawrócił i pobiegł z powrotem.

Po chwili stał już przy nas.

– Ryzykowne posunięcie – ocenił Random.

Ganelon kiwnął głową.

– Ale gdybym tego nie zrobił, nadal byście się naradzali – stwierdził wyciągając rękę. – Co o tym myślicie?

W dłoni trzymał szeptet, wbity w prostokąt zaplamionego kartonu. Wziąłem oba przedmioty.

– Wygląda jak Atut – stwierdził Random.

– Owszem.

Zdjąłem kartę z ostrza, wygładziłem rozdarcia. Człowiek, którego portret oglądałem, wyglądał na wpół znajomo – czyli, naturalnie, był także na wpół obcy. Jasne, proste włosy, nieco ostre rysy, lekki uśmiech, drobna budowa.

– Nie znam go – pokręciłem głową.

– Pokaż.

Random wziął ode mnie kartę, zmarszczył czoło.

– Nie – stwierdził po chwili. – Ja też nie. Mam wrażenie, że powinienem, ale... Nie.

W tej chwili konie znowu zaczęły się skarżyć, o wiele głośniejszym niż poprzednio. Wystarczyło obejrzeć się lekko, by odkryć Źródło ich niepokoju, jako że właśnie wynurzyło się z jaskini.

– Niech to diabli – mruknął Random.

Zgodziłem się z nim.

Ganelon przełknął ślinę i dobył miecza.

– Ktoś wie, co to jest? – spytał cicho.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że stwór jest podobny do węża, ze sposobu poruszania się, jak i z powodu długiego, grubego ogona, który wydawał się raczej przedłużeniem długiego, chudego tułowia niż zwykłym przydatkiem. Zwierzak miał jednak cztery nogi o dwóch stawach, z wielkimi łapami uzbrojonymi w szpony. Wąska głowa z ostrym dziobem kołysała się na obie strony, gdy szedł ku nam, ukazując raz jedno, raz drugie bladoniebieskie oko. Wielkie skrzydła, fioletowe i skórzaste, przylegały do boków. Nie miał sierści ani piór, za to dostrzegłem łuski okrywające pierś, barki, grzbiet i górną część ogona. Od dzioba po czubek ogona miał trochę powyżej trzech metrów. Idąc dźwięczał cicho i dostrzegłem błysk czegoś jasnego na jego szyi.

– Najbardziej przypomina heraldyczną bestię, gryfa – stwierdził Random. – Tyle że ten jest łysy i fioletowy.

– Zdecydowanie dziwny ptaszek – dodałem, sięgając po Grayswandira i kierując klingę ku głowie potwora.

Zwierzak wysunął czerwony, rozwidlony język. Skrzydła uniosły się nieznacznie i opadły. Kiedy przesunął głowę w prawo, ogon wędrował w lewo, potem w lewo i w prawo, prawo i lewo... wywierając hipnotyczne niemal wrażenie.

Zdawało się, że bardziej interesują go konie niż my, ponieważ omijał nas z daleka, zmierzając w stronę, gdzie stały drżące, przerażone wierzchowce. Przesunąłem się, by zastąpić mu drogę.

Wtedy stanął dęba.

Skrzydła uniosły się w górę i rozpostarły niby dwa sflaczałe żagle wydęte nagłym podmuchem wiatru. Stojąc na tylnych nogach górował nad nami, jakby urósł przynajmniej czterokrotnie. I wrzasnął: przeraźliwy krzyk, zew łowcy lub wyzwanie, po którym dzwoniło mi w uszach. Po czym machnął tymi skrzydłami w dół i skoczył, na chwilę unosząc się w powietrze.

Konie zerwały się do ucieczki. Potwór był poza naszym zasięgiem. Dopiero teraz zrozumiałem, co oznaczał błysk na szyi i dzwonienie: był przywiązany na długim łańcuchu, biegnącym do jaskini. Dokładna długość tej smyczy natychmiast stała się przedmiotem więcej niż akademickiego zainteresowania.

Stwór obrócił się w powietrzu sycząc i machając skrzydłami. Spadł za nami. Nie miał dostatecznego rozpędu, by w tym krótkim wysoku przejść w prawdziwy lot. Gwiazda i Świetlik cofały się na przeciwny koniec owalu. Za to Iago, koń Randoma, odskoczył w kierunku Wzorca.

Potwór znów stanął na ziemi, zrobił ruch, jakby zamierzał ścigać Iago, przyjrzał się nam raz jeszcze i znieruchomiał. Stał o wiele bliżej – niecałe cztery metry od nas. Przechylił głowę, ukazując prawe oko, potem otworzył dziób i zagruchał cicho.

– Może spróbujemy zaatakować? – zaproponował Random.

– Nie. Czekaj. W jego zachowaniu jest coś dziwnego.

Kiedy mówiłem, opuścił łeb i rozłożył skrzydła ku dołowi. Trzy razy stuknął dziobem o ziemię i znowu popatrzył na nas. Potem podciągnął skrzydła do tułowia. Ogon zadrżał i zakołysał się dziarsko z boku na bok. Stwór otworzył dziób i zagruchał jeszcze raz.

W tej właśnie chwili coś odwróciło naszą uwagę. Iago wbiegł na Wzorzec, spory kawałek od czarnego obszaru. Pięć czy sześć metrów od krawędzi, przecinając linie mocy, stał uwięziony w pobliżu jednego z punktów Zasłon niby mucha na kawałku lepu. Zarżał głośno, gdy strzeliły iskry, a grzywa uniosła się i stanęła sztorcem.

Natychmiast nad naszymi głowami pociemniało niebo. Ale to nie chmura pary wodnej zaczynała się kondensować. Pojawiło się coś w rodzaju idealnie okrągłego tworu, czerwonego w środku, żółtego na brzegach, wirującego w kierunku ruchu wskazówek zegara. Rozległ się dźwięk podobny do pojedynczego uderzenia dzwonu, a po nim w uszy uderzył przerażający ryk.

Iago walczył. Uwolnił prawą przednią nogę i natychmiast wplątał ją na powrót, usiłując wyrwać lewą. Rżał dziko. Iskry sięgały już jego grzbietu. Strząsał je z boków i szyi niby krople deszczu, a jego sylwetka lśniła delikatnym, żółtym blaskiem.

Ryk stał się głośniejszy. W centrum czerwonego tworu na niebie pojawiły się niewielkie błyskawice. Wtedy dosłyszałem dzwonienie. Spojrzałem w dół: fioletowy gryf wyminął nas i stanął tak, by nas osłaniać przed hałaśliwym, czerwonym zjawiskiem. Przykucnął jak maskaron na dachu i odwrócony tyłem obserwował spektakl.

Iago uwolnił obie przednie nogi i stanął dęba. Było w nim już coś nierzeczywistego, coś w jego blasku, w roziskrzonej, nieostrej sylwetce. Może wtedy zarżał, ale wszystkie dźwięki pochłaniał ogłuszający ryk z góry.

Z hałaśliwego tworu wysunął się lej – jasny, migotliwy, wyjący głośno i nieprawdopodobnie szybki. Dotknął stojącego dęba konia i w ciągu sekundy sylwetka Iago rozrosła się do ogromnych rozmiarów, równocześnie tracąc ostrość w bezpośredniej proporcji do wzrostu.

Po czym zniknęła. Przez krótką chwilę lej pozostał nieruchomy niby stożek w idealnej równowadze. Huk zaczął przycichać. Lej uniosł się na niewielką wysokość – może na wzrost człowieka – ponad Wzorzec, potem strzelił w górę z taką samą szybkością, z jaką uprzednio sięgnął w dół.

Wycie ucichło. Ryk także był coraz cichszy. Miniaturowe błyskawice niknęły wewnątrz kręgu. Cała formacja bladła i zwalniała obroty, by po chwili stać się jedynie strzępem ciemności. Jeszcze chwila i zniknęła. Po Iago nie został nawet ślad.

– Nie pytaj – powiedziałem, gdy Random obejrzał się na mnie. – Też nie wiem.

Skinął głową, po czym spojrzał na naszego fioletowego towarzysza, który akurat pobrzękiwał

łańcuchem.

– Co zrobimy z tym maluchem? – spytał, gładząc klingę.

– Mam niejasne wrażenie, że próbował nas chronić – wysunąłem się do przodu. – Osłaniaj mnie.

Chcę coś sprawdzić.

– Jesteś pewien, że potrafisz dostatecznie szybko biegać? – zapytał. – Z tą raną...

– Nie przejmuj się – odparłem, odrobinę bardziej beztrusko, niż było to konieczne. Podszedłem bliżej.

Miał rację co do rany, która wciąż wywoływała tępy ból w lewym boku i hamowała ruchy. Lecz w prawej ręce trzymałem Grayswandira, a w dodatku odczuwałem wzrost poziomu zaufania do własnych instynktów. W przeszłości kilkakrotnie zawierzyłem temu uczuciu, z niezłymi wynikami. Bywały chwile, gdy takie ryzyko wydawało się rzeczą najbardziej odpowiednią.

Random przeszedł do przodu, na prawą stronę.

Obróciłem się wyciągając lewą rękę, powoli, jakbym się starał zawrzeć znajomość z obcym psem. Nasz heraldyczny przyjaciel wyprostował się i zaczął wolno odwracać.

Stanął przodem do nas i spojrzał na Ganelona. Potem zajął się moją ręką. Opuścił głowę, powtórzył operację uderzania o ziemię, zagruchał bardzo cicho, wydając delikatny, bulgocący odgłos, po czym uniósł głowę i czujnie wyciągnął szyję. Machnął potężnym ogonem, dotknął dziobem moich palców, potem jeszcze raz odegrał cały spektakl. Ostrożnie położyłem mu dłoń na głowie. Ogon poruszył się żywiej, łeb pozostał nieruchomy. Podrapałem go lekko w kark, a on przesunął trochę głowę, jakby odczuwał rozkosz. Cofnąłem rękę i odstaپیłem o krok.

– Zaprzyjaźniliśmy się – powiedziałem. – Teraz ty spróbuj, Random.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Uważam, że nic ci nie grozi. Spróbuj.

– A co zrobisz, jeśli się pomyliłeś?

– Przepraszę.

– Dzięki.

Podszedł, wyciągając rękę. Bestia nadal zachowywała się przyjaźnie.

– No, dobra – stwierdził pół minuty Później, nadal drapiąc ją po karku. – Czego to dowodzi?

– Że to pies łańcuchowy.

– A czego pilnuje?

– Najwyraźniej Wzorca.

– Trudno się oprzeć wrażeniu – Random cofnął się nieco – że niezbyt dokładnie wykonuje swoje obowiązki – skinął na czarną plamę. – Co rozumiałe, jeśli jest taki przyjazny wobec każdego, kto nie je owsa i nie rży.

– Zgaduję, że dobiera sobie znajomych. Możliwe też, że umieszczono go tutaj, kiedy nastąpiło uszkodzenie. Żeby nie dopuścił do dalszych niepożądanych działań.

– Kto go tu zostawił?

– Sam chciałbym wiedzieć. Chyba ktoś, kto stoi po naszej stronie.

– Możemy sprawdzić twoją teorię. Niech Ganelon do niego podejdzie.

Ganelon nie drgnął.

– Może macie jakiś rodzinny zapach – oświadczył po chwili. – A on lubi wyłącznie Amberyków.

Tak że raczej zrezygnuję.

– Jak chcesz. Sprawa nie jest aż tak ważna. Jak dotąd, twoje domysły się sprawdzały. Co powiesz o tym wszystkim?

– Z dwóch grup walczących o tron – odparł – ta złożona z Branda, Fiony i Bleysa była, jak sam

stwierdziłeś, bardziej świadoma natury sił działających wokół Amberu. Brand nie zdradził szczegółów, chyba że pominąłeś jakieś wspomniane przez niego fakty. Mimo to sędzę, że to uszkodzenie Wzorca reprezentuje środki, dzięki którym ich sojusznicy zagwarantowali sobie wejście do waszej dziedziny. Jedno z nich, może więcej niż jedno, dokonało zniszczenia, otwierającego mroczny szlak. Jeśli ten pies łańcuchowy reaguje na rodzinny zapach czy coś innego, co was identyfikuje i co wszyscy posiadacie, mógł tu przebywać przez cały czas i nie dostrzec potrzeby atakowania niszczycieli.

– To możliwe – przyznał Random. – Domyślasz się, jak tego dokonali?

– Może i tak – stwierdził. – Jeśli chcecie, mogę zademonstrować.

– Czego ci potrzeba?

– Chodźcie – odwrócił się i podszedł do brzegu Wzorca.

Ruszyłem za nim. Random także. Łańcuchowy gryf człapał obok.

Ganelon obejrzał się i wyciągnął rękę.

– Corwinie, mogę prosić o ten sztylet, który znalazłem?

– Oczywiście. – Wyjąłem go zza pasa.

– Ponawiam pytanie: czego ci potrzeba?

– Krwi Amberu – oświadczył Ganelon.

– Nie jestem pewien, czy podoba mi się ten pomysł.

– Wystarczy, że ukłujesz się w palec – zapewnił, podając sztylet. – Tak, żeby kropla krwi upadła na Wzorzec.

– Co się stanie?

– Spróbuj. Zobaczymy.

Random spojrział na mnie.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Próbuj. Przekonajmy się. To ciekawe.

– W porządku – skinął głową.

Wziął od Ganelona sztylet, nakłuł czubek małego palca lewej ręki, potem ścisnął go nad Wzorcem. Maleńka, czerwona kropka pojawiła się na skórze, urosła, zadrżała i spadła.

Z punktu, gdzie padła kropla krwi, uniosła się smuga dymu. Usłyszeliśmy cichy trzask.

– Niech mnie diabli! – mruknął Random, wyraźnie zafascynowany.

Na Wzorcu pojawiła się niewielka plamka, rosnąca stopniowo do rozmiarów półdolarówki.

– No i macie – stwierdził Ganelon. – W ten sposób tego dokonali.

Istotnie, plamka była miniaturowym odpowiednikiem rozległej smugi po prawej stronie. Gryf wrzasnął przenikliwie i odskoczył, niespokojnie mierzając nas wzrokiem.

– Spokojnie, mały. Spokojnie – pogłaskałem go.

– Ale co mogło spowodować tak duże... – zaczął Random. Potem wolno kiwnął głową.

– Rzeczywiście, co? – powtórzył Ganelon. – W miejscu, gdzie zginął twój koń, nie ma nawet śladu.

– Krew Amberu – odparł Random. – Twoja intuicja pracuje dziś na najwyższych obrotach.

– Niech Corwin opowie ci o Lorraine, krainie, gdzie żyłem przez długi czas – wyjaśnił Ganelon. – Krainie, gdzie rósł ciemny krąg. Jestem wyczulony na działanie tych sił, choć wtedy doświadczałem go tylko z daleka. Każdy fakt, jaki dzięki wam poznawałem, rozjaśniał całą sprawę. Tak, mam intuicję. Zwłaszcza teraz, kiedy wiem więcej o rezultatach ich działań. Spytaj Corwina o rozsądek jego generała.

– Corwinie – poprosił Random. – Daj mi ten przebity Atut.



Wyjąłem kartę z kieszeni i wygładziłem starannie.

Ciemne plamy wyglądały teraz bardziej złowroźnie. Zauważyłem jeszcze coś. Niemożliwe, by portret był dziełem Dworkina, mędrca, maga, artysty, niegdyś wychowawcy dzieci Oberona. Aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy, by jeszcze ktoś potrafił stworzyć Atut. Styl malarstwa wydawał się jakoś znajomy, lecz nie był to jego styl. Gdzie mogłem widzieć te precyzyjne linie, mniej spontaniczne niż u mistrza, jak gdyby każdy ruch został całkowicie zintelektualizowany, zanim jeszcze pióro dotknęło papieru? Coś jeszcze się nie zgadzało: stopień idealizacji, na innym poziomie niż nasze Atuty, jakby autor nie posługiwał się żywym modelem, a raczej dawnymi wspomnieniami, pamięcią i opisem.

– Atut, Corwinie. Jeśli można prosić – powtórzył Random.

Coś w jego tonie sprawiło, że się zawahałem. Coś, co stwarzało wrażenie, że wyprzedza mnie o krok w jakiejś istotnej kwestii, a to uczucie wcale mi się nie podobało.

– Dla ciebie głaskałem tego brzydala, Corwinie, i przelewałem krew dla sprawy. Więc daj.

Wręczyłem mu kartę. Mój niepokój narastał, gdy ze zmarszczonym czołem studiował rysunek. Dlaczego nagle ja byłem tym tępym? Czy noc w Tir-na Nog'th spowalnia procesy mózgowie? Czemu...

Random zaczął przeklinać. Łańcuch bluźnierstw był nieporównywalny z niczym, co słyszałem w swojej długiej wojskowej karierze.

– O co chodzi? – spytałem. – Nie rozumiem.

– Krew Amberu – powiedział wreszcie. – Ktokolwiek to zrobił, najpierw przeszedł Wzorzec. Potem, stojąc w centrum, połączył się z nim poprzez Atut. Kiedy on odpowiedział, kiedy nastąpił trwały kontakt, uderzył go sztyletem. Krew spłynęła na Wzorzec, niszcząc jego część, tak jak przed chwilą moja.

Zamilkł na okres kilku głębokich oddechów.

– To pachnie rytuałem.

– Przeklęte rytuały! Niech diabli wezmą je wszystkie! Jedno z nich umrze, Corwinie. Zabiję go... albo ją.

– Nadal nie...

– Jestem głupcem – oświadczył. – Powinienem dostrzec to od razu. Patrz! Patrz uważnie!

Podstawił mi pod nos przebity Atut. Patrzyłem. I wciąż nic nie widziałem.

– A teraz spójrz na mnie! Przyjrzyj się!

Spojrzałem. A potem znowu na kartę. Pojąłem, o co mu chodzi.

– Byłem dla niego nikiem, jedynie szeptem życia w ciemności. Ale oni wykorzystali mojego syna – rzekł. – To musi być portret Martina.

## Rozdział 2

---

Stojąc tam, obok przełamanego Wzorca, studiując portret człowieka, który mógł, ale nie musiał, być synem Randoma, mógł, ale nie musiał zginąć od ciosu zadanego z punktu wewnątrz Wzorca, cofnąłem się w myślach daleko, by błyskawicznie odtworzyć wydarzenia, które doprowadziły mnie do tego miejsca niezwykłych objawień. Poznałem ostatnio tak wiele spraw, że wypadki kilku minionych lat zdawały się tworzyć niemal inną historię niż wtedy, gdy je przeżywałem. Teraz nowa hipoteza i kilka implikowanych przez nią teorii po raz kolejny zmieniły perspektywę.

Kiedy przebudziłem się w Greenwood, prywatnej klinice na przedmieściach Nowego Jorku, nie pamiętałem nawet własnego imienia. Spędziłem tam dwa absolutnie puste tygodnie po wypadku. Dopiero niedawno uzyskałem informację, że wypadek został zaaranżowany przez mojego brata, Bleysa, natychmiast po mojej ucieczce ze szpitala dla psychicznie chorych w Albany. Tę historię opowiedział mi mój drugi brat, Brand, który, posługując się sfałszowanym oświadczeniem psychiatry, sam wpakował mnie do kliniki Portera. W szpitalu poddano mnie terapii elektrowstrząsowej, której efekty były dość niejednoznaczne, ale prawdopodobnie przywróciły część wspomnień. Najwyraźniej przeraziło to Bleysa tak bardzo, że kiedy uciekłem, spróbował zamachu: przestrzelił mi opony, kiedy wjechałem w zakręt powyżej jeziora. Bez wątpienia poniósłbym śmierć, gdyby Brand nie obserwował Bleysa i nie postanowił bronić swojej polisy ubezpieczeniowej, czyli mnie. Powiedział, że zawiadomił policję, wyciągnął mnie z jeziora i udzielał pierwszej pomocy do chwili, gdy zjawiły się gliny. Wkrótce potem schwytali go dawni wspólnicy – Bleys i nasza siostra, Fiona – by uwięzić w strzeżonej wieży w dalekim obszarze Cienia.

Istniały dwie grupy, które spiskowały i intrygowały w celu zdobycia tronu. Następowały sobie na pięty i używały wszystkiego, co tylko nadawało się do użycia na odległość. Nasz brat Eryk, wspierany przez Juliana i Caine'a, szykował się do przejęcia tronu, od dawna pustego z powodu nie wyjaśnionej nieobecności naszego ojca, Oberona. to znaczy: nie wyjaśnionej dla Eryka, Juliana i Caine'a. Druga grupa, złożona z Bleysa, Fiony i – początkowo – Branda, znała jej powody, gdyż sama była odpowiedzialna za zniknięcie taty. Zaaranżowali całą sytuację, by otworzyć Bleysowi drogę do korony. Brand jednak popełnił błąd taktyczny i spróbował pozyskać Caine'a, który z kolei uznał, że lepiej wyjdzie na trzymaniu się Eryka. W rezultacie Brand znalazł się pod ścisłą obserwacją, choć imiona jego wspólników pozostały nieznane. Mniej więcej w tym czasie Bleys i Fiona postanowili wykorzystać przeciw Erykowi tajnych sprzymierzeńców. Brand protestował w obawie przed potęgą obcych sił, lecz partnerzy odsunęli go od decyzji. Wszyscy byli przeciw niemu. Zdecydował więc, że może do reszty zakłócić równowagę i wyruszył do cienia – Ziemi, gdzie całe wieki wcześniej Eryk porzucił mnie na śmierć. Dopiero potem dowiedział się, że nie zginąłem, lecz doznałem całkowitej amnezji, co zadowalało go niemal w równym stopniu. Poprosił siostrę Florę, by miała na mnie oko, i sądził, że to koniec całej sprawy. Brand wyjaśnił później, że umieszczenie mnie u Portera było desperacką próbą przywrócenia mi pamięci przed powrotem do Amberu.

Gdy Fiona i Bleys zajmowali się Brandem, Eryk utrzymywał stały kontakt z Florą. To ona zorganizowała przejazd do Greenwood ze szpitala, gdzie umieściła mnie policja. Udzieliła lekarzom instrukcji, by utrzymywali mnie pod wpływem narkotyków. Eryk tymczasem szykował wszystko do swojej koronacji w Amberze. Wkrótce potem idylliczny żywot naszego brata Randoma w Texorami uległ nagłemu zakłóceniu, gdy Brand przesłał mu wiadomość poza normalnymi kanałami komunikacyjnymi rodziny, czyli Atutami. Prosił o pomoc. Kiedy szczęśliwie nie uczestniczący w

walce o władzę Random zajął się sprawą, ja zdołałem opuścić Greenwood, choć nadał właściwie bez wspomnień. Wydobywszy od przerażonego dyrektora kliniki adres Flory, udałem się do jej mieszkania w Westchester, wykonałem kilka artystycznych bluffów i wprowadziłem się jako przyjaciel domu. Random miał mniej szczęścia w swojej wyprawie ratunkowej. Zabił węzowego strażnika wieży, ale musiał uciekać przed jej wewnętrznymi dozorcami. Wykorzystał w tym celu miejscowe, dziwnie mobilne skały. Dozorcy, grupa twardych, nie do końca człekopodobnych facetów, ścigali go poprzez Ciebie, co jest wyczynem nieosiągalnym dla większości nie-Amberytów. Random uciekł do cienia-Ziemi, gdzie ja prowadziłem Florę ścieżkami nieporozumień, usiłując wyjaśnić jakoś swoją sytuację.

Uzyskawszy zapewnienie, że znajdzie się pod moją ochroną, Random przejechał przez cały kontynent wierząc, że jego prześladowcy właśnie mnie służą. Gdy pomogłem ich zlikwidować, był zaskoczony, lecz nie chciał omawiać tej sprawy w chwili, gdy planowałem jakiś własny ruch w stronę tronu. Co więcej, łatwo dał się przekonać, by doprowadzić mnie poprzez Ciebie do Amberu.

Podróż była pod pewnymi względami dobroczynna, choć pod innymi o wiele mniej satysfakcjonująca. Gdy wyjawilem w końcu rzeczywisty obraz sprawy, Random wraz z naszą spotkaną po drodze siostrą Deirdre doprowadzili mnie do lustrzanego odbicia Amberu, miasta Rebma pod powierzchnią morza. Tam przeszedłem obraz Wzorca i odzyskałem wspomnienia, przy okazji rozwiązując problem, czy jestem prawdziwym Corwinem czy tylko jednym z jego cieni. Wykorzystując moc Wzorca dokonałem natychmiastowego przeskoku z Rebmy do domu, do Amberu. Po stoczeniu nie rozstrzygniętego pojedynku z Erykiem uciekłem przez Atut w ramiona mojego ukochanego brata i niedoszłego zabójcy, Bleysa.

Razem z Bleysem dokonaliśmy szturm na Amber, który źle rozegrany, doprowadził do klęski. Bleys zniknął w końcowym starciu, w okolicznościach, które powinny okazać się tragiczne, ale – kiedy dowiedziałem się więcej na ten temat – zapewne takimi nie były. Ja pozostałem jako jeniec Eryka i przymusowy gość podczas ceremonii koronacji, po której brat kazał mnie oślepić i uwięzić. Kilka lat w lochach Amberu doprowadziło do regeneracji źrenic, wprost proporcjonalnie do pogorszenia stanu umysłu. Jedynie przypadkowe spotkanie dawnego doradcy taty, Dworkina, jeszcze bardziej szalonego, ukazało mi drogę ucieczki.

Potem wracałem do zdrowia. Postanowiłem, że będę bardziej rozważny, gdy następnym razem wyruszę przeciw Erykowi.

Powędrowałem przez Ciebie do krainy, gdzie kiedyś rządziłem – do Avalonu. Zamierzałem zdobyć tam substancję, o której wiedziałem jako jedyny spośród Amberytów – środek chemiczny unikalny ze względu na wybuchowość, którą zyskiwał w Amberze.

Przejeżdżając po drodze przez krainę Lorraine, spotkałem mojego dawnego, wygnanego z Avalonu generała, Ganelona, a w każdym razie kogoś bardzo podobnego. Zostałem tam z powodu ранego rycerza, dziewczyny i pewnego groźnego zjawiska, dziwnie przypominającego coś, co występowało w pobliżu samego Amberu. Był to rosnący czarny krąg, związany jakoś z czarną drogą, z której korzystali nasi wrogowie. Czuję się za nią w pewnym stopniu odpowiedzialny, a to ze względu na klątwę, jaką rzuciłem podczas zabiegu oślepienia. Wygrałem bitwę, straciłem dziewczynę i ruszyłem do Avalonu z Ganelonem.

Avalon, do którego dotarliśmy, był – jak się szybko przekonałem – pod ochroną mojego brata Benedykta, który miał własne problemy z sytuacją pokrewną zapewne czarnemu kręgowi/czarnej drodze. W decydującej bitwie Benedykt stracił prawą rękę, ale zwyciężył piekielne amazonki. Doradził, bym zachował czyste intencje wobec Eryka i Amberu, po czym udzielił nam gościny w swej posiadłości. Sam pozostał jeszcze przez kilka dni na polu bitwy. To w jego domu poznałem

Darę.

Dara twierdziła, że jest prawnuczką Benedykta, który ukrywa jej istnienie przed rodziną. Wyciągnęła ze mnie możliwie dużo wiadomości o Amberze, Wzorcu, Atutach i naszej zdolności chodzenia przez Ciebie. Była również znakomitym szermierzem. Przeżyliśmy ulotny romans, zaraz po moim powrocie z piekielnego rajdu do miejsca, skąd przywiozłem odpowiednią ilość surowych diamentów, by zapłacić za środki niezbędne mi w ataku na Amber. Następnego dnia zabraliśmy z Ganelonem zapas chemikaliów i odjechaliśmy do cienia-Ziemi, gdzie spędziłem swoje wygnanie. Tam zamierzałem zdobyć broń automatyczną i specjalną amunicję, wyprodukowaną według moich wskazówek.

Na szlaku mieliśmy pewne problemy z czarną drogą, która najwyraźniej rozszerzyła zakres oddziaływania na światy Cienia. Poradziliśmy sobie jakoś, ale z trudem uniknąłem śmierci w pojedynku z Benedyktem, ścigającym nas w tym dzikim piekielnym rajdzie. Zbyt wściekły, by dyskutować, natarł na mnie w niewielkim zagajniku – wciąż lepszy ode mnie, choć walczył lewą ręką. Zdołałem go pokonać jedynie dzięki pewnej sztuczce, w której wykorzystałem nie znaną mu właściwość czarnej drogi. Byłem przekonany, że pożąda mej krwi z powodu miłości z Darą. Ale nie. W kilku słowach, jakie zamieniliśmy, wyparł się wiedzy o istnieniu takiej osoby, ścigał nas, gdyż był pewien, że zamordowałem jego służących. Owszem, Ganelon znalazł świeże zwłoki w lasku niedaleko domu Benedykta, ale postanowiliśmy o nich nie wspominać. Nie mieliśmy pojęcia o ich tożsamości ani chęci, by jeszcze bardziej komplikować sobie życie.

Pozostawiwszy Benedykta pod opieką brata Gerarda, wezwanego przez Atut z Amberu, Ganelon i ja dotarliśmy do cienia-Ziemi, kupiliśmy broń, zorganizowaliśmy w Cieniu grupę uderzeniową i ruszyliśmy na Amber. Na miejscu jednak przekonaliśmy się, że jest już atakowany przez stwory nadciągające czarną drogą. Moja nowa broń przechyliła szalę bitwy na korzyść Amberu, a mój brat Eryk zginął w walce. Pozostawił mi swoje problemy, swoją złą wolę i Klejnot Wszechmocy – broń zapewniającą władzę nad pogodą. Użył jej podczas mojej i Bleysa inwazji.

Wtedy właśnie pojawiła się Dara, przemknęła obok nas, wjechała do Amberu, odszukała drogę do Wzorca i rozpoczęła przejście – niezbity dowód, że była z nami jakoś spokrewniona. W trakcie próby jednakże uległa dość niezwykłej fizycznej transformacji. Gdy stanęła w centrum, oznajmiła, że Amber będzie zniszczony. Po czym zniknęła.

Mniej więcej tydzień później został zamordowany nasz brat Caine i to w okolicznościach zaaranżowanych tak, by na mnie padło podejrzenie. Fakt, że zabiłem jego zabójcę, trudno uznać za dostateczny dowód niewinności, jako że zbrodniarz nie był już w stanie złożyć zeznań. Uświadomiłem sobie jednak, że gdzieś już widziałem podobnych do niego osobników: owe stwory, które ścigały Randoma do domu Flory. Dlatego znalazłem wolną chwilę, usiadłem z Randomem i wysłuchałem opowieści o jego nieudanej próbie uwolnienia Branda z wieży.

Kiedy przed laty odszedłem z Rebmy, by zjawić się w Amberze i stoczyć pojedynek z Erykiem, Moire, królowa Rebmy, zmusiła Randoma do ślubu z Vialle, jej damą dworu, piękną i niewidomą dziewczyną. Miała to być kara za to, że dawno temu opuścił ciężarną, nieżyjącą już córkę Moire, Morganthe. Zdążyła urodzić Martina, przedstawionego na Atucie, który Random trzymał teraz w ręku. Co dziwne, najwyraźniej pokochał Vialle. Zamieszkali razem w Amberze.

Opuściłem Randoma, wziąłem Klejnot Wszechmocy i zaniósłem go na dół, do komory Wzorca. Tam postąpiłem zgodnie z niepełnymi instrukcjami Eryka i dostroiłem Klejnot do siebie. Zdołałem opanować jego najprostsze funkcje: kontrolę nad zjawiskami meteorologicznymi. Później przepytalem Florę na temat mego pobytu na wygnaniu. Jej historia brzmiała prawdopodobnie i tłumaczyła znane mi fakty. Miałem wrażenie, że ukrywa jakieś informacje o okresie, w którym

zdarzył się wypadek. Obiecała jednak zidentyfikować zabójcę Caine'a jako osobnika tego samego rodzaju, co ci, z którymi walczyłem razem z Randomem w jej domu w Westchester. Zapewniła mnie także o swoim poparciu we wszystkim, co aktualnie planuję.

Kiedy słuchałem opowieści Randoma, nic jeszcze nie wiedziałem o dwóch frakcjach i ich intrygach. Uznałem więc, że jeśli Brand nadal żyje, ocalenie go jest przedsięwzięciem o najwyższym priorytecie, choćby dlatego, że najwyraźniej dysponował informacjami, które ktoś chciał zachować w tajemnicy. Wymyśliłem sposób realizacji tego zamierzenia, wypróbowanie którego odłożyłem na czas potrzebny, by wraz z Gerardem przywieźć do Amberu ciało Caine'a. Mój brat wykorzystał część tego czasu, by pobić mnie do nieprzytomności – na wszelki wypadek, gdybym zapomniał, że jest do tego zdolny. A także, by dodać wagi obietnicy, że osobiście mnie zabije, gdyby się okazało, że to ja jestem sprawcą aktualnych nieszczęść Amberu. Walka miała niezwykle elitarną widownię: rodzinę przyglądającą się nam przez Atut. Stanowiło to zabezpieczenie na wypadek, gdybym rzeczywiście był winien i ze względu na groźbę powziął zamiar wykreślenia imienia Gerarda z listy żyjących.

Później dotarliśmy do Gaju Jednorożca i dokonaliśmy ekshumacji zwłok Caine'a. Tam też ujrzelśmy przelotnie legendarnego Jednorożca Amberu.

Wieczorem spotkaliśmy się w pałacowej bibliotece. My, to znaczy: Random, Gerard, Benedykt, Julian, Deirdre, Fiona, Flora, Llewella i ja. Przetestowaliśmy mój sposób odszukania Branda. Polegał na równoczesnej próbie dotarcia do niego poprzez Atut. Udało się. Nawiązaliśmy kontakt i szczęśliwie przenieśliśmy naszego brata z powrotem do Amberu. Wśród ogólnego zamieszania, gdy wszyscy tłoczyli się wokół Gerarda, który niósł go na rękach, ktoś umieścił sztylet w boku Branda. Gerard natychmiast ogłosił się lekarzem dyżurnym i wyrzucił nas za drzwi.

Zeszliśmy do salonu, by sobie podogryzać i przedyskutować wypadki. Podczas rozmowy Fiona uprzedziła mnie, że Klejnot Wszechmocy może stanowić zagrożenie, jeśli ktoś nosi go zbyt długo. Sugerowała wręcz, że właśnie Klejnot, nie odniesione rany, był przyczyną zgonu Eryka. Jednym z pierwszych objawów, jej zdaniem, było zakłócenie poczucia czasu: pozorne spowolnienie sekwencji czasowych, będące w rzeczywistości efektem przyspieszenia przemian fizjologicznych. Postanowiłem zachować ostrożność. Fiona dysponowała pewną biegłością w tych sprawach, gdyż swego czasu była pilną uczennicą Dworkina. I chyba miała rację. Być może tego rodzaju efekt zaistniał, kiedy późnym wieczorem wróciłem do swych komnat. W każdym razie miałem wrażenie, że osoba, która próbowała mnie zabić, poruszała się odrobinę wolniej, niż ja bym to czynił w analogicznej sytuacji.

Ostrze trafiło mnie w bok i świat odpłynął. Życie wypływało ze mnie cienką strużką, gdy odzyskałem przytomność w moim dawnym łóżku, w moim dawnym domu, na cieniu-Ziemi, gdzie tak długo żyłem jako Carl Corey. Jak tu wróciłem, nie miałem pojęcia.

Wyczołgałem się na zewnątrz, w śnieżycę, świat wokół mnie istotnie zdawał się zwalniać biegu. Z trudem zachowując świadomość, ukryłem Klejnot Wszechmocy w starej przyźnie kompostu. Potem zdołałem dotrzeć do szosy, by tam spróbować zatrzymać jakiś samochód.

Znalazł mnie przyjaciel i dawny sąsiad, Bill Roth. Odwiózł do najbliższego szpitala, gdzie zostałem opatrzony przez tego samego lekarza, który udzielał mi pomocy przed laty, gdy miałem wypadek. Podejrzewał, że mogę być przypadkiem psychiatrycznym, ponieważ przetrwały świadczące o tym fałszywe dokumenty.

Bill zjawił się trochę później i wyjaśnił kilka kwestii. Był prawnikiem, a kiedy zniknąłem, zainteresował się sprawą i przeprowadził własne śledztwo. Dotarł do podrabianych kart choroby i odkrył moje kolejne ucieczki. Znał nawet ich szczegóły, podobnie jak okoliczności samego wypadku. Wciąż miał wrażenie, że jest we mnie coś niezwykłego, ale zbyt niechętnie się tym nie kłopotał.

Później Random skontaktował się ze mną przez Atut i zawiadomił, że Brand odzyskał przytomność i chce ze mną rozmawiać. Z pomocą Randoma wróciłem więc do Amberu. Odwiedziłem Branda. Od niego właśnie dowiedziałem się o walce o władzę, jaka trwała wokół mnie. Poznałem imiona jej uczestników. Jego opowieść, połączona z informacjami, jakie na cieniu-Ziemi przekazał mi Bill Roth, nareszcie wprowadziła nieco sensu i logiki w wydarzenia ostatnich kilku lat. Brand udzielił także pewnych wskazówek dotyczących natury aktualnego zagrożenia.

Następnego dnia nie robiłem nic. Oficjalnie przygotowywałem się do wizyty w Tir-na Nog'th, w rzeczywistości chciałem zyskać trochę czasu na rekonwalescencję. Jednak decyzja podjęta w tej kwestii musiała być dotrzymana. Nocą odbyłem podróż do miasta na niebie, zobaczyłem niepokojący zbiór znaków i wróżb, być może nie oznaczających niczego, a przy okazji zdobyłem od ducha mego brata, Benedykta, niezwykłą, mechaniczną rękę.

Powróciwszy z powietrznej wycieczki, spożyłem śniadanie w towarzystwie Randoma i Ganelona, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną przez Kolvir do domu. Wolno, zadziwiająco, szlak wokół nas zaczął się zmieniać. Zupełnie jakbyśmy szli przez Cień, co tak blisko Amberu jest wyczynem w zasadzie niemożliwym. Kiedy już doszliśmy do takiego wniosku, próbowaliśmy zmienić kierunek zmian, ale ani Random, ani ja nie mieliśmy wpływu na scenerię. W tej właśnie chwili pojawił się Jednorożec. Zdawało się nam, że chce, byśmy szli za nim. Tak też uczyniliśmy.

Prowadził nas przez kalejdoskopową serię przemian, by wreszcie dotrzeć tutaj, gdzie nas porzucił, pozostawiając własnym decyzjom. A kiedy cała ta seria wydarzeń kłębiła się w mojej głowie, umysł sunął po peryferiach, przeciskał się do przodu, powracał do słów, które właśnie wypowiedział Random. Znowu poczułem, że wyprzedzam go odrobinę. Jak długo potrwa ten stan, trudno przewidzieć, ale pojąłem nagle, że oglądałem już dzieła tej samej ręki, która stworzyła przebity Atut.

Brand często malował, gdy popadał w jeden ze swoich nastrojów melancholii. Przypominałem sobie jego ulubione techniki, gdy przed oczyma przewijały mi się kolejne płótna, które rozjaśniał bądź zaciemniał. W dodatku ta jego kampania sprzed lat, kiedy wszystkich, którzy znali Martina, prosił o wspomnienia i opisy.

Random nie rozpoznał stylu, ale nie byłem pewien, kiedy zacznie się zastanawiać nad celem tego gromadzenia informacji. Nawet jeśli to nie dłoń Branda zadała cios, z pewnością był współnikiem zbrodni, ponieważ dostarczył narzędzie. Dobrze znałem Randoma i wiedziałem, że nie żartuje. Gdy tylko dostrzeże związek, spróbuje zabić Branda. Sprawa stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Wszystko to nie miało żadnego związku z faktem, że Brand prawdopodobnie uratował mi życie. Uznałem, że wyciągając go z tej przeklętej wieży, wyrównałem rachunki. Nie. To nie z wdzięczności ani z sentymentu szukałem sposobów, by wprowadzić Randoma w błąd, a przynajmniej opóźnić jego działania. Chodziło o nagą, surową prawdę: Brand był mi potrzebny. Ratowałem go z powodów nie bardziej altruistycznych niż te, dla których on wyłowił mnie z jeziora. Miał coś, co było mi niezbędne: informację. Zrozumiał to od razu i zaczął ją racjonować – jak składki ubezpieczenia na życie.

– Dostrzegam pewne podobieństwo – przyznałem Randomowi. – I możesz mieć słuszość co do przebiegu wypadków.

– Naturalnie, że mam.

– Ta karta została przebita – zauważyłem.

– Najwyraźniej. Nie bardzo...

– Zatem nie przeszedł przez Atut. Osoba, która to uczyniła, nawiązała kontakt, ale nie zdołała go przekonać, by dokonał przejścia.

– No to co? Kontakt zacieśniał się, a kiedy uzyskał dostateczną trwałość i realność, zadał cios.

Prawdopodobnie zdołał osiągnąć blokadę psychiczną i trzymał Martina, gdy ten krwawił. Dzieciak nie miał chyba doświadczenia z Atutami.

– Może tak, może nie – odparłem. – Llewella i Moire potrafiłyby więcej powiedzieć o tym, czego się nauczył. Ale rzecz w tym, że kontakt mógł zostać zerwany jeszcze przed śmiercią. Jeżeli odziedziczył twoje zdolności regeneracji, może przeżył.

– Może? Nie mam ochoty na domysły. Chcę wiedzieć na pewno.

Zacząłem rozważać pewną kwestię. Sądziłem, że wiem coś, o czym Random nie ma pojęcia, choć moje informacje pochodziły z dość niepewnego źródła. W dodatku wolałem o tym nie mówić, gdyż nie zdołałem przedyskutować całej kwestii z Benedyktem. Z drugiej strony jednak Martin był synem Randoma; wolałem też odwrócić jego uwagę od Branda.

– Randomie, być może mam coś ciekawego – powiedziałem.

– Co?

– Zaraz po zamachu na Branda, kiedy siedzieliśmy wszyscy w salonie... pamiętasz, rozmowa zesłała na temat Martina.

– Owszem. Nie doszliśmy jednak do żadnych wniosków.

– Wiedziałem o czymś, o czym mogłem opowiedzieć, ale powstrzymałem się, ponieważ wszyscy by usłyszeli. A poza tym chciałem najpierw omówić tę sprawę w cztery oczy z osobą, o którą chodziło.

– Z kim?

– Z Benedyktem.

– Benedyktem? Co Benedykt ma wspólnego z Martinem?

– Nie wiem. Dlatego wolałem siedzieć cicho, dopóki się nie przekonam. Zresztą moje źródło informacji było dość dyskusyjne.

– Mów.

– Dara. Benedykt się wścieka, ile razy o niej wspomnę, ale do tej pory potwierdziło się kilka faktów, o których mi mówiła. Choćby podróż Juliana i Gerarda czarną drogą, ich rany i Późniejsza wizyta w Avalonie. Benedykt przyznał, że miały miejsce.

– Co powiedziała o Martinie?

No właśnie. Jak to przedstawić, by nie wskazywać na Branda? Dara mówiła, że Brand parę razy odwiedził Benedykta w Avalonie. Kiedy teraz o tym myślałem, to uwzględniając różnicę czasu między Amberem i Avalonem, wizyty nastąpiły prawdopodobnie w okresie, gdy Brand z takim zacięciem poszukiwał informacji o Martinie. Często się zastanawiałem, co go tam sprowadziło, jako że on i Benedykt nigdy nie byli w szczególnie serdecznych stosunkach.

– Tylko tyle, że Benedykt miał gościa imieniem Martin – skłamałem. – Sądziła, że pochodzi z Amberu.

– Kiedy?

– Dość dawno. Nie wiem dokładnie.

– Czemu nic o tym nie mówiłeś?

– To niezbyt ciekawa wiadomość. Zresztą nigdy specjalnie nie interesowałem się Martinem.

Random spojrzął na gryfa, który przysiadł po mojej prawej stronie i bulgotał cicho. Pokiwał głową.

– Teraz się interesuję – oświadczył. – Wszystko się zmieniło. Jeśli jeszcze żyje, chciałbym go bliżej poznać. Jeśli nie...

– W porządku. Żeby się przekonać, musimy najpierw jakoś wrócić do domu. Uważam, że widzieliśmy już wszystko, co powinniśmy zobaczyć. Chciałbym się stąd wynieść.

– Myślałem o tym. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wykorzystać do powrotu ten Wzorzec. Zwyczajnie, dojść do środka i przenieść się do Amberu.

– Iść wzdłuż czarnego obszaru?

– Czemu nie? Ganelon już próbował. To możliwe.

– Chwileczkę – wtrącił Ganelon. – Nie mówiłem, że to łatwe, i jestem pewien, że nie zmusicie koni do przejścia tą drogą.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Pamiętasz to miejsce, gdzie przecięliśmy czarną drogę? Kiedy uciekaliśmy z Avalonu?

– Oczywiście.

– Idąc po kartę i sztylet, przeżyłem podobne wzburzenie. Między innymi dlatego biegłem tak szybko. Wolałbym najpierw spróbować Atutów, zgodnie z teorią, że to miejsce przystaje do Amberu.

Skinąłem głową.

– Dobrze. Spróbujmy najpierw środków najprostszych. Trzeba przyprowadzić konie. Uczyniliśmy to, stwierdzając przy okazji, jaką długość ma smycz gryfa. Zatrzymała go mniej więcej trzydzieści metrów od otworu jaskini. Natychmiast zabezczał żałośnie. Nie ułatwiło nam to uspokajania koni, za to wzbudziło pewne domysły, które na razie zachowałem dla siebie.

Kiedy wszyscy byli już na miejscu, Random odszukał swoje Atuty, a ja wyjąłem swoje.

– Spróbujmy z Benedyktem – zaproponował.

– W porządku. Jestem gotów.

Od razu zauważyłem, że karty znów były chłodne. Dobry znak. Znalazłem Atut Benedykta i zacząłem czynności wstępne. Random zrobił to samo. Kontakt nastąpił niemal natychmiast.

– O co chodzi? – zapytał Benedykt. Spojrzał na Randoma, Ganelona, konie, wreszcie na mnie.

– Przerzucisz nas? – spytałem.

– Konie też?

– Całość.

– Chodźcie.

Dotknąłem jego wyciągniętej ręki. Wszyscy popłynęliśmy ku niemu i po sekundzie staliśmy już na wysokiej, skalnej półce. Chłodny wiatr szarpał naszymi ubraniami, słońce Amberu mijało najwyższy punkt na zachmurzonym niebie. Benedykt miał na sobie grubą, skórzaną kurtę, skórzane spodnie i koszulę w kolorze wyblakłej żółci. Pomarańczowy płaszcz maskował kikut prawej ręki. Zaciśnął wargi i spojrzał na mnie ponuro.

– Przybywacie z ciekawego miejsca -powiedział. – Dostrzegłem co nieco w tle.

Przytaknąłem.

– Stąd też masz ciekawy widok – dodałem. Zauważyłem, że ma za pasem lunetę i równocześnie pojąłem, że stoimy na tej samej, szerokiej półce, z której Eryk dowodził bitwą w dniu swej śmierci i mego powrotu.

Podszedłem do krawędzi, by spojrzeć na czarne pasmo biegnące daleko w dole przez Garnath i sięgające do horyzontu.

– Tak – przyznał. – Wydaje się, że granice czarnej drogi są w większości punktów stabilne. W innych wciąż się poszerza. Zupełnie, jakby osiągała ostateczną zgodność z jakimś... wzorcem. Teraz mówcie, skąd przybywacie.

– Spędziłem noc w Tir-na Nog'th – odparłem. – A dziś rano zabłądziliśmy przechodząc przez Kolvir.

– To niełatwe, zgubić drogę na własnej górze. Wiesz, trzeba jechać na wschód. To kierunek, z którego wstaje słońce.



Poczułem, że się czerwienię.

– Mieliśmy wypadek – powiedziałem. – Straciliśmy konia.

– Jakiego rodzaju wypadek?

– Bardzo poważny... dla konia.

– Benedykcie – Random podniósł nagle głowę.

Zrozumiałem, że przez cały czas studiował przebity Atut. – Co możesz mi powiedzieć o Martinie?

Nim odpowiedział, Benedykt obserwował go przez chwilę.

– Skąd to nagle zainteresowanie? – spytał w końcu.

– Ponieważ mam powody, by sądzić, że on nie żyje. Jeśli to prawda, chcę go pomścić. Jeśli nie...

cóż, sama myśl o tym wzbudziła pewne rozterki. Jeśli jeszcze żyje, chciałbym go spotkać i porozmawiać.

– A dlaczego sądzisz, że mógł umrzeć?

Random spojrział na mnie. Kiwnąłem głową.

– Zaczynaj od śniadania – poradziłem.

– A póki będzie o tym mówił, poszukam jakiegoś obiadu – oświadczył Ganelon, otwierając jedną z toreb.

– Jednorożec wskazał nam drogę... – zaczął Random.

# Rozdział 3

---

Siedzieliśmy w milczeniu. Random zakończył opowieść, a Benedykt patrzył w niebo nad Garnath. Jego twarz nie zdradzała niczego. Już bardzo dawno nauczyłem się szanować jego milczenie.

Po chwili kiwnął głową, mocno i raz tylko, po czym spojrzął na Randoma.

– Od dłuższego czasu podejrzewałem coś takiego – oświadczył. – Z uwag, które przez lata wymykały się tacie i Dworkinowi, wywnioskowałem, że istnieje pierwotny Wzorzec, odnaleziony przez nich lub stworzony, i że usytuowali Amber zaledwie o cień od tego Wzorca, by czerpać z jego mocy. Jednak nigdy nie usłyszałem nic, co by sugerowało, jak można tam trafić. – Odwrócił się w stronę Garnath i skinął głową. – A to, jak twierdzicie, odpowiada temu, co tam znaleźliście?

– Tak się wydaje – odparł Random.

– I jest wywołane przelaniem krwi Martina?

– Tak sądzę.

Benedykt spojrzął na Atut, który dostał od Randoma w trakcie opowieści. Wówczas powstrzymał się od komentarzy.

– Tak – stwierdził teraz. – To Martin. Odwiedził mnie, kiedy opuścił Rebmę. I został na dłużej.

– Dlaczego przyjechał do ciebie? – spytał Random.

– Musiał przecież gdzieś pójść. – Benedykt uśmiechnął się lekko. – Miał już dość swojej pozycji w Rebmie, żywił raczej ambiwalentne uczucia wobec Amberu, był młody, wolny i właśnie osiągnął pełnię mocy po przejściu Wzorca. Chciał wyruszyć daleko, zobaczyć coś nowego, podróżować w Cieniu... jak my wszyscy. Kiedy był jeszcze mały, zabrałem go raz do Avalonu, by mógł pospacerować po suchym lądzie, pojeździć konno, zobaczyć żniwa. I gdy nagle zyskał możliwość, by w jednej chwili znaleźć się, gdzie tylko zechce, jego wybór był wciąż ograniczony do tych nielicznych miejsc, które poznał. Fakt, mógł sobie wymarzyć jakiś cel i tam się udać, natychmiast go stwarzając. Wiedział jednak, jak wiele musi się jeszcze nauczyć, by zapewnić sobie bezpieczeństwo w Cieniu. Postanowił więc mnie odwiedzić i poprosić o naukę. Spełniłem jego prośbę. Przebywał u mnie prawie rok. Uczyłem go walczyć, uczyłem tajemnic Atutów i Cienia, tłumaczyłem wszystko, co musi wiedzieć Amberyta, jeśli chce przeżyć.

– Czemu to wszystko robiłeś? – zapytał Random.

– Ktoś musiał. Przyszedł do mnie, więc na mnie spoczął ten obowiązek – odparł Benedykt. – Zresztą, polubiłem tego chłopaka – dodał.

Random pokiwał głową.

– Mówiłeś, że spędził u ciebie prawie rok. Co nastąpiło potem?

– Tęsknota za podróżami, którą znacie równie dobrze, jak ja. Gdy zyskał wiarę w swe możliwości, zapragnął je wypróbować. W ramach nauki sam zabierałem go na wyprawy w Cień, przedstawiałem ludziom, których znałem w najróżniejszych miejscach. Nadszedł jednak czas, kiedy postanowił wyruszyć własną drogą. Pewnego dnia zatem pożegnał się ze mną i odjechał.

– Widziałeś go później?

– Tak. Wracał co pewien czas i zostawał ze mną, by opowiedzieć o swych odkryciach i przygodach. Za każdym razem było jasne, że to tylko wizyta. Po jakimś czasie ogarniał go niepokój i odjeżdżał znowu.

– A kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Parę lat temu, według czasu Avalonu, w zwykłych okolicznościach. Pojawił się pewnego ranka,

został może dwa tygodnie, opowiedział o tym, co widział i czego dokonał, mówił o swoich planach. Później wyruszył znowu.

– I więcej o nim nie słyszałeś?

– Wręcz przeciwnie. Zostawiał wiadomości u wspólnych znajomych, kiedy przejeżdżał niedaleko.

Czasami nawet kontaktował się ze mną przez mój Atut...

– Miał komplet Atutów? – wtrąciłem.

– Tak, dałem mu w prezencie jedną z moich zapasowych talii.

– A czy ty miałaś jego Atut?

Pokręcił głową.

– Nie wiedziałem nawet, że taki istnieje, póki nie zobaczyłem tego. – Uniósł kartę, spojrzął na nią i oddał Randomowi. – Nie potrafiłbym go stworzyć. Randomie, próbowałaś do niego dotrzeć przez ten Atut?

– Tak, kilka razy od czasu, gdy go znaleźliśmy. Nawet kilka minut temu. Bez skutku.

– To oczywiście niczego nie dowodzi. Jeśli wszystko przebiegało zgodnie z twoją wersją, może blokować wszelkie próby kontaktu. Umie to robić.

– A czy przebiegało zgodnie z moją wersją? Wiesz coś na ten temat?

– Pewnych rzeczy się domyślam – przyznał Benedykt. – Widzisz, kilka lat temu zjawił się u moich przyjaciół, dość daleko w Cieniu. Był ranny. Rana piersi, od pchnięcia nożem. Został tam parę dni, póki nie odzyskał sił, i odjechał, zanim wyzdrowiał do końca. Więcej o nim nie słyszeli. Ja zresztą też.

– I nie byłeś ciekawy? – zdziwił się Random. – Nie pojechałeś go szukać?

– Byłem, naturalnie. I wciąż jestem. Ale mężczyzna ma prawo żyć tak, jak mu się podoba, bez ciągłego wtrącania się krewnych, choćby z najlepszymi intencjami. Poradził sobie w trudnej sytuacji i nie próbował się ze mną skontaktować. Najwyraźniej dobrze wiedział, jak zamierza postąpić. Zostawił mi tylko wiadomość u Tecysów. Prosił, żebym się nie martwił, kiedy dotrze do mnie informacja o tym, co zaszło. I że wie, co robić.

– U Tecysów? – powtórzyłem.

– Tak. To moi przyjaciele w Cieniu.

Powstrzymałem się przed zwróceniem mu uwagi na kilka spraw. Zawsze uważałem je wyłącznie za elementy legendy Dary, która w pewnych kwestiach mocno naginała prawdę. Mówiła o Tecysach, jakby ich znała, jakby za wiedzą Benedykta mieszkała u nich przez pewien czas. Nie był to najlepszy moment, by mu opisywać nocną wizję w Tir-na Nog'th i to, co z niej wynikało w kwestii jego pokrewieństwa z dziewczyną. Nie znalazłem dotąd wolnej chwili, by to sobie przemyśleć i wyciągnąć wnioski.

Random wstał, przeszedł kilka kroków i stanął na krawędzi urwiska, odwrócony do nas plecami, z założonymi z tyłu rękoma. Po chwili odwrócił się i znów podszedł do nas.

– Jak mogę się skontaktować z Tecysami? – zapytał.

– Nie możesz – odparł Benedykt. – Chyba że do nich pojedziesz.

Random spojrzął na mnie.

– Potrzebuję konia, Corwinie. Mówiłeś, że Gwiazda przeżył już kilka piekielnych rajdów...

– Miał dziś ciężki poranek.

– Nie aż tak męczący. Przede wszystkim był wystraszony, ale teraz już się uspokoił. Mogę go wypożyczyć?

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, zwrócił się do Benedykta.

– Zabierzesz mnie tam, prawda?

Benedykt zawahał się.

– Nie wiem, czego jeszcze masz nadzieję się dowiedzieć...

– Wszystkiego! Wszystkiego, co zapamiętali. Może coś nie wydało się wtedy ważne, a teraz jest, skoro wiemy już to, co wiemy.

Benedykt spojrzał na mnie. Skinąłem głową.

– Jeśli go zabierzesz, może pojechać na Gwieździe.

– Dobrze – Benedykt powstał. – Pójdę po konia.

Odwrócił się i ruszył w stronę, gdzie stała jego wielka, pasiasta bestia.

– Dzięki, Corwinie – powiedział Random.

– Pozwolę ci się odwdzińczyć.

– Jak?

– Pożycz mi Atut Martina.

– Po co?

– Przyszedł mi właśnie do głowy pewien pomysł. Sprawa jest zbyt złożona, by ją wyjaśniać, zwłaszcza teraz, gdy chcesz natychmiast wyruszyć. Ale z pewnością nikomu nie zaszkodzi.

Przygryzł wargę.

– Zgoda. Ale oddaj mi go, kiedy już skończysz.

– Oczywiście.

– Czy to pomoże go znaleźć?

– Może.

Wręczył mi kartę.

– Wracasz teraz do pałacu? – zapytał.

– Tak.

– Mógłbyś zawiadomić Vialle o wszystkim, co się zdarzyło i gdzie pojechałem? Będzie się martwić.

– Załatwione.

– Będę uważał na Gwiazdę.

– Wiem. Powodzenia.

– Dzięki.

Jechałem na Świetliku, a Ganelon szedł piechotą. Uparł się. Podążaliśmy szlakiem, którym w dniu bitwy ścigałem Darę. I to, wraz z ostatnimi wydarzeniami, skłoniło mnie do wspomnień. Odkurzyłem dawne uczucia i raz jeszcze przebadałem je dokładnie. Pojąłem, że mimo jej kłamstw, mimo zabójstw, które z pewnością popełniła lub w nich uczestniczyła, mimo jej zamiarów wobec Amberu, nadał coś mnie w niej pociągało. I to nie tylko ciekawość. To odkrycie nie było szczególnie zaskakujące. Niewiele się zmieniło od ostatniego razu, gdy przeprowadziłem nie zapowiedzianą kontrolę w obozie własnych emocji. Nie wiedziałem, ile prawdy zawierała moja ostatnia nocna wizja, kiedy Dara wyjaśniła stopień swego pokrewieństwa z Benedyktem. W mieście duchów cień Benedykta potwierdził te wyznania, wznosząc w jej obronie tę dziwną, nową rękę...

– Czemu się śmiejesz? – zapytał maszerujący z boku Ganelon.

– Ta ręka – odparłem. – Przyniosłem ją z Tir-na Nog'th. Martwiłem się o jakieś ukryte znaczenie, niedostrzegalną moc przeznaczenia tego przedmiotu, który zjawił się w naszym świecie z krainy snów i tajemnic. I w końcu nie przetrwał nawet dnia. Nie pozostał nawet ślad, gdy Wzorzec zniszczył Iago. Cała nocna wizja poszła na marne.

Ganelon odchrząknął.

– Wiesz, to nie całkiem tak, jak ci się wydaje – mruknął.

– Nie rozumiem.

– Tej mechanicznej ręki nie było w jukach Iago. Random schował ją do twojej torby. Wcześniej był tam prowiant, a kiedy skończyliśmy śniadanie, spakował wszystkie utensylia do własnych bagaży. Oprócz ręki. Nie zmieściła się.

– A więc...

Ganelon pokiwał głową.

– Ma ją teraz ze sobą – dokończył.

– Ręka i Benedykt razem. A niech to! Nie bardzo mi się podoba ta maszynka. Próbowwała mnie zabić. Jeszcze nikt nie został zaatakowany w Tir-na Nog'th.

– Ale do Benedykta nie masz zastrzeżeń? Jest chyba po naszej stronie, mimo drobnych kontrowersji między wami.

Nie odpowiedziałem.

Chwycił Świetlika za uzdę i zatrzymał. Spojrzał mi w oczy.

– Corwinie, co zaszło tam, na górze? Czego się dowiedziałeś?

Milczałem. Właśnie, czego się dowiedziałem w mieście na niebie? Nikt nie poznał dokładnie mechanizmu wizji Tir-na Nog'th. Możliwe, co zresztą podejrzewaliśmy, że owo miejsce służyło tylko obiektywizacji nie wypowiedzianych lęków i pragnień, wymieszanych z podświadomymi domysłami. Ale wnioski i poparte rozumowaniem hipotezy to jedno, podejrzania zaś rozbudzone czymś nieznanym lepiej zachować dla siebie, niż zdradzać światu. Z drugiej strony, ręka była aż nazbyt materialna...

– Już mówiłem – odparłem. – Odrąbałem to ramię duchowi Benedykta. Co oznacza, że walczyliśmy.

– I dostrzegasz w tym znak przyszłego konfliktu z Benedyktem?

– Może.

– Ukazano ci jego powód, prawda?

– No, dobrze. – Nie musiałem udawać westchnienia. – Tak. Dano mi do zrozumienia, że Dara jest istotnie krewną Benedykta, co może się okazać prawdą. Jest też możliwe, o ile to rzeczywiście prawda, że on nic o tym nie wie. A więc: zachowujemy dyskrecję, póki nie potwierdzimy bądź nie odrzucimy tej teorii. Jasne?

– Oczywiście. Ale jakie może być to pokrewieństwo?

– Takie, jak mówiła.

– Prawnuczka?

Przytaknąłem.

– Poprzez kogo?

– Przez tę piekielną amazonkę, którą znamy tylko ze słyszenia: Lintę. Tę samą, która odcięła mu rękę.

– Przecież bitwa zdarzyła się całkiem niedawno.

– W różnych krainach Cienia czas płynie z różną szybkością. Ganelonie. W najdalszych rubieżach... tak, to całkiem możliwe.

Potrząsnął głową i poluzował uzdę.

– Uważam, Corwinie, że Benedykt powinien się o tym dowiedzieć – oświadczył. – Jeśli to prawda, dasz mu szansę, by się przygotował, zamiast nagle odkryć fakty. Wy wszyscy jesteście tak mało płodni, że ojcostwo trafia was mocniej niż innych ludzi. Spójrz na Randoma: przez całe lata nie pamiętał u synu, a teraz... mam wrażenie, że oddałby za niego życie.

– Ja także – przyznałem. – A teraz, zapomnij o pierwszej części, a drugą rozwiń i dopasuj do

Benedykta.

– Sądziś, że stanąłby po stronie Dary i przeciwko Amberowi?

– Wolałbym raczej nie stawiać go przed koniecznością wyboru, nie informując wcześniej, że taki wybór istnieje... O ile istnieje.

– Moim zdaniem wyrządzasz mu złą przysługę. Nie jest przecież emocjonalnym noworodkiem. Połącz się z nim przez Atut i opowiedz o swoich podejrzeniach. W ten sposób dasz mu przynajmniej szansę przemyślenia sprawy, zamiast ryzykować, że odkryje coś nagle, bez żadnego przygotowania.

– Nie uwierzy. Widziałeś, jak reaguje, gdy tylko wspomnę o Darze.

– Co samo w sobie jest znaczące. Być może podejrzewa, co mogło się wydarzyć, i protestuje tak gwałtownie, bo wolałby, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

– W tej chwili pogłębi to tylko przepaść między nami... przepaść, którą staram się zasypać.

– Jeśli nie powiesz, a on jakoś odkryje prawdę, przepaść może się pogłębić nieodwracalnie.

– Nie. Wierzę, że znam mojego brata lepiej niż ty.

Puścił wodze.

– Jak chcesz – westchnął. – Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Nie odpowiedziałem, tylko spałem lekko świetlika. Był między nami niepisany układ, że Ganelon ma prawo pytać, o co tylko zechce. Było też zrozumiałe, że wysłucham każdej jego rady. Po części wynikało tu z faktu, że zajmował wyjątkową pozycję. Nie byliśmy spokrewnieni. Nie był Amberytą. Włączył się w sprawy i problemy Amberu jedynie z własnego wyboru. Dawno temu byliśmy przyjaciółmi, potem wrogami, od niedawna znów przyjaciółmi i sprzymierzeńcami w bitwie o jego przybraną ojczyznę. Po zwycięstwie poprosił, by mógł iść ze mną i pomóc w rozwiązaniu własnych i Amberu problemów. Według mnie nic mi już nie był winien ani ja jemu – jeśli ktoś w ogóle prowadzi takie rachunki. Wiązała nas zatem tylko przyjaźń, mocniejsza od dawnych długów wdzięczności czy spraw honorowych. Innymi słowy: miał prawo nalegać, gdy Randomowi na przykład kazałbym pewnie iść do diabła, kiedy już podjąłbym decyzję. Zrozumiałem, że nie powinienem odczuwać irytacji, gdyż mówił w dobrej wierze. Sądzę, że zagrały wojskowe instynkty, sięgające naszych najdawniejszych kontaktów, ale powiązane z aktualną sytuacją: nie lubię, gdy ktoś kwestionuje moje rozkazy i decyzje. Jeszcze bardziej zdenerwowało mnie prawdopodobnie to, że był ostatnio autorem kilku chytrych domysłów i sugestii, na które sam powinienem wpaść. Nikt nie lubi się przyznawać do niechęci opartej na takich podstawach. Jednakże... czy to naprawdę wszystko? A może w grę wchodziło coś głębszego, co męczyło mnie od dawna i teraz wypłynęło na powierzchnię?

– Corwinie – odezwał się Ganelon. – Myślałem trochę...

Westchnąłem.

– Tak?

– O synu Randoma. Biorąc pod uwagę, jak szybko wracacie do zdrowia, całkiem możliwe, że przeżył i wciąż gdzieś się kręci.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Nie spiesz się tak.

– O co ci chodzi?

– Tak rozumiem, prawie nie zna Amberu ani rodziny, skoro przez tyle lat wychowywał się w Rebmie.

– Rozumiem to dokładnie w ten sam sposób.

– W istocie, jeśli nie liczyć Benedykta i Llewelli w Rebmie, jedyną znaną mu osobą jest ta, która go zraniła: Bleys, Brand albo Fiona. Pomyślałem sobie, że musi mieć fatalną opinię o rodzinie.

– Fatalną – przyznałem. – Lecz może nie całkiem nieuzasadnioną, jeśli dobrze rozumiem, do czego zmierzasz.

– Chyba rozumiesz. Uważam za prawdopodobne, że nie tylko obawia się krewnych, ale mógłby wystąpić przeciwko nim.

– To możliwe.

– Sądzisz, że mógłby się przyłączyć do nieprzyjaciół?

Pokręciłem głową.

– Nie, jeśli wie, że tamci są tylko narzędziem w rękach grupy, która próbowała go zabić.

– A czy są? Nie jestem pewien... Mówiłeś, że Brand się przestraszył i próbował wycofać z umowy, jaką zawarli z ekipą czarnej drogi. A jeśli tamci są tak silni, to czy przypadkiem Fiona i Bleys nie stali się narzędziami? A jeśli tak, to mogę sobie wyobrazić, że Martin szukał czegoś, co dałoby mu władzę nad nimi.

– Nazbyt złożona hipoteza – stwierdziłem.

– Nieprzyjaciel wyraźnie sporo o was wie.

– Fakt, ale przecież miał parę zdrajców, którzy udzielali mu lekcji.

– Czy mogli przekazać wszystko, co mówiłeś o rzeczach, o których wiedziała Dara?

– Dobre pytanie – przyznałem. – Ale trudno powiedzieć. Z wyjątkiem informacji o Tecysach, o której przypominałem sobie przed chwilą. Wolałem na razie zachować ją dla siebie i raczej sprawdzić, do czego zmierza Ganelon, niż odbiegać od tematu po stycznej.

– Martin nie miał raczej możliwości, by powiedzieć im cokolwiek o Amberze – dodałem.

Ganelon zamilkł.

– Miałeś może okazję, by zbadać sprawę, o którą pytałem tamtej nocy przy twoim grobie? – zapytał po chwili.

– Jaką sprawę?

– Czy można podsłuchiwać Atuty. Teraz, kiedy wiemy, że Martin ma swoją talię...

Teraz ja z kolei umilkłem, a nieliczny rząd wolnych chwil przedefilował przede mną gęsiego, od lewej, pokazując języki.

– Nie – odparłem. – Nie miałem okazji.

Przejechaliśmy spory kawał, nim odezwał się znowu.

– Corwinie, tej nocy, kiedy sprowadziłeś Branda...

– Tak?

– Mówiłeś, że później sprawdziłeś wszystkich, próbując wykryć, kto cię zaatakował. I że każdy miałby poważne trudności, by dokonać zamachu w czasie, jaki mieli do dyspozycji.

– Aha – mruknąłem – I oho.

Kiwnął głową.

– Teraz musisz wziąć pod uwagę jeszcze jednego krewnego. Być może ze względu na młody wiek i niedoświadczenie brakuje mu rodzinnej finezji.

W zakamarkach umysłu pomachałem milczącej paradyż chwil, które przeszły pomiędzy Amberem a teraz.

# Rozdział 4

---

Spytała, kto tam, gdy zapukałem. Przedstawiłem się.

– Chwileczkę.

Usłyszałem kroki, a potem uchyliła drzwi. Vialle ma trochę powyżej metra pięćdziesiąt wzrostu i jest dość szczupłą brunetką, o delikatnych rysach. Miała na sobie czerwoną suknię. Niewidzące oczy spoglądały przeze mnie, przypominając o dawnych ciemnościach i bólu.

– Random prosił, żeby ci przekazać, że wróci później, ale nie ma powodu do zmartwienia – powiedziałem.

– Wejdz proszę. – Odsunęła się i szerzej otworzyła drzwi.

Wszedłem. Nie chciałem tego, ale wszedłem. Nie miałem zamiaru dosłownie traktować zlecenia Randoma i tłumaczyć, co się stało i gdzie odjechał. Planowałem powiedzieć to, co powiedziałem i ani słowa więcej. Dopiero kiedy wyruszyliśmy każdy w swoją stronę, zrozumiałem, czego ode mnie żądał: abym powtórzył jego żonie, z którą nigdy nie zamieniłem więcej niż kilka słów naraz, że ruszył na poszukiwanie swego nieślubnego syna. Tego samego, którego matka, Morganthé, popełniła samobójstwo, za co Random został ukarany przymusowym małżeństwem z Vialle. Ich związek okazał się nadzwyczaj udany, co po dziś dzień nie przestaje mnie zdumiewać. Nie miałem ochoty powierzać jej całego ładunku nieprzyjemnych spraw i przestępując próg szukałem jakiegoś wyjścia.

Na półce po lewej stronie stało popiersie Randoma. Minąłem je, zanim sobie uświadomiłem, że to mój brat posłużył jako model. Pod ścianą zauważyłem jej warsztat.

Odwróciłem się i przestudiowałem dzieło.

– Nie wiedziałem, że rzeźbisz – powiedziałem.

– Owszem.

Rozejrzałem się. W komnacie dostrzegłem więcej wytworów jej ręki.

– Całkiem niezłe.

– Dziękuję. Może usiądziesz?

Zająłem miejsce na wielkim fotelu z wysokimi poręczami, który okazał się wygodniejszy, niż na to wyglądał. Ona usiadła na niskiej sofie z prawej strony i podkurczyła nogi.

– Przygotować ci coś do jedzenia albo do picia?

– Nie, dziękuję. Nie mam wiele czasu. Rzecz w tym, że Random, Ganelon i ja trochę zoczyliśmy z trasy w drodze do domu, a potem spotkaliśmy się z Benedyktem. W rezultacie Random i Benedykt wyruszyli na krótką wyprawę.

– Jak długo go nie będzie?

– Prawdopodobnie do jutra. Może trochę dłużej. Jeśli o wiele dłużej, to pewnie skontaktuje się przez czyjś Atut i da ci znać.

Rana w boku zaczęła pulsować, więc przyłożyłem dłoń i rozmasowałem ją lekko.

– Random wiele mi o tobie opowiadał.

Parsknąłem.

– Może jednak coś zjesz? To żaden problem.

– Mówił, że stale jestem głodny?

– Nie – roześmiała się. – Ale jeśli przez cały dzień byłeś taki zajęty, jak mówisz, to pewno nie miałeś czasu na posiłek.

– To tylko po części prawda. Ale dobrze. Jeśli masz tu gdzieś jakąś niepotrzebną kromkę chleba,



może dobrze mi robi, jak sobie ją trochę pogryzę.

– Doskonale. Zaczekaj chwilę.

Wstała i zniknęła w sąsiednim pokoju. Wykorzystałem okazję, by podrapać okolice rany, która zaczęła piekielnie swędzieć. Z tego właśnie powodu przyjąłem poczęstunek, a także dlatego, że nagle poczułem, jaki jestem głodny. Dopiero później przyszło mi do głowy, że przecież nie mogła widzieć, jak atakuję paznokciami swój bok. Pewne i spokojne ruchy sprawiły, iż zapomniałem o jej ślepcie. To dobrze. Byłem zadowolony, że tak świetnie sobie radzi.

Słyszałem, jak nuci "Balladę o żeglarzach oceanów", pieśń wielkiej floty handlowej Amberu. Nasz kraj nie jest znany z produktów rzemiosła, a rolnictwo nigdy nie stało zbyt wysoko. Lecz nasze statki żeglują poprzez cienie, kursują między gdziekolwiek a dokądkolwiek, handlując właściwie wszystkim. Praktycznie każdy Amberyta płci męskiej, ze szlachty czy z gminu, spędza część swego życia na morzu. Ci królewskiej krwi dawno temu wytyczyli szlaki handlowe, którymi podążają statki, a każdy kapitan ma w głowie mapy mórz dziesięciu światów. Pomagałem w tej pracy za dawnych lat i choć nie zaangażowałem się nigdy tak mocno jak Caine czy Gerard, byłem mocno poruszony potęgą głębin i duchem ludzi, którzy je pokonują.

Po chwili wróciła Vialle z tacą wyładowaną chlebem, mięsem, serem, owocami i butelką wina. Ustawiła ją na małym stoliku.

– Chcesz nakarmić cały regiment? – spytałem.

– Mała rezerwa nie zaszkodzi.

– Dziękuję. Przyłączysz się?

– Może jakiś owoc – odparła.

Jej palce szukały przez moment, znalazły jabłko. Wróciła na sofę.

– Random mówił, że to ty napisałeś tę pieśń.

– To było bardzo dawno temu, Vialle.

– Czy skomponowałeś coś ostatnio?

Zacząłem kręcić głową, zreflektowałem się i powiedziałem:

– Nie. Ta część mojego umysłu... odpoczywa.

– Szkoda. Jest bardzo ładna.

– Random jest rodzinnym muzykiem.

– Owszem, gra bardzo dobrze. Ale wykonawstwo i kompozycja to dwie różne rzeczy.

– To prawda. Może kiedyś, gdy wszystko się uspokoi... Powiedz, jesteś szczęśliwa w Amberze?

Czy coś ci się nie podoba? Potrzebujesz czegoś?

– Potrzebuję tylko Randoma – uśmiechnęła się. – To dobry człowiek.

Poczułem dziwne wzruszenie słysząc, jak o nim mówi.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona – stwierdziłem. I dodałem: – Był mniejszy, młodszy... Było mu pewnie trudniej niż innym. Nie ma nic mniej użytecznego niż dodatkowy książę, kiedy kłębi się ich już cały tłumek. Byłem równie winny, jak pozostali. Kiedyś z Bleysem porzuciliśmy go na małej wysepce, na południe stąd...

– A Gerard popłynął po niego, kiedy się o tym dowiedział – dokończyła. – Wiem, opowiadał mi. Musi cię to męczyć, skoro pamiętasz po tylu latach.

– Na nim też musiało to zrobić wrażenie.

– Nie, wybaczył ci już dawno. Opowiedział mi tę historię jako żart. On z kolei wbił gwóźdź w obcas twojego buta. Przebiłeś sobie piętę, kiedy go włożyłeś.

– Więc to Random! Niech mnie diabli! Cały czas myślałem, że Julian.

– Ta historia męczyła Randoma.

– Ile to lat już minęło... – westchnąłem.

Pokręciłem głową i zabrałem się do jedzenia. Głód pochwyił mnie mocno, a Vialle ofiarowała mi chwilę milczenia, bym miał czas go pokonać. Kiedy skończyłem, poczułem, że powinienem coś powiedzieć.

– Już mi lepiej. Dużo lepiej – zacząłem. – Spędziłem w mieście na niebie niezwykłą i wyczerpującą noc.

– Czy znalazłeś jakieś pożyteczne wróżby?

– Nie wiem, czy okażą się pożyteczne. Z drugiej strony jednak lepiej, że je poznałem. Czy tutaj wydarzyło się coś ciekawego?

– Sługa powiadomił mnie, że twój brat, Brand, wraca do sił. Dziś rano zjadł solidne śniadanie, a to dobry znak.

– To prawda – przyznałem. – Niebezpieczeństwo chyba już minęło.

– Zapewne. To... to była straszna seria przypadków, które dotknęły was wszystkich. Przykro mi. Miałam nadzieję, że podczas nocy w Tir-na Nog'th otrzymasz wskazówki, jak rozwiązać swoje problemy.

– To bez znaczenia – odparłem. – Nie jestem pewien, czy byłyby coś warte.

– Więc po co... Och.

Obserwowałem ją z nowym zainteresowaniem. Spokojna twarz nie zdradzała niczego, lecz prawa dłoń poruszała się, stukając i mnąc palcami pokrycie sofy. Nagle, jakby pojęła, że ręka mówi zbyt wiele, znieruchomiła.

Najwyraźniej odpowiedziała na własne pytanie i teraz żałowała, że nie uczyniła tego w milczeniu.

– Tak – przyznałem. – Chciałem zyskać na czasie. Wiesz pewnie o mojej ranie.

Kiwnęła głową.

– Nie mam pretensji, że Random ci o niej powiedział – zapewniłem. – Jego decyzje zwykle były słuszne i nie zwiększały zagrożeń. Chyba powinienem im zawierzyć. Muszę jednak spytać, jak wiele ci zdradził, zarówno dla twego bezpieczeństwa, jak i dla własnego spokoju. Są bowiem sprawy, które podejrzewam, jednak o których jeszcze nie wspominałem.

– Rozumiem. Trudno jest ustalić braki... to znaczy fakty, które wolał zachować w tajemnicy. Mówi mi prawie o wszystkim. Znam twoją historię i historie większości pozostałych. Relacjonuje mi wydarzenia, podejrzenia i hipotezy.

– Dzięki. – Łyknąłem wina. – Łatwiej rozmawiać, gdy wiem, jaka jest sytuacja. Opowiem ci o wszystkim, co się zdarzyło od śniadania aż do tej chwili...

Tak też uczyniłem.

Uśmiechała się z rzadka, gdy mówiłem, ale nie przerywała.

– Myślałeś, że rozmowa o Martinie może mnie zirytować? – spytała, kiedy skończyłem.

– Uznałem to za możliwe.

– Niesłusznie – zapewniła. – Widzisz, znałam Martina w Rebmie jeszcze jako małego chłopca. Byłam tam, kiedy dorastał. Lubiłam go. Nawet gdyby nie był synem Randoma, też byłby mi drogi. Mogę się tylko cieszyć troską Randoma o niego i mieć nadzieję, że nie nadeszła za późno, by obu im przynieść korzyść.

Potrząsnąłem głową.

– Nierzęsto mam okazję poznać kogoś takiego jak ty – wyznałem. – Dobrze, że wreszcie mi się udało.

Roześmiała się.

– Przez długi czas byłeś niewidomy.

– Tak.

– Takie przeżycie może napełnić człowieka goryczą albo sprawić, że z większą radością przyjmie to, co mu jeszcze pozostało.

Nie musiałem cofać się pamięcią do tamtego okresu, by wiedzieć, że należę do tego pierwszego rodzaju. Nawet gdybym stracił wzrok w innych okolicznościach... Przykro mi, ale taki już jestem. Przepraszam.

– To prawda – odparłem. – Ty masz szczęście.

– Chodzi tylko o stan ducha. Coś, co księżę Amberu na pewno oceni właściwie.

Wstała.

– Zawsze chciałam się przekonać, jak wyglądasz – wyznała. – Random opisywał cię, ale to nie to samo. Czy mogę?

– Oczywiście.

Zbliżyła się i czubkami palców dotknęła mej twarzy.

Przesuwała je delikatnie.

– Tak. Jesteś prawie taki, jak sobie wyobrażałam. I wyczuwam w tobie napięcie. To trwa już dość długo, prawda?

– W tej czy innej formie, od dnia powrotu do Amberu.

– Zastanawiam się, czy nie byłeś szczęśliwszy, zanim odzyskałeś pamięć.

– To jedno z pytań, na które nie ma odpowiedzi. Gdybym sobie nie przypomniał, mógłbym już nie żyć. Ale nawet pomijając tę możliwość, w tamtych latach wciąż coś pchało mnie naprzód, niepokoiło. Cały czas poszukiwałem sposobu, by odkryć, czym i kim jestem naprawdę.

– Ale czy byłeś bardziej, czy mniej szczęśliwy niż teraz?

– Ani jedno, ani drugie. Wszystko się równoważy. Chodzi przecież, jak sama zauważyłaś, o stan ducha. A gdyby nawet nie, to nie potrafiłbym już wrócić do tamtego życia. Teraz kiedy przekonałem się, kim jestem. I kiedy odnalazłem Amber.

– Dlaczego nie?

– A dlaczego o to pytasz?

– Chciałabym cię zrozumieć – odparła. – Odkąd usłyszałam o tobie po raz pierwszy, jeszcze w Rebmie, zanim Random mi o tobie opowiedział, stale się zastanawiałam, co cię tak gna. Teraz gdy mam taką możliwość... nie prawo, naturalnie, ale możliwość... uznałam, że warto odezwać się poza kolejnością i porządkiem, jaki wynika z mojej pozycji, aby cię o to spytać.

Zaśmiałem się krótko.

– Piękna odpowiedź – pochwaliłem. – Spróbuję wyjaśnić ci to uczucie. Najpierw gnała mnie nienawiść, nienawiść do mojego brata Eryka, i pragnienie władzy. Gdybyś w dniu mego powrotu spytała, które z tych uczuć jest silniejsze, powiedziałbym, że chęć zdobycia tronu. Teraz jednak... teraz musiałbym przyznać, że było odwrotnie. Nie rozumiałem tego aż do tej chwili, ale taka jest prawda. Lecz Eryk nie żyje i z mojej nienawiści nic już nie pozostało. Tron istnieje nadal, ale żywię do niego mieszane uczucia. Możliwe, że w obecnej sytuacji żadne z nas nie ma prawa na nim zasiąść, a nawet gdyby rodzinne obiekcje zniknęły, nie objąłbym władzy. Chciałbym najpierw ustabilizować kraj i rozwiązać kilka problemów.

– Nawet gdyby miało się okazać, że nie możesz rządzić?

– Nawet wtedy.

– W takim razie chyba zaczynam rozumieć.

– Co? Co tu jest do rozumienia?

– Księżę Corwinie, moja wiedza o filozoficznych podstawach tych problemów jest mocno

ograniczona, pojmuję jednak, że potraficie odnaleźć w Cieniu wszystko, czego zapragniecie. Niepokoi mnie to od dawna i nigdy do końca nie rozumiałam wyjaśnień Randoma. Gdybyście tylko zechcieli, to każde z was mogłoby wyruszyć w Cień i poszukać innego Amberu, pod każdym względem podobnego do prawdziwego, tyle że zainteresowany byłby tam władcą, czy też zajmował taką pozycję, jaką sobie wymarzy.

– Tak, potrafimy zlokalizować takie miejsca – przyznałem.

– Czemu więc nie czynicie tego i nie zakończycie wojny?

– Ponieważ można znaleźć krainę, która jest podobna do Amberu. I nic więcej. Wszyscy jesteśmy częścią tego Amberu, a on jest częścią nas. Każdy cień Amberu, by warto było w nim żyć, musiałby zawierać nasze cienie. Moglibyśmy wprawdzie wyłączyć cień własnej osoby, gdybyśmy zdecydowali się objąć królestwo. Jednakże lud cienia nie byłby identyczny z tutejszym. Cień nigdy nie jest dokładnie taki sam, jak obiekt, który go rzuca. Kumulują się drobne różnice. Szczerze mówiąc, są nawet gorsze niż te zasadnicze. W efekcie wkracza się w naród obcych. Najlepsze porównanie, jakie przychodzi mi do głowy, to spotkanie z osobą bardzo podobną do kogoś, kogo znasz. Oczekujesz wtedy, że będzie się zachowywać tak, jak twój znajomy; co gorsza, ty sama będziesz skłonna postępować z nim tak jak z tamtym. Wkładasz dla niego odpowiednią maskę, a jego reakcje nie są właściwe. Nieprzyjemne uczucie. Nigdy nie lubiłem poznawać ludzi, którzy przypominają mi innych. Osobowość to jedyne, czego nie umiemy kontrolować przy manipulacji Cieniem. W istocie jest to sposób odróżnienia nas samych od naszych cieni. Dlatego właśnie Flora tak długo nie była pewna, co o mnie myśleć na cieniu-Ziemi: nowa osobowość okazała się dostatecznie odmienna od starej.

– Chyba rozumiem – wtrąciła. – Nie chodzi tylko o nowy Amber dla każdego z was. Chodzi o miejsce plus wszystko pozostałe.

– Miejsce plus wszystko pozostałe to właśnie Amber.

– Twierdzisz, że nienawiść do Eryka umarła wraz z nim, a pragnienie tronu osłabło w wyniku nowych spraw, o których się dowiedziałeś.

– Tak jest.

– Chyba rozumiem, jaki jest główny motyw twojego działania.

– Mój motyw to chęć stabilizacji – stwierdziłem. – Może trochę ciekawości... i zemsta na naszych wrogach...

– Obowiązek – mruknęła. – Naturalnie.

Prychnąłem.

– To pocieszające, że tak właśnie uważasz. Ale nie będę hipokrytą. Trudno mnie uznać za wiernego syna Amberu lub Oberona.

– Z twojego tonu wynika jasno, że nie chcesz być za takiego uznawany.

Przymknąłem oczy, zacisnąłem powieki, by połączyć się z nią w ciemności, by wspomnieć ten krótkotrwały świat, w którym inne nośniki były ważniejsze od fal świetlnych. I wiedziałem, że nie myliła się mówiąc o tonie mego głosu. Dlaczego próbowałem zmiażdżyć samą ideę obowiązku, gdy tylko ją zasugerowała? Lubię, kiedy mnie chwala jako dobrego, czystego, szlachetnego idealistę, bez względu na to, czy zasługuję na taką ocenę, czy nie. Jak każdy. Więc co mi się nie spodobało w teorii mego poczucia obowiązku wobec Amberu? Nic. Więc o co chodzi?

O tatę. Niczego już nie byłem mu winien, a już najmniej obowiązku. W zasadzie to on był odpowiedzialny za obecną sytuację. Tak wielu nas spłodził, nie dbając o kolejność sukcesji. Wobec wszystkich naszych matek zachował się mniej niż uprzejmie, a potem oczekiwał naszego oddania i wsparcia. Wybierał sobie faworytów i właściwie nawet rozgrywał nas przeciwko sobie. Potem dał

się wplątać w coś, z czym nie umiał sobie poradzić i zostawił królestwo w stanie rozpadu. Sigmund Freud już dawno znieczulił mnie na normalne, uogólnione poczucie urazy, działające w jednostce rodzinnej. Na tym tle nie było żadnych sporów. Fakty to całkiem inna sprawa. Nie dlatego nie lubiłem ojca, że nie dał mi powodu, by go lubić; prawdę mówiąc czynił wręcz przeciwne starania. Dość. Pojąłem, co mnie niepokoiło w teorii obowiązku: jego obiekt.

– Masz rację – przyznałem. Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią. – Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś.

Wstałem.

– Podaj mi rękę.

Wyciągnęła dłoń, a ja uniosłem ją do ust.

– Dziękuję – powiedziałem – za doskonały posiłek.

Ruszyłem do drzwi. Kiedy się obejrzałem, stała zarumieniona, z lekkim uśmiechem, wciąż unosząc rękę. Zaczynałem pojmować zmianę, jaka zaszła w Randomie.

– Powodzenia – rzuciła w chwili, gdy moje kroki ucichły.

– Tobie również – odparłem i wyszedłem pośpiesznie.

Planowałem pójść potem do Branda, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Przede wszystkim nie chciałem z nim rozmawiać mając umysł otępiały ze zmęczenia. Po drugie, rozmowa z Vialle była pierwszą przyjemną rzeczą, jaka mnie spotkała od dłuższego czasu i chociaż raz postanowiłem wycofać się, póki jeszcze wygrywam.

Wspiąłem się po schodach i ruszyłem korytarzem do moich pokojów. Oczywiście myślałem o zamachu, gdy wsuwałem klucz do nowego zamka. W sypialni zaciągnąłem zasłony, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Nie mogłem zasnąć, jak zwykle gdy wypoczywałem po trudnych przeżyciach, wiedząc, że czekają mnie nowe. Przez kilka minut przewracałem się i rzucałem w pościeli, raz jeszcze przeżywając wydarzenia ostatnich kilku dni.

Kiedy wreszcie nadszedł sen, był mieszaniną tego wszystkiego plus wspomnienie pobytu w celi, kiedy próbowałem pokonać drzwi. Obudziłem się w ciemności, naprawdę wypoczęty.

Napięcie opadło, myśli były spokojniejsze. A nawet niewielki ładunek przyjemnego podniecenia krążył gdzieś w tyle głowy. Był jak zatrzymany na czubku języka nakaz, utajone wrażenie, że... Tak!

Wstałem. Sięgnąłem po rzeczy i zacząłem się ubierać. Przypasałem Grayswandira. Złożyłem i wsunąłem pod pachę koc. Oczywiście...

Umysł miałem czysty, a rana przestała dokuczać. Nie wiedziałem, jak długo spałem, ale nie warto było tego sprawdzać. Miałem do załatwienia coś o wiele ważniejszego, co powinno mi przyjść do głowy już dawno... I właściwie przyszło. Praktycznie rzecz biorąc miałem to przed oczami, lecz czas i wydarzenia wypchnęły problem z moich myśli.

Zamknąłem drzwi na klucz i pomaszerowałem w stronę schodów. Migotały świece, a wyblakły jelen, który od wieków bladł na gobelinie z prawej strony korytarza, spoglądał na wyblakłe psy, ścigające go od mniej więcej równie długiego czasu. Czasem współczuję jeleniowi, lecz zwykle całym sercem kibicuję psom. Trzeba będzie kiedyś odnowić ten gobelin.

Zszedłem schodami w dół. Cisza. Zatem jest późno.

To dobrze. Kolejny dzień i wciąż jeszcze żyjemy. Może nawet jesteśmy trochę mądrzejsi. Wystarczająco by pojąć, że wiele jeszcze musimy się dowiedzieć. Ale jest nadzieja. Brakowało mi jej, gdy kulilem się w tej przeklętej celi, przyciskałem dłonie do wypalonych oczu i wyłem.

Vialle... Szkoda, że wtedy nie mogłem z tobą porozmawiać. Uczyłem się w twardej szkole, ale nawet delikatniejsze otoczenie nie dałoby mi twej gracji. Chociaż... Trudno powiedzieć. Zawsze miałem wrażenie, że jestem raczej psem niż jeleniem, bardziej łowcą niż zwierzyną.

Mogłaś nauczyć mnie czegoś, co osłabiłoby gorycz, stępiło nienawiść. Ale czy tak byłoby lepiej? Nienawiść zginęła wraz z obiektem, gorycz także odeszła... ale spoglądając teraz wstecz nie jestem pewien, czy przetrwałbym, gdyby mnie nie podtrzymywały. Czy przeżyłbym więzienie bez dwóch paskudnych towarzyszek, które nieraz ściągały mnie na powrót do życia i rozsądku?

Dzisiaj mogę sobie pozwolić na jakąś jelenią myśl, lecz wtedy mogła się okazać śmiertelna. Nie wiem tego na pewno, piękna damo, i wątpię, czy kiedykolwiek się dowiem.

Bezruch na pierwszym piętrze. Jakieś szmery w dole, śpij dobrze, pani. Zakręć i w dół. Ciekawe, czy Random odkrył już coś ważnego. Chyba nie, bo on sam albo Benedykt powinni wtedy nawiązać kontakt. Chyba że mieli kłopoty. Ale nie. To śmieszne, wszędzie szukać problemów. To, co istotne, objawi się we właściwym momencie, a na razie mam ich aż nadto. Parter.

– Will – rzuciłem. – Rolf.

– Książę Corwin.

Słyszając moje kroki, dwaj strażnicy przyjęli postawę zasadniczą. Z ich twarzy czytałem wyraźnie, że wszystko w porządku, ale spytałem dla zachowania formy.

– Spokój, książę. Spokój – odparł starszy.

– Doskonale – mruknąłem i poszedłem dalej. Minąłem marmurową jadalnię.

Byłem pewien, że zadziała, jeśli tylko czas i wilgoć zbytnio go nie naruszyły. A wtedy... Wszedłem w długi korytarz, gdzie zakurzone ściany napierały z obu stron. Ciemność, cienie i odgłos moich kroków...

Dotarłem do drzwi na końcu korytarza, otworzyłem je, wstąpiłem na pomost. A potem znowu w dół, po spirali, światło tu, światło tam, w groty Kolviru. Random miał rację, uznałem. Gdyby ściąć wszystko aż do poziomu dalekiej podłogi, widoczna stałaby się zgodność między tym, co zostało, a pierwotnym Wzorcem, który odwiedziliśmy dziś rano.

Niżej. Krążąc i kręcąc się w mroku. Wśród czerni z teatralną wyrazistością rysowały się pochodnie i oświetlone latarnią stanowisko wartownika. Dotarłem do podłogi i ruszyłem ku niemu.

– Dobry wieczór, książę Corwinie – odezwał się chudy, blady jak trup osobnik, wsparty o stojak ze sprzętem. Palił fajkę i uśmiechał się.

– Witaj, Roger. Jak stoją sprawy w podziemnym świecie?

– Szczur, nietoperz i pajak. Więcej nikogo. Spokój.

– Lubisz to stanowisko?

Przytaknął.

– Piszę filozoficzną powieść z elementami grozy i szaleństwa. Nad tymi fragmentami pracuję właśnie tutaj.

– Właściwe otoczenie – przyznałem. – Będę potrzebował latarni.

Zdjął jedną z haka i odpalił od swojej świecy.

– Będzie miała szczęśliwe zakończenie? – zainteresowałem się.

Wzruszył ramionami.

– Ja będę szczęśliwy.

– To znaczy, czy dobro zwycięży, a bohater pójdzie do łóżka z bohaterką? Czy raczej wybijesz wszystkie postacie?

– To niezbyt uczciwe.

– Nieważne. Może kiedyś przeczytam tę powieść.

– Może – odparł.

Chwyciłem latarnię, odwróciłem się i ruszyłem w kierunku, którego od dawna już nie wybierałem. Przekonałem się, że wciąż potrafię w myślach mierzyć echa.

Po chwili dotarłem do ściany, znalazłem właściwy korytarz, zagłębiłem się w niego. Od tej chwili wystarczyło dokładnie liczyć kroki. Moje stopy znały drogę. Drzwi mojej dawnej celi były uchylone. Odstawiłem latarnię i dwoma rękami otworzyłem je szerzej. Ustąpiły niechętnie, z jękiem. Wziąłem latarnię, uniosłem wysoko i wszedłem.

Poczułem dreszcze, a żołądek zacisnął się w twardą kulę. Zadrzałem. Musiałem stłumić pragnienie, by rzucić się do ucieczki. Nie przewidywałem takiej reakcji. Nie chciałem odejść od ciężkich, okutych spizem drzwi w obawie, że ktoś je za mną zatrzaśnie i zarygluje. Raz jeszcze poczułem grozę, jaką budziła w moich wspomnieniach ta niewielka, brudna cela. Zmusiłem się, by przypomnieć sobie szczegóły: dziurę w rogu, która służyła mi za latrynę, poczerniałą plamę, gdzie tamtego ostatniego dnia rozpałem ogień. Przesunąłem lewą dłoń po wewnętrznej powierzchni drzwi, znajdując rysy wydrapane łyżką. Pamiętałem, co ta praca zrobiła z moimi rękami. Pochyliłem się, by zbadać ślady. Nie były nawet w przybliżeniu tak głębokie, jakie wydawały się wtedy, zwłaszcza w porównaniu z grubością drzwi.

Pojałem, jak bardzo przeceniałem rezultaty tej próby odzyskania wolności. Wszedłem do środka i spojrzałem na ścianę.

Ledwie widoczny. Kurz i wilgoć wspólnie pracowały, by go usunąć. Wciąż jednak mogłem rozróżnić kształt latarni morskiej Cabry, otoczony czterema liniami, wydrapanymi uchwytem łyżki. Magia nadal istniała. Wyczuwałem ją, choć nie próbowałem przyzywać.

Odwróciłem się i stanąłem pod przeciwległą ścianą. Szkic, który miałem przed sobą, przetrwał w gorszym stanie niż rysunek latarni. Ale wykonywano go w najwyższym pośpiechu, przy świetle ostatnich kilku zapalek.

Zniknęło sporo szczegółów, choć pamięć ukazywała mi niektóre. Był to obraz pracowni czy biblioteki; półki z książkami wzdłuż ścian, z przodu biurko, obok wielki globus. Nie byłem pewien, czy powinienem ryzykować i oczyścić obraz.

Ustawiłem latarnię na podłodze i wróciłem do poprzedniego rysunku. Skrawkiem koca starłem delikatnie kurz z podstawy latarni. Linia stała się wyraźniejsza. Potarłem znowu, przyciskając trochę mocniej. Błąd. Zniszczyłem parę centymetrów szkicu.

Cofnąłem się i oddarłem szeroki pas koca. To, co zostało, złożyłem w rodzaj poduszki, na której usiadłem. Powoli i ostrożnie zacząłem czyścić wizerunek latarni.

Musiałem nabrać wprawy, zanim zajmę się drugim obrazem.

Pół godziny Później wstałem, przeciągnąłem się i roztarłem zdrętwiałe nogi. To, co pozostało z latarni, było całkiem wyraźne. Niestety, zmasałem jakieś dwadzieścia procent rysunku, zanim nauczyłem się wyczuwać powierzchnię kamiennej ściany i we właściwy sposób przesuwając po niej skrawkiem koca. Nie sądzę, bym mógł jeszcze udoskonalić tę umiejętność.

Latarnia zamigotała, gdy ją przestawiałem. Rozwinąłem koc, strzepnąłem, oddarłem nowy pas. Złożyłem resztę, przykleknąłem przed rysunkiem i wziąłem się do pracy.

Po dłuższej chwili odsłoniłem to, co z niego pozostało. Zapomniałem o czaszce na biurku; dopiero ostrożny ruch koca odkrył ją na powrót... I o załamaniu ściany w tle, i o wysokim świeczniku... Cofnąłem się o krok. Dalsze przecieranie byłoby ryzykowne. I chyba zbędne.

Obraz wydawał się tak kompletny, jak kiedyś. Latarnia znów zamigotała. Przeklinając Rogera za to, że nie sprawdził zapasu nafty, wstałem i uniosłem ją na wysokość ramienia. Usunąłem z umysłu wszystko, prócz sceny przede mną.

Kiedy na nią patrzyłem, nabrała głębi. Jeszcze chwila, a stała się trójwymiarowa i poszerzona, całkowicie wypełniając pole widzenia. Zrobiłem krok do przodu i ustawiłem latarnię na krawędzi biurka.

Rozejrzałem się uważnie. Półki z książkami wisiały na wszystkich czterech ścianach. Żadnych okien. Dwoje drzwi w przeciwnej ścianie pomieszczenia, z prawej i z lewej, w dwóch rogach, jedno zamknięte, drugie lekko uchylone. Obok tych otwartych stał długi, niski stół, zasypany książkami i papierami. Niezwykłe obiekty zajmowały wolne miejsca na półkach, a także nieregularne nisze i wnęki w ścianach: kości, kamienie, gliniane naczynia, tabliczki z inskrypcjami, lustra, różdżki, jakieś instrumenty nie znanego mi przeznaczenia. Ogromny dywan przypominał Ardebil. Ruszyłem w stronę drzwi i latarnia zamigotała raz jeszcze. Sięgnąłem po nią i wtedy właśnie zgasła.

Burknąłem jakieś przekleństwo i opuściłem rękę.

Potem rozejrzałem się wolno, poszukując możliwych źródeł światła. Coś przypominającego gałąź koralowca lśniło niewyraźnie na półce po drugiej stronie, a pod zamkniętymi drzwiami widoczna była blada smuga światła. Zostawiłem latarnię i przeszedłem przez pokój.

Otworzyłem drzwi tak cicho, jak tylko potrafiłem. Znalazłem się w pustym, pozbawionym okien pokoiku, oświetlonym słabo przez głównie żarzące się w niewielkiej wnęce kominka, ściany były z kamienia, sklezione łukowo nad głową. Kominek urządzone pewnie w naturalnym zagłębieniu skały. Wielkie, okute drzwi zamykały przejście z drugiej strony. Solidny klucz tkwił w zamku, częściowo przekreślony.

Wszedłem, wziąłem ze stołu świecę i podszedłem do kominka, by ją zapalić. Gdy klęczałem, szukając płomienia wśród żarzących się głowni, usłyszałem delikatne stąpienie od strony drzwi.

Obejrzałem się i zobaczyłem go, tuż za progiem. Mniej więcej metr pięćdziesiąt wzrostu. Garbaty. Włosy i broda jeszcze dłuższe, niż zapamiętałem. Dworkin miał na sobie nocną koszulę, która sięgała mu do kostek. Trzymał w dłoni lampkę oliwną, a ciemne oczy spoglądały przenikliwie zza kopcającego płomyka.

– Oberonie – powitał mnie. – Czy już pora?

– Pora na co? – spytałem ostrożnie.

Zachichotał.

– Na cóżby? Pora, by zniszczyć świat, oczywiście!



## Rozdział 5

---

Starąłem się trzymać twarz w cieniu i mówić stłumionym głosem.

– Niezupełnie – powiedziałem. – Jeszcze nie.

Westchnął.

– Wciąż nie jesteś przekonany.

Pochylił głowę i spojrzał na mnie uważnie.

– Dlaczego musisz wszystko psuć? – zapytał.

– Niczego nie zepsułem.

Opuścił lampkę. Odwróciłem głowę, zdołał jednak dostrzec moją twarz. Roześmiał się.

– Zabawne, śmieszne, śmieszne, śmieszne – stwierdził. – Przybywasz jako młody książę Corwin w nadziei, że rodzinne sentymenty skłonią mnie do zmiany decyzji. Czemu nie wybrałeś Branda albo Bleya? Dzieciaki Clarissy służyły nam najlepiej.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak i nie. – Postanowiłem odpowiadać wymijająco, dopóki zechce to akceptować. Może zdradzi coś istotnego. Wystarczy zadbać o jego dobry humor. – A ty? – zapytałem. – Jaką twarz byś nałożył?

Odchylił głowę, a kiedy jego śmiech grzmiał wokół mnie, zaczął się zmieniać. Sylwetka urosła, a twarz zafalowała jak żagiel ustawiony zbyt ostro na wiatr. Zmalał garb na plecach, a on wyprostował się i wyciągnął w górę. Rysy uległy przemianie, broda pociemniała. Było jasne, że przemieszcza jakąś masę swego ciała, gdyż nocna koszula do kostek teraz sięgała do pół łydki. Odetchnął głęboko i jego ramiona stały się szersze, ręce dłuższe, a wystający brzuch płaski. Sięgał mi już do ramienia, potem wyżej i rósł nadal, aż osiągnął mój wzrost. Koszula ledwie przykrywała mu kolana. Garb zniknął. Twarz zafalowała po raz ostatni, rysy ustabilizowały i zastygły w nowej formie, śmiech przeszedł w chichot, przycichł, w końcu urwał się w skrzywieniu warg.

Stałem przed nieco szczuplejszą wersją siebie.

– Wystarczy? – zapytał.

– Całkiem nieźle – przyznałem. – Zaczekaj, dorzucę do ognia.

– Pomogę ci.

– Nie trzeba.

Zdjąłem ze stosu kilka szczap. Każda zwłoka była w tej chwili pomocna, gdyż zyskiwałem nowe reakcje do analizy. Kiedy układałem drwa w palenisku, on podszedł do stołka i usiadł. Dostrzegłem, że nie patrzy na mnie, lecz spogląda w mrok. Przeciągałem rozpalanie drew w nadziei, że coś powie. Cokolwiek. W końcu się doczekałem.

– Co się stało z wielkim planem? – zapytał.

Nie miałem pojęcia, czy mówi o Wzorcu czy o jakimś planie, który zdradził mu tata.

– Ty mi powiedz – odparłem więc.

Zaśmiał się znowu.

– Dlaczego nie? Zmieniłeś zdanie, oto, co się stało.

– Z jakiego na jakie, według ciebie?

– Nie kpij ze mnie. Nawet ty nie masz prawa ze mnie kpić. Jeśli nawet ktoś ma, to ty najmniejsze.

Podniosłem się.

– Nie kpiłem.

Przyniosłem drugi stołek i ustawiłem go przed kominkiem, naprzeciw Dworkina. Usiadłem.

- Jak mnie rozpoznałeś? – zapytałem.
- Moje miejsce pobytu nie jest powszechnie znane.
- To prawda.
- Czy wielu w Amberze uważa mnie za zmarłego?
- Tak. A inni sądzą, że pewnie podróżujesz gdzieś w Cieniu.
- Rozumiem.
- Jak się tu... czujesz?

Uśmiechnął się złośliwie.

- Chcesz wiedzieć, czy nadal jestem szalony?
- Wolałbym bardziej delikatne określenia.

– Czasem ten stan zanika, czasem się wzmacnia – oświadczył. – Pojawia się i znowu znika. W tej chwili jestem prawie sobą; prawie, powtarzam. Może to wstrząs wywołany twoją wizytą... Coś w moim umyśle pękło. Wiesz o tym. Ale inaczej być nie może. O tym także wiesz.

– Chyba tak – przyznałem. – Może jednak raz jeszcze opowiesz mi o wszystkim? Sam proces mówienia może sprawić, że poczujesz się lepiej, może odsłonić coś, co przeoczyłem. Opowiedz mi tę historię.

Znowu śmiech.

– Czego tylko zapragniesz. Masz jakieś szczególne życzenia? Opowiedzieć ci o mojej ucieczce z Chaosu na tę nieoczekiwaną wysepkę w morzu nocy? O objawieniu Wzorca w klejnocie, zawieszonym na szyi Jednorozca? O transkrypcji schematu poprzez błyskawicę, krew i lirę, gdy nasi zdumieni ojcowie szaleli z wściekłości? Było już za późno, by przywołać mnie z powrotem, kiedy poemat ognia wytyczył pierwszą ścieżkę w moim mózgu, zarażając wolą stworzenia? Za późno! Za późno... Opanowany przez potworności zrodzone z choroby, poza zasięgiem ich mocy, ich władzy, planowałem i budowałem: więzień swej nowej jaźni. Czy tej historii chcesz wysłuchać? Czy raczej opowiedzieć ci o lekarstwie?

Myśli wirowały, pędzone faktami, które właśnie pełną garścią cisnął mi pod nogi. Nie wiedziałem, czy traktować jego wypowiedź dosłownie czy metaforycznie, czy może jako zwykłe paranoidalne urojenia. Jednak sprawy, o których chciałem... musiałem usłyszeć, były związane raczej z chwilą obecną. Zatem, wpatrując się we własne, mroczne odbicie, z którego wydobywał się głos starca, poprosiłem:

- Opowiedz mi o lekarstwie.

Zetknął palce obu dłoni i przemówił zza tej zasłony.

– Jestem Wzorcem – oznajmił. – W bardzo dosłownym sensie. Przechodząc przez mój umysł w celu zyskania formy, jaką ma teraz: formy fundamentu Amberu, nazaczył mnie równie mocno, jak ja nazaczyłem jego. Pewnego dnia zrozumiałem, że jestem równocześnie Wzorcem i sobą, a on, w procesie stwarzania tożsamości, musiał stać się Dworkinem. W trakcie narodzin tego miejsca i czasu nastąpiły wzajemne modyfikacje i w tym kryje się nasza słabość, podobnie jak nasza siła. Pojąłem bowiem, że uszkodzenie Wzorca i mnie wyrządzi szkodę, rana mi zadana zaś odbije się we Wzorcem. Jednak w rzeczywistości nie można mnie było zranić, gdyż byłem chroniony przez Wzorzec. A kto prócz mnie mógłby uszkodzić Wzorzec? Sądziłem, że to przepiękny system zamknięty, którego słabe punkty są całkowicie chronione.

Zamilkł. Słuchałem trzasku płomieni. Nie wiem, czego on słuchał.

– Myliłem się – stwierdził wreszcie. – W bardzo prostej kwestii... Moja krew, dzięki której został wytyczony, mogła go zniekształcić. Ale całe wieki trwało, nim pojąłem, że krew z mojej krwi także to potrafi. Na przykład ty mógłbyś to wykorzystać, mógłbyś go zmienić... Tak, aż do trzeciego

pokolenia.

Nie zaskoczyła mnie szczególnie wiadomość, że był naszym przodkiem. Miałem dziwne wrażenie, że wiedziałem o tym przez cały czas... Wiedziałem, ale nie wypowiadałem tego. Jednak... fakt ten stwarzał więcej problemów, niż ich rozwiązywał. Zbierz jedną generację przodków. Idź dalej, aż do zamętu. Moja wiedza o tym, kim naprawdę był Dworkin, była teraz mniejsza niż kiedykolwiek. W dodatku musiałem brać pod uwagę fakt, któremu on sam nie zaprzeczał: słuchałem opowieści szaleńca.

– A żeby go naprawić...? – wtrąciłem.

Skrzywił się. Moja własna twarz przybrała wyraz niechęci.

– Czyżbyś stracił już ochotę, by zostać władcą żywej pustki, królem chaosu? – zapytał.

– Może – odparłem.

– Na Jednorożca, matkę twoją, wiedziałem, że do tego dojdzie! Wzorzec jest w tobie potężny, tak samo jak cała kraina. Czego więc pragniesz?

– Zachowania dziedziny.

Potrząsnął swoją/moją głową.

– Łatwiej byłoby zniszczyć wszystko i zacząć od początku. Od dawna próbuję ci to wytłumaczyć.

– Jestem uparty. Spróbuj jeszcze raz – odparłem, naśladując burkliwy ton taty.

Wzruszył ramionami.

– Niszcząc Wzorzec, zniszczymy Amber i wszystkie cienie w układzie biegunowym wokół niego. Pozwól, bym sam się zabił w środku Wzorca, a usuniemy go. Daj swoją zgodę dając słowo, że potem weźmiesz Klejnot, który zawiera esencję porządku, i użyjesz go, by stworzyć nowy Wzorzec, jasny, czysty i nie splamiony, rysując na materii własnego istnienia, gdy legiony chaosu będą próbowały na wszelkie sposoby odwieść cię od tego zamiaru. Obiecuj to i pozwól mi zakończyć wszystko, choć bowiem jestem złamany, wolę raczej zginąć dla porządku, niż żyć dla niego. Co na to powiesz?

– Czy nie lepiej próbować naprawy tego, co już mamy, niż przeznaczać na zatracenie dzieło całych eonów?

– Tchórz! – krzyknął, zrywając się na nogi. – Wiedziałem, że znowu to powiesz!

– A czy nie mam racji?

Zaczął krążyć po pokoju.

– Ile już razy powtarzamy te same argumenty? – zapytał. – Nic się nie zmieniło. Boisz się spróbować.

– Być może – przyznałem. – Ale czy nie sądzisz, że coś, czemu poświęciłeś tak wiele, warte jest wysiłku... jakiejś dodatkowej ofiary... jeśli tylko istnieje niewielka nawet szansa ratunku?

– Ciągłe nie rozumiesz. Mogę jedynie myśleć, że uszkodzony obiekt zostanie zniszczony i – miejmy nadzieję – odtworzony. Taka jest natura mojej choroby, że nie potrafię wyobrazić sobie naprawy. Na tym polega uraz. Uczucia są z góry ustalone.

– Jeśli Klejnot potrafi stworzyć nowy Wzorzec, to czy nie można się nim posłużyć, by naprawić stary, rozwiązać nasze problemy i uleczyć twego ducha?

– Czyżbyś stracił pamięć? – Stał przede mną. – Wiesz przecież, że usunięcie skazy jest rzeczą nieskończenie trudniejszą niż zaczęcie od nowa. Nawet Klejnotowi łatwiej jest zniszczyć Wzorzec, niż go naprawić. Już zapomniałeś, jak to wygląda? – Skinął na ścianę za plecami. – Chcesz wyjść i popatrzeć jeszcze raz?

– Tak – potwierdziłem. – Właśnie tego chcę.

Chodźmy.

Wstałem i spojrzałem na niego z góry. Rozgniewany, zaczynał tracić kontrolę nad własnym

wyglądem. Ubyło mu już osiem czy dziesięć centymetrów wzrostu, wizerunek mojej twarzy rozplątywał się w jego gnomowatych rysach, a między łopatkami rósł wyraźny garb, widoczny już wtedy, gdy skinął ręką.

Wpatrywał się we mnie rozszerzonymi oczami.

– Ty nie żartujesz – szepnął po chwili. – Dobrze, chodźmy.

Odwrócił się, podszedł do wielkich, żelaznych drzwi i oburącz przekręcił klucz. Potem napał na nie całym ciałem. Próbowałem mu pomóc, ale odsunął mnie z niezwykłą siłą, po czym pchnął raz jeszcze. Drzwi zgrzytnęły głośno, cofnęły się i stanęły otworem. Natychmiast poczułem dziwny, jakby znajomy zapach.

Dworkin przekroczył próg i zatrzymał się. Odszukał po prawej stronie coś, co wyglądało na długą laskę. Kilka razy stuknął nią o ziemię i górny koniec rozjarzył się blaskiem. Płomień oświetlił wąski tunel, w który się zagłębiliśmy. Szedłem za nim. Przejście poszerzyło się wkrótce i mogłem go wyprzedzić. Zapach był coraz silniejszy i już prawie zdołałem go umiejscowić. Kojarzył się z jakimś stosunkowo świeżym wspomnieniem...

Przeszliśmy niemal osiemdziesiąt kroków, nim tunel skręcił w lewo i w górę. Po chwili minęliśmy niewielkie pomieszczenie. Podłogę zaścielały odłamki kości, a w skale, na wysokości mniej więcej metra, wmurowano żelazny pierścień. Do pierścienia przymocowany był połyskujący łańcuch, który opadał na ziemię i znikał przed nami, podobny do linii stygnących wśród mroku kropelek roztopionego metalu.

Przejście znów się zwęziło i Dworkin objął prowadzenie. Po chwili skręcił nagle i usłyszałem, że coś mruczy. Sam w tym momencie skręciłem i niewiele brakowało, bym się z nim zderzył. Przykucnął i sięgnął ręką w ciemną szczelinę. Dostrzegłem, że łańcuch znika w otworze, i usłyszałem ciche cmokanie. Wtedy pojąłem, co to oznacza i gdzie jesteśmy.

– Dobry Wixer – mówił Dworkin. – Nie pójde daleko. Wszystko w porządku, Wixer. Przyniosłem ci coś dobrego.

Nie wiem, skąd wziął to, co rzucił zwierzęciu. Lecz fioletowy gryf, którego mogłem teraz zobaczyć, jak porusza się na swym legowisku, przyjął dar. Pochyleniem głowy i serią chrupnięć wyraził wdzięczność. Dworkin uśmiechnął się tryumfalnie.

– Zdziwiony?

– Czemu?

– Myślałeś, że się go boję. Myślałeś, że nigdy nie zdołam się z nim zaprzyjaźnić. Postawiłeś go tutaj, żeby nie wypuszczał mnie na zewnątrz, do Wzorca.

– Czyżbym powiedział kiedyś coś takiego?

– Nie musiałeś. Nie jestem głupcem.

– Myśl sobie, co chcesz.

Zachichotał, wstał i ruszył dalej.

Korytarz znów biegł poziomo i stał się szerszy. Po chwili dotarliśmy do wyjścia z jaskini. Dworkin zatrzymał się na moment. Widziałem jego ciemną sylwetkę z uniesioną laską. Na zewnątrz trwała noc, a czysty, słony zapach przegnał z mych nozdrzy odór piżma. Jeszcze chwila i ruszył dalej, wkraczając w świat płomieni świec i niebieskich aksamitów. Wstrzymałem oddech, zachwycony niezwykłym widokiem. Nie dlatego, że gwiazdy na bezkłęskowym, bezchmurnym niebie lśniły nadprzyrodzonym blaskiem ani że granica między niebem a morzem znowu się zatarła. To Worzec jaśniał błękitem acetylenowego płomienia pod niebem-morzem, a gwiazdy w górze, po bokach i w dole układały się z geometryczną precyzją, formując fantastyczną, ukośną kratownicę. Wywoływała wrażenie, jakbyśmy tkwili w kosmicznej pajęczynie, której prawdziwym centrum jest Worzec, a

cały spłot egzystuje tylko jako konsekwencja jego istnienia, konfiguracji i pozycji.

Dworkin schodził już wprost do krawędzi Wzorca, do zaczernionego fragmentu. Przesunął nad nim laskę i spojrzał na mnie.

– Oto ona – rzekł. – Wyrwa w moim umyśle. Nie potrafię myśleć poprzez nią, a jedynie dookoła. Nie wiem już, co trzeba uczynić, by naprawić to, czego mi zabrakło. Jeśli sądzisz, że potrafisz to zrobić, ryzykujesz natychmiastowe unicestwienie za każdym razem, kiedy opuścisz Wzorzec, by przekroczyć szczelinę. To nie ciemna część cię zniszczy, ale sam Wzorzec, gdy tylko przerwiesz obwód. Klejnot może, ale nie musi cię osłonić.

Nie wiem. Ale droga nie będzie łatwiejsza. Z każdym okrążeniem będzie trudniej, a ty będziesz miał coraz mniej sił. Ostatnim razem, kiedy o tym mówiliśmy, lękałeś się. Czy to oznacza, że przez ten czas nabrałeś odwagi?

– Możliwe – przyznałem. – Nie znasz innego sposobu?

– Wiem, że można tego dokonać zaczynając od czystej płyty, ponieważ kiedyś tak właśnie uczyniłem. Nie widzę innej drogi prócz tej. Im dłużej czekasz, tym gorsza jest sytuacja. Czemu nie przyniesiesz Klejnotu i nie użyczysz mi swej klingi, synu? Nie ma lepszego sposobu.

– Nie – odparłem. – Muszę wiedzieć więcej. Powiedz mi jeszcze raz, jak powstało uszkodzenie.

– Wciąż nie wiem, które z twoich dzieci przelało w tym miejscu naszą krew, jeśli o to ci chodzi. Stało się. Zostawmy tę kwestię. W ich charakterach wyszły na wierzch ciemne strony naszej natury. Z pewnością są zbyt bliskie chaosowi, z którego pochodzimy, i dorastały bez ćwiczeń woli, jakie my przeszliśmy, by go pokonać.

Miałem nadzieję, że rytuał przejścia Wzorca okaże się wystarczający. Nie potrafiłem wymyślić niczego potężniejszego. Ale procedura zawiodła. Oni atakują wszystko dookoła. Usiłują zniszczyć sam Wzorzec.

– Gdyby udało się nam zacząć od nowa, czy te wydarzenia nie powtórzyłyby się znowu?

– Nie wiem. Ale jaki mamy wybór, prócz porażki i powrotu w chaos?

– Co się z nimi stanie, jeśli stworzymy nowy początek?

Zamilkł na chwilę. Potem wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Jakie byłoby następne pokolenie?

– Czy można odpowiedzieć na takie pytanie? – parsknął. – Nie mam pojęcia.

Podąłem mu przebity Atut. Oglądał go w płomieniu swej laski.

– Sądzę, że to syn Randoma, Martin – wyjaśniłem. – Ten, którego krew tu przelano. Nie wiem, czy jeszcze żyje. I nie wiem, co mógłby w życiu osiągnąć...

Obejrzał się na Wzorzec.

– Więc to jest obiekt, który tam leżał – mruknął. – Jak go dostałeś?

– Został przyniesiony – odparłem. – To nie twoje dzieło, prawda?

– Oczywiście. Nie widziałem tego chłopca na oczy. Ale to chyba odpowiada na twoje pytanie: jeśli pojawi się następne pokolenie, twoje dzieci je zniszczą.

– Tak jak my mamy ich zniszczyć?

Spojrzał mi w oczy.

– Czy to znaczy, że nagle stałeś się troskliwym ojcem?

– Skoro nie ty namalowałeś ten Atut, to kto?

Opuścił wzrok i stuknął w kartę paznokciem.

– Mój najlepszy uczeń, twój syn Brand. To jego styl. Widzisz, co robią, gdy tylko zdobędą odrobinę mocy? Czy którekolwiek z nich odda życie, by zachować krainę, odrodzić Wzorzec?

– Sądzę, że tak – stwierdziłem. – Zapewne Benedykt, Gerard, Random, Corwin...

– Benedykt nosi stygmat zguby, Gerard ma wolę, lecz nie ma rozumu, Randomowi brakuje odwagi i zdecydowania. Corwin... Czy nie popadł ostatnio w niełaskę i nie zginął gdzieś?

Wspomniałem nasze poprzednie spotkanie, gdy pomógł mi w ucieczce z celi na Cabrę. Może teraz zaczynał tego żałować? Nie wiedział przecież, w jakich okolicznościach zostałem uwięziony.

– Dlatego przybrałeś jego postać? – zapytał. – Jako rodzaj przygany? Znowu mnie sprawdzasz?

– Nie jest w niełasce i nie zginął – stwierdziłem. – Ma jednak nieprzyjaciół, w rodzinie i nie tylko. Zrobi wszystko, by ochronić kraj. Jakie ma szanse twoim zdaniem?

– Przez dłuższy czas go nie było?

– Tak.

– Mógł więc się zmienić. Nie wiem.

– Wierzę, że się zmienił. I wiem, że chce spróbować. Spojrzał na mnie znowu. I przyglądał się długo.

– Nie jesteś Oberonem – oznajmił w końcu.

– Nie.

– Jesteś tym, którego widzę przed sobą.

– Ani mniej, ani więcej.

– Rozumiem... Nie wiedziałem, że znasz to miejsce.

– Do niedawna nie znałem. Pierwszy raz trafiłem tu podążając za Jednorożcem.

Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– To... bardzo ciekawe. Już tak dawno...

– Co z moim pytaniem?

– Jakim pytaniem?

– O szanse. Myślisz, że mógłbym naprawić Wzorzec?

Zbliżył się wolno, wyciągnął rękę i położył mi dłoń na ramieniu. Łaska przechyliła się lekko i błękitne światło zajaśniało trzydzieści centymetrów od mojej twarzy. Nie czułem gorąca. Dworkin spojrzał mi w oczy.

– Zmieniłeś się – stwierdził po chwili.

– Czy dość – spytałem – by spróbować?

Odwrócił wzrok.

– Może dość, by próba warta była wysiłku – odparł. – Nawet jeśli jesteśmy skazani na klęskę.

– Pomożesz mi?

– Nie wiem, czy będę mógł. Moje nastroje i myśli... wszystko przychodzi i odpływa. Nawet teraz czuję, że tracę kontrolę. Może przez te emocje... Lepiej wracajmy do środka.

Za plecami rozległ się cichy brzęk. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem gryfa. Kołysał głową z prawa na lewo i ogonem z lewa na prawo; wysuwał i chował język. Okrążył nas i stanął między Dworkinem a Wzorcem.

– On wie – wyjaśnił Dworkin. – Wyczuwa, kiedy nadchodzi przemiana. Nie dopuszcza mnie wtedy do Wzorca... Mądry Wixer. Już wracamy. Spokojnie. Chodźmy, Corwinie.

Ruszyliśmy w stronę wejścia do jaskini, a Wixer podążał za nami – jedno brzęknięcie przy każdym kroku.

– Klejnot – przypomniałem. – Klejnot Wszechmocy... Mówisz, że jest niezbędny, by naprawić Wzorzec?

– Tak. Trzeba go nieść przez całą drogę przez Wzorzec, ponownie kreśląc oryginalny schemat w miejscach, gdzie został wymazany. Może to zrobić jedynie ktoś zestrojony z Klejnotem.

– Jestem zestrojony z Klejnotem.

– W jaki sposób? – Zatrzymał się.

Wixer za nami gdaknął cicho, ruszyliśmy więc dalej.

– Zgodnie z twoimi pisanymi instrukcjami – wyjaśniłem. – Oraz, ustnymi Eryka. Przeniosłem go ze sobą do centrum Wzorca i dokonałem projekcji siebie poprzez niego.

– Rozumiem. A skąd go wziąłeś?

– Eryk dał mi Klejnot na łożu śmierci.

Weszliśmy do jaskini.

– Masz go teraz?

– Musiałem go ukryć w pewnym miejscu, w Cieniu.

– Radzę odszukać go jak najprędzej i dostarczyć tutaj lub przenieść z powrotem do pałacu.

Najlepiej przechowywać go w pobliżu centrum istnienia.

– Dlaczego?

– Ma skłonność do deformacji cieni, w których przebywa zbyt długo.

– Deformuje cienie? W jaki sposób?

– Trudno z góry przewidzieć. Wszystko zależy od lokalizacji.

Minęliśmy zakręt i szliśmy dalej wśród mroku.

– Jak to się dzieje – spytałem – że kiedy nosi się Klejnot przez dłuższy czas, wszystko wokół zwalnia swój ruch? Fiona uprzedzała, że to niebezpieczne, ale nie była pewna dlaczego.

– To oznacza, że dotarłeś do granic własnego istnienia, że wkrótce wyczerpiesz rezerwy energii, że zginiesz, jeśli szybko czegoś nie zrobisz.

– Czego mianowicie?

– Nie zaczniesz czerpać sił z samego Wzorca: pierwotnego Wzorca zawartego w Klejnocie.

– Jak tego dokonać?

– Musisz mu się poddać, uwolnić się, zamazać własną tożsamość, znieść granice, jakie oddzielają cię od wszystkiego innego.

– Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

– Ale to możliwe i nie ma innej drogi.

Potrząsnąłem głową. Szliśmy wciąż naprzód i wreszcie stanęliśmy u wielkich drzwi. Dworkin zgasił światło laski i oparł ją o ścianę. Potem weszliśmy, a on przekręcił klucz w zamku. Wixer został, strzegąc przejścia.

– Teraz będziesz musiał odejść – oznajmił Dworkin.

– Ale muszę cię zapytać jeszcze o wiele spraw, a o kilku chciałbym opowiedzieć.

– Moje myśli stają się bezładne i twoje słowa pójdą na marne. Jutrzejszej nocy albo pojutrze, albo

Później. Szybko! Idź!

– Skąd ten pośpiech?

– Kiedy ulegnę przemianie, mogę cię skrzywdzić. Tylko siłą woli powstrzymuję atak. Odejdź!

– Nie wiem jak. Potrafię się tu dostać, ale...

– W szufladzie biurka w sąsiednim pokoju znajdziesz rozmaite specjalne Atuty. Weź światło! Idź dokądkolwiek! Wyoś się stąd!

Chciałem zaprotestować, że nie lękam się fizycznej siły, jaką może okazać, lecz jego rysy rozpląnęły się jak stopiony wosk i nagle wydał mi się większy, o dłuższych ramionach niż przed chwilą. Przejęty nagłym dreszczem chwyciłem świecę i wybiegłem. Do biurka. Wyrwałem szufladę i złapałem kilka rozrzuconych na jej dnie Atutów. Wtedy usłyszałem za plecami kroki czegoś, co weszło z komory, którą przed chwilą opuściłem. Nie przypominały kroków człowieka.

Nie oglądałem się za siebie. Uniosłem karty i spojrzałem na tę, która znalazła się na wierzchu. Przedstawiała obcą scenerię, ale bez zwłoki otworzyłem swój umysł i sięgnąłem tam. Skalna turnia pod dziwnie kropkowanym niebem, szczypta gwiazd po lewej... Karta była na przemian zimna i gorąca; miałem uczucie, że gdy patrzę, wieje przez nią lodowaty wicher, w niezwykle sposób zmieniając obraz.

– Głupcze – zabrzmiał tuż za mną mocno zniekształcony, ale wciąż rozpoznawalny głos Dworkina.

– Wybrałeś miejsce swej zguby!

Wielka, szponiasta łapa – czarna, sękata i skórzasta – sięgnęła nad moim ramieniem, jak gdyby próbując porwać kartę. Ale wizja była już pełna i rzuciłem się w nią, odwracając od siebie Atut, gdy tylko pojąłem, że zdołałem uciec. Potem zatrzymałem się i stałem nieruchomo, by zmysły dostosowały się do nowego otoczenia.

Wiedziałem. Ze strzępów legend, skrawków rodzinnych opowieści i ogólnego wrażenia, jakie mnie nagle ogarnęło. Z absolutną pewnością uniosłem wzrok i spojrzałem na Dworce Chaosu.



# Rozdział 6

---

Gdzie? Zmysły są rzeczą tak niepewną, a w tej chwili moje były wytężone do ostatnich granic. Skąła, na której stałem... Gdy próbowałem skupić na niej spojrzenie, zaczynała przypominać chodnik w gorące popołudnie: drgała i falowała, choć cały czas stałem pewnie.

I trudno było określić, którą część widma mogłaby nazwać własną; pulsowała i migotała niby skóra iguany.

Nad głową miałem niebo niepodobne do żadnego, jakie dotychczas oglądałem. W tej chwili było pęknięte na dwie części, z których jedną okrywała najczarniejsza noc, a w ciemności tańczyły gwiazdy. Kiedy mówię: tańczyły, to nie znaczy, że mrugały; wirowały i zmieniały jasność; przeskakiwały i krążyły; błyskały z jaskrawością nowej, by po chwili roztopić się w nicość. Był to przerażający spektakl i poczułem, jak ostry atak akrofobii ściska mi żołądek. Jednak spojrzenie w inną stronę niewiele poprawiło sytuację. Druga połowa nieba przypominała potrząsaną bez przerwy butlę kolorowego piasku. Pasy koloru pomarańczy, żółci, czerwieni, błękitu, brązu i purpury spletały się i krążyły; plamy zieleni, fioletu, szarości i martwej bieli rozbłyskiwały i znikwały, czasem rozwijając się w pasy, by zastąpić lub dołączyć do innych wijących się form. One także migotały i falowały, wywołując niesamowite wrażenie odległości i bliskości zarazem. Niekiedy część z nich lub nawet wszystkie zdawały się dosłownie sięgać nieba, by po chwili opaść, wypełniając powietrze wokół mnie, jak mgliste, przezroczyste obłoki, półprzejryste kłęby lub lite macki koloru. Dopiero po dłuższej chwili spostrzegłem, że linia dzieląca czerń od barw z mojej prawej strony posuwa się wolno do przodu, równocześnie cofając się po lewej. Wyglądało to tak, jak gdyby cała niebiańska mandala obracała się wokół punktu leżącego wprost nad moją głową. Nie potrafiłem określić Źródła światła tej jaśniejszej połowy. Stojąc tam, spojrzałem w dół na coś, co z początku wydało mi się doliną pełną niezliczonych eksplozji barw. Gdy jednak postępująca ciemność zgasła ten pokaz, gwiazdy zapłonęły w głębi, jak i ponad nią, stwarzając wrażenie bezdennej otchłani. Czułem się, jakbym stanął na końcu świata, końcu wszechświata, końcu wszystkiego. Lecz daleko, bardzo daleko od miejsca, gdzie się znalazłem, coś unosiło się na górze najgłębszej czerni: czysta czerń, lecz obramowana i rozjaśniana ledwie dostrzegalnymi błyskami światła. Nie mogłem odgadnąć rozmiaru tego czegoś, gdyż odległość, głębia i perspektywa nie istniały. Pojedynczy szczyt? Grupa? Miasto? Czy po prostu miejsce? Kontur ulegał zmianie za każdym razem, gdy trafiał na moją siatkówkę. Delikatne, mgliste powierzchnie dryfowały wolno między nami, niby pasma gazy unoszone w rozgrzanym powietrzu. Mandala powstrzymała obrót, gdy ciemna i jasna strona zamieniły się miejscami. Barwy były teraz za mną, niewidoczne – chyba że odwróciłbym głowę, na co wcale nie miałem ochoty.

Przyjemnie było stać tutaj i spoglądać na bezkształtność, z której powstały wszystkie rzeczy... To istniało, zanim jeszcze powstał Wzorzec. Ta wiedza, mglista, lecz pewna, tkwiła gdzieś w samym centrum świadomości. Bez wątpienia musiałem już kiedyś odwiedzić tę okolicę. Zostałem tu przyniesiony jako dziecko, nie pamiętam już, przez tatę czy przez Dworkina. I stałem, lub trzymano mnie na rękach, tu właśnie lub gdzieś bardzo blisko. Spoglądałem na tę samą scenę; jestem pewien, że z podobnym brakiem zrozumienia i podobnym wrażeniem lęku. Moją radość tłumiło nerwowe podniecenie, przecucie czegoś zakazanego, oczekiwanie wątpliwego spełnienia. Co dziwne, teraz, w tej właśnie chwili, opanowało mnie pragnienie ponownego chwycenia Klejnotu, porzuconego na cieniu-Ziemi w pryzmie kompostu. Dworkin bardzo się tym przejął.

Czy to możliwe, że jakaś część umysłu szukała obrony, a przynajmniej symbolu walki z tym, co widziałem?

Możliwe.

Spoglądałem więc zafascynowany ponad otchłanią, i albo moje oczy przystosowały się, albo obraz przeskoczył znowu. Teraz bowiem rozróżniałem maleńkie, widmowe kształty, krążące po owym miejscu niby powolne meteory pędzące po pasmach gazy. Czekałem, obserwując je z uwagą, z wolna pojmując ich działanie.

Po pewnym czasie jedno z pasm podpłynęło bliżej i uzyskałem odpowiedź. Istotnie, coś się poruszało. Jedna z form urosła i zauważyłem, że podąża krętą, wiodącą ku mnie ścieżką. Po kilku chwilach miała kształt jeźdźca. Zbliżając się nabierała pozoru materialności, nie tracąc widmowych cech, charakteryzujących chyba wszystko, co leżało przede mną. Jeszcze moment i patrzyłem na nagiego jeźdźca na bezwłosym wierzchowcu, obu upiornie bladych i pędzących w moją stronę. Jeździec dzierżył białą jak kość klingę; jego oczy, podobnie jak ślepia rumaka, lśniły czerwienią. Jego wygląd był tak nienaturalny, że nie wiedziałem, czy istniejemy w tej samej płaszczyźnie rzeczywistości. Mimo to dobyłem Grayswandira i cofnąłem się o krok.

Z jego długich, białych włosów sływały lśniące iskierki, a kiedy odwrócił głowę, wiedziałem, że przybywa po mnie – czułem jego spojrzenie niby chłodny ucisk na piersi. Stałem bokiem i uniosłem ostrze do pozycji obronnej.

Jechał dalej i wtedy zrozumiałem, że on i jego rumak byli wielcy, o wiele więksi, niż myślałem. Zbliżali się. Gdy znaleźli się jakieś dziesięć metrów ode mnie, jeździec ściągnął wodze i koń stanął dęba. Patrzyli na mnie, kołysząc się i przechylając, jak gdyby stali na tratwie rzuconej na falujące delikatnie wody.

– Twe imię! – zażądał jeździec. – Podaj imię ty, który przybyłeś w to miejsce!

Głos wywołał trzaski w mych uszach. Rozbrzmiewał na jednym poziomie dźwięku, głośno, bez żadnej intonacji.

Potrząsnąłem głową.

– Zdradzam swe imię, gdy zechcę, nie na rozkaz. Kim jesteś?

Wydał z siebie trzy krótkie szczeknięcia, które uznałem za śmiech.

– Powalę cię i cisnę tam, gdzie będziesz je wykrzykiwał przez wieczność.

Wymierzyłem ostrze Grayswandira w jego oczy.

– Gadanie nic nie kosztuje. Za wódkę trzeba płacić.

Odczułem wtedy delikatne wrażenie chłodu, jakby ktoś właśnie próbował nawiązać ze mną kontakt przez Atut. Było jednak niewyraźne i słabe, a ja nie mogłem poświęcić mu uwagi, gdyż jeździec przekazał wierzchowcowi jakiś sygnał i zwierzę stanęło dęba. Odległość jest zbyt duża, uznałem. Lecz myśl ta należała do innego cienia. Tutaj zwierzę runęło ku mnie, porzucając niepewną ścieżkę, którą tu przybyło. Skok zakończył się lądowaniem dalekim od miejsca, gdzie stałem. Jednak rumak nie spadł i nie zniknął, na co liczyłem. Poruszał się jak w galopie, a choć jego szybkość nie była proporcjonalna do wysiłku, biegł nad otchłanią mniej więcej o połowę wolniej niż normalnie.

W tym czasie zauważyłem, że w dali, z której tu przybył, wynurza się kolejna postać, prawdopodobnie zdążająca ku mnie. Nie miałem innego wyjścia: musiałem walczyć w nadziei, że pozbędę się pierwszego napastnika, zanim zaatakuje drugi.

Tymczasem czerwone spojrzenie jeźdźca przesunęło się po mojej postaci, padło na Grayswandira i znieruchomiło. Nie wiem, co wzbudzało tę obłąkaną iluminację za moimi plecami, jednak raz jeszcze pobudziła do życia delikatne linie na ostrzu: wryty tam fragment Wzorca błysnął iskrami wzdłuż klingi. Jeździec był wtedy bardzo blisko, jednak ściągnął wodze i gwałtownie podnosząc

głowę spojrział mi w oczy.

– Znam ciebie! – krzyknął. – Jesteś tym, którego nazywają Corwinem!

Ale wtedy już go mieliśmy: ja i mój sprzymierzeniec rozpełd.

Przednie kopyta wierzchowca sięgnęły gruntu, a ja skoczyłem naprzód. Instykt nakazał zwierzęciu, by nie zważając na ściągnięte wodze szukać oparcia dla tylnych nóg. Jeździec uniósł klingę do osłony, ale odstałem w bok i zaatakowałem go z lewej. Kiedy przesunął swój miecz, ja już wyprowadzałem pchnięcie. Grayswandir przebił jego bladą skórę tuż pod mostkiem, ponad trzewiami.

Wyrwałem ostrze, a z rany, niby strugi krwi, strzeliły potoki ognia. Prawe ramię tamtego opadło bezwładnie, a kiedy płomienny strumień padł na szyję rumaka, zwierzę wydało dźwięk podobny do gwizdu. Odskoczyłem, gdy jeździec runął do przodu, a koń, teraz już stojąc pewnie, rzucił się na mnie, kopiąc i wierzgając.

Ciąłem odruchowo. Ostrze drasnęło lewą przednią nogę, która także zapłonęła jasno.

Odskoczyłem, gdy rumak zawrócił i ruszył na mnie po raz drugi. Wtedy właśnie jeździec zmienił się w kolumnę ognia. Zwierzę ryknęło, obróciło się w miejscu i rzuciło do ucieczki. Bez zatrzymania przeskoczyło nad krawędzią i runęło w otchłań, pozostawiając mnie sam na sam ze wspomnieniem tłącej się głowy kota, który przemawiał do mnie tak dawno temu. I z dreszczem, który zawsze towarzyszył temu obrazowi.

Stałem oparty o skałę i dyszałem ciężko. Mglista ścieżka podpłynęła bliżej, na jakieś trzy metry od krawędzi. Drugi jeździec zbliżał się szybko. Nie był tak blady jak pierwszy. Miał ciemne włosy i rumieniec na twarzy, a jego wierzchowcem był gniadosz z odpowiednią grzywą. Trzymał kuszę, napiętą i z nałożonym bełtem. – Obejrzałem się, ale nie dostrzegłem żadnej kryjówki, żadnej skalnej szczeliny, gdzie mógłbym się skryć.

Wytarłem dłoń o spodnie i chwyciłem Grayswandira za klingę. Obróciłem się bokiem, by stanowić możliwie najwęższy cel. Uniosłem miecz, z rękojeścią na poziomie głowy, ostrzem ku ziemi. Nie miałem innej tarczy.

Jeździec zatrzymał się w najbliższym mi punkcie mglistego pasma. Wolno uniósł kuszę wiedząc, że jeśli nie powali mnie pierwszym strzałem, mogę cisnąć mieczem jak włócznią. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Był szczupły, bez zarostu. Chyba jasnooki, za zmrużonymi przy celowaniu powiekami. Całkowicie panował nad wierzchowcem, choć kierował nim jedynie naciskiem kolan. Miał duże, pewne, spokojne dłonie. Gdy na niego patrzyłem, ogarnęło mnie nagle niezwykle uczucie.

Chwila trwała długo, rozciągnięta poza punkt działania. Odchylił się lekko i odrobinę opuścił broń, choć postawa nadal była pełna napięcia.

– Ty! – zawołał. – Czy ta klinga to Grayswandir?

– Tak – odparłem.

Wciąż przyglądał mi się w skupieniu, a coś wewnątrz mnie szukało słów, które mogłoby przywdziać. Nie znalazło i nago pobiegło w noc.

– Czego tu chcesz? – zapytał.

– Odejść.

Bełt kuszy trafił skałę daleko przede mną, po lewej stronie.

– Idź więc – powiedział. – To dla ciebie niebezpieczne miejsce.

Zawrócił konia w stronę, z której przybył.

Opuściłem Grayswandira.

– Nie zapomnę o tobie – obiecałem.

– Tak – odparł. – Pamiętaj.

Po czym odjechał galopem, a po chwili odpłynęło również pasmo gazy.

Wsunąłem Grayswandira do pochwy i zrobiłem krok w przód, świat znowu zaczynał obracać się wokół mnie, światło następowało po prawej stronie, ciemność cofała się po lewej. Szukałem jakiejś drogi, by pokonać skalną ścianę za plecami. Zdawało się, że sięga zaledwie dziesięciu, może piętnastu metrów w górę i chciałem obejrzeć widok z jej szczytu. Moja półka ciągnęła się dość daleko w obie strony. Po bliższej inspekcji jednak wyszło na jaw, że po prawej droga zwęża się szybko, nie gwarantując odpowiedniego podejścia. Poszedłem więc w lewo.

Dotarłem do mniej gładkiego fragmentu skały, na przewężeniu za kamienną odnogą. Spojrzałem w górę; wejście wydawało się możliwe. Sprawdziłem, czy z tyłu nie grozi mi jakieś nowe niebezpieczeństwo. Widmowa droga odpłynęła jeszcze dalej. Nie dostrzegłem żadnych jeźdźców. Zacząłem wspinaczkę.

Podejście nie było trudne, choć wysokość okazała się większa, niż sądziłem patrząc z dołu – pewnie objaw tego zakrzywienia przestrzennego, które zakłócało mi percepcję tak wielu rzeczy w tym miejscu. Po pewnym czasie podciągnąłem się w górę i stanąłem wyprostowany.

Miałem stąd lepszy widok na stronę przeciwną do otchłani.

Raz jeszcze spojrzałem na chaos barw. Od prawej strony pędziła je przed sobą ciemność. Teren, nad którym tańczyły, był pełen skał i kraterów, bez śladów życia. Przez sam jego środek, od horyzontu po góry gdzieś po prawej stronie, atramentowymi serpentynami wiło się coś, co mogło być tylko czarną drogą.

Po kolejnych dziesięciu minutach wspinaczki zająłem pozycję, z której mogłem zobaczyć jej początek. Szeroką przełęczą przekraczała góry i biegła do samej krawędzi otchłani. Tam jej czerń stapiała się z ciemnością, widoczna jedynie dzięki temu, że nie świeciły przez nią gwiazdy.

Wykorzystując to przesłonięcie starałem się prześledzić jej bieg i odniosłem wrażenie, że ciągnie się aż do ciemnego wzniesienia, wokół którego dryfowały mgliste pasma.

Położyłem się na brzuchu, by jak najmniej zakłócać kontur skalnego grzbietu, w razie gdyby obserwowały go czyjeś niewidoczne oczy. Leżąc myślałem o tym, co umożliwiło to przejście. Uszkodzenie Wzorca sprawiło, że Amber stanął otworem dla czarnej drogi i wierzyłem, że moja klątwa była tu czynnikiem wyzwalającym. Teraz czułem, że wszystko to zdarzyłoby się i bez mojego udziału, choć bez wątplenia odegrałem ważną rolę.

Wina wciąż leżała po mojej stronie, choć już niecałkowicie, jak kiedyś uważałem. Wspomniałem Eryka, konającego na zboczu Kolviru. Powiedział wtedy, że choć mnie nienawidzi, przedśmiertną klątwę zachowuje dla wrogów Amberu. Innymi słowy, dla tych tutaj. Cóż za ironia losu. Wszystkie moje wysiłki służyły temu, by dopełnić ostatniej woli najmniej kochanego brata. Jego klątwa, by wymazać moją klątwę, ze mną jako czynnikiem wykonawczym. Może tak właśnie być powinno, gdyby spojrzeć z jakiejś szerszej perspektywy.

Wypatrywałem – i byłem szczęśliwy, że bezskutecznie – szeregów lśniących jeźdźców podążających lub gromadzących się na tej drodze. Jeśli jakiś korpus ekspedycyjny już nie wyruszył, Amber był chwilowo bezpieczny. Natychmiast jednak zaniepokoiło mnie kilka spraw. Przede wszystkim, jeśli czas w tym miejscu zachowywał się tak dziwacznie, jak mogłoby tego dowodzić przypuszczalne pochodzenie Dary, to dlaczego nie nastąpił kolejny atak? Mieli z pewnością dość czasu, by odzyskać siły i przygotować inwazję. Czyżby coś się przydarzyło, całkiem niedawno według czasu Amberu, co diametralnie zmieniło ich strategię? A jeśli tak, to co?

Moja broń? Powrót Branda do zdrowia? A może coś całkiem innego? Czy ktokolwiek z rodzeństwa stał ostatnio tu, gdzie ja stałem, i spoglądał na Dworce Chaosu, wiedząc o czymś, o czym

ja nie miałem pojęcia?

Postanowiłem, gdy tylko wrócę, wypytać o to Branda i Benedykta.

Wszystko to skierowało moje myśli na problem, jak zachowuje się tutaj czas wobec mnie. Lepiej nie czekać ani chwili dłużej. Przejrzałem Atuty zabrane z biurka Dworkina. Wprawdzie wszystkie były interesujące, jednak żaden nie przedstawiał znajomej scenerii. Zajrzałem więc do swojego futerału i przerzuciłem karty. Wybrałem Randoma. Może to właśnie on niedawno próbował się ze mną skontaktować. Podniosłem Atut i wpatrzyłem się w niego.

Po chwili rozplątał się i spojrzałem na zamglony kalejdoskop obrazów, a w ich centrum wyobrażenie Randoma. Ruch i poskręcane perspektywy...

– Randomie – odezwałem się. – To ja, Corwin.

Czułem jego umysł, ale odpowiedź nie napłynęła. Przyszło mi do głowy, że pewnie był w trakcie piekielnego rajdu, bez reszty skoncentrowany na przemianach materii Cienia wokół siebie. Nie mógł odpowiedzieć, nie tracąc kontroli. Przesłoniłem Atut dłonią i przerwałem kontakt.

Wyjąłem kartę Gerarda. Po chwili nastąpiło połączenie. Wstałem.

– Gdzie jesteś, Corwinie? – zapytał.

– Na krańcu świata. I chcę wrócić do domu.

– Chodź.

Wyciągnął rękę. Sięgnąłem ku niej, chwyciłem, postąpiłem naprzód.

Byliśmy na parterze pałacu w Amberze, w salonie, gdzie zebraliśmy się w noc po powrocie Branda. Był chyba wczesny ranek. Ogień płonął w palenisku. Byliśmy sami.

– Próbowałem cię szukać – powiedział. – Brand chyba także, ale nie jestem pewien.

– Jak długo mnie nie było?

– Osiem dni.

– Całe szczęście, że się spieszyłem. Co słyszeć?

– Nic złego – zapewnił. – Nie wiem, czego chce Brand. Stale o ciebie pyta, a ja nie mogłem się z tobą skontaktować. W końcu dałem mu talię i kazałem spróbować, czy potrafi zrobić to lepiej. Najwyraźniej nie potrafił.

– Byłem zajęty – wyjaśniłem. – A różnica tempa upływu czasu zbyt duża.

Skinął głową.

– Teraz, kiedy już nic mu nie grozi, wolę go unikać. Znowu wpadł w ten swój ponury nastrój. Twierdzi, że sam może o siebie zadbać. Zresztą, ma rację. I bardzo dobrze.

– Gdzie jest teraz?

– W swoich pokojach. Był tam mniej więcej godzinę temu. Rozmyślał.

– Wychodził gdzieś przez ten czas?

– Kilka niedługich spacerów. Ale od paru dni już wcale.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zaraz do niego pójde. Czy Random przesłał jakąś wiadomość?

– Tak – przyznał. – Kilka dni temu wrócił Benedykt. Powiedział, że znaleźli kilka tropów pozostawionych przez syna Randoma. Pomógł mu sprawdzić niektóre z nich. Jeden prowadził dalej, a Benedykt sądził, że w tak niepewnej sytuacji nie powinien oddalać się od Amberu na zbyt długo. Opuścił więc Randoma, który ma samodzielnie prowadzić poszukiwania. Coś jednak zyskał w tej wyprawie. Wrócił ze sztuczną ręką. Piękna robota. Potrafi robić nią wszystko to, co dawniej.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Coś mi to przypomina.

Przytaknął z uśmiechem.

– Wspominał, że przyniosłeś ten przedmiot z Tir-na Nog'th. Chciałby porozmawiać z tobą na ten temat i to możliwie szybko.

– Wierzę. Gdzie jest?

– Na którymś z posterunków, które ustawia wzdłuż czarnej drogi. Będziesz musiał go szukać przez

Atut.

– Dzięki – powiedziałem. – Coś nowego o Julianie albo Fionie?

Pokręcił głową.

– No, dobrze – ruszyłem ku drzwiom. – Chyba jednak napijemy odwiedzę Branda.

– Chciałbym wiedzieć, po co mu byłeś potrzebny.

– Będę o tym pamiętał – obiecałem.

Wyszedłem z pokoju i skierowałem się w stronę schodów.

# Rozdział 7

---

Zastukałem w drzwi Branda.

– Wejdz, Corwinie.

Przestępując próg zdecydowałem, że nie zapytam, skąd wiedział, że to ja. Mieszkanie było dość mroczne, a w lichtarzach płonęły świece, mimo iż był jasny dzień, a pokój miał cztery okna. Trzy z nich całkowicie, a czwarte częściowo, zasłaniały okiennice. Brand stał właśnie przy czwartym i spoglądał na morze. Był ubrany w czarny aksamit, a na szyi zawiesił srebrny łańcuch. Pas także miał srebrny – z delikatnych, drobnych ogniw. Bawił się małym sztylecikiem, a kiedy wszedłem, nie spojrzał w moją stronę. Wciąż był blady, ale przystrzygł brodę, wymył się i chyba od ostatniego spotkania przybrał trochę na wadze.

– Lepiej wyglądasz – zauważyłem. – Jak samopoczucie?

Odwrócił się i spojrzał na mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Gdzie byłeś, do diabła? – zapytał.

– Tu i ówdzie. Po co mnie szukałeś?

– Pytałem, gdzie byłeś.

– Słyszałem, o co pytałeś – odparłem, ponownie otwierając drzwi. – Teraz wyjdę i wrócę z powrotem. Powiedzmy, że cała rozmowa zacznie się od początku.

Westchnął.

– Przepraszam. Dlaczego wszyscy jesteśmy tacy wrażliwi? Sam nie wiem... No, dobrze. Może lepiej, żebyśmy zaczęli od początku.

Wsunął sztylet do pochwy, przeszedł przez pokój i usiadł w ciężkim, hebanowym fotelu wykładanym skórą.

– Martwiłem się o kilka kwestii, o których dyskutowaliśmy. I o kilka takich, o których nie było mowy. Oczekałem wystarczająco długo, żebyś zdążył załatwić swoje sprawy w Tir-na Nog'th i wrócić. Potem spytałem o ciebie i dowiedziałem się, że jeszcze cię nie ma. Czekałem więc. Najpierw byłem zniecierpliwiony, potem przestraszony, że nasi wrogowie zwabili cię w pułapkę. Kiedy spytałem znowu, powiedziano mi, że byłeś w domu, ale zdążyłeś tylko porozmawiać z żoną Rando – musiało to być niezwykle ważne spotkanie – i przespać się trochę. I znowu zniknąłeś. Zdenerwowałem się, że nie uznałeś za stosowne informować mnie o ostatnich wydarzeniach. Postanowiłem jednak poczekać jeszcze trochę. W końcu poprosiłem Gerarda, żeby się z tobą skontaktował przez Atut. Kiedy nie zdołał, byłem już poważnie zatroskany. Później próbowałem sam i choć kilkakrotnie miałem wrażenie, że docieram, jakoś nie mogłem się przebić. Bałem się o ciebie. A teraz widzę, że przez cały czas nie było żadnych powodów do obaw. Dlatego jestem zdenerwowany.

– Rozumiem. – Usiadłem obok niego. – Tak się złożyło, że czas biegł dla mnie prędzej niż dla ciebie. Dlatego z mojego punktu widzenia prawie się nie oddalałem. Chyba w większym niż ja stopniu odzyskałeś siły po ciosie.

– To przynajmniej daje pewną satysfakcję.

– Sam mam sporo problemów, więc nie dodawaj mi nowych. Szukałeś mnie w jakimś celu. Załatwmy tę sprawę.

– Coś cię męczy – zauważył. – Może o tym powinniśmy najpierw pogadać.

– W porządku. Jeśli chcesz...

Spojrzałem na obraz wiszący na ścianie obok drzwi. Olejne płótno w dość ciemnej tonacji przedstawiało studnię w Miracie i dwóch pogrążonych w rozmowie mężczyzn stojących obok swych koni.

– Masz bardzo charakterystyczny styl – stwierdziłem.

– We wszystkim – odparł.

– Z ust mi wyjąłeś następne zdanie – mruknąłem, poszukałem Atutu Martina i podałem mu.

Zbadał go, zachowując obojętny wyraz twarzy. Raz tylko spojrzał na mnie z ukosa, po czym skinął głową.

– Nie mogę się wyprzeć własnej ręki.

– Ta ręka dokonała czegoś więcej niż tylko stworzenia Atutu. Prawda?

Czubkiem języka oblizał górną wargę.

– Gdzie to znalazłeś? – spytał.

– Tam, gdzie to zostawiłeś, w samym sercu wszystkiego: w prawdziwym Amberze.

– No, tak... – Wstał z fotela i zbliżył się do okna trzymając kartę tak, jakby chciał ją obejrzeć w lepszym świetle. – No, tak – powtórzył. – Wiesz więcej, niż sądziłem. Skąd się dowiedziałeś o istnieniu pierwotnego Wzorca?

Pokręciłem głową.

– Ty odpowiedz najpierw: czy to ty zadałeś cios Martinowi?

Raz jeszcze spojrzał na mnie, przez chwilę stał nieruchomo, po czym kiwnął głową. Jego oczy wciąż studiowały moją twarz.

– Dlaczego?

– Ktoś musiał – wyjaśnił. – Aby otworzyć drogę dla sił, które były nam potrzebne. Ciągnęliśmy losy.

– I ty wygrałeś.

– Wygrałem? Przegrałem? – Wzruszył ramionami. – Co to ma za znaczenie? Nie wszystko poszło tak, jak planowaliśmy. Jestem teraz innym człowiekiem niż wtedy.

– Zabiłeś go?

– Co?

– Czy zabiłeś Martina, syna Randoma? Czy umarł wskutek ran, jakie mu zadałeś?

Rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia – wyznał. – Jeśli nie, to nie dlatego, że nie próbowałem. Nie musisz szukać dalej. Znalazłeś winnego. A skoro już go masz, co zrobisz dalej?

Pokręciłem głową.

– Ja? Nic. O ile wiem, chłopak może jeszcze żyje.

– Więc przejdźmy do poważniejszych problemów. Od jak dawna wiesz o istnieniu prawdziwego Wzorca?

– Wystarczająco dawno. O jego pochodzeniu, jego funkcji, o działaniu na niego krwi Amberu... dostatecznie dawno. Uważniej słuchałem Dworkina, niż mógłbyś sądzić. Jednak nie dostrzegłem żadnych korzyści płynących z naruszania samej osnowy istnienia. Dlatego przez bardzo, bardzo długi czas wołałem nie budzić licha. Zresztą do chwili naszego niedawnego spotkania nie przyszło mi nawet do głowy, że czarna droga może mieć jakiś związek z taką bezmyślnością. Kiedy pojechałem skontrolować Wzorzec, znalazłem Atut Martina i całą resztę.

– Nie miałem pojęcia, że znasz Martina.

– Nigdy w życiu nie widziałem go na oczy.

– Więc skąd wiedziałeś, że to on został przedstawiony na Atucie?



– Nie byłem sam w owym miejscu.

– A z kim?

Uśmiechnąłem się.

– Nie, Brandzie. To wciąż twoja kolej. Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedziałeś, że nasi wrogowie przybyli aż od Dworców Chaosu, że mieli dostęp do naszej dziedziny poprzez coś, co stworzyliście ty, Bleys i Fiona, kiedy mieliście jeszcze wspólne poglądy na optymalne metody zdobycia tronu. Teraz już wiem, co zrobiliście. Jednakże Benedykt pilnuje czarnej drogi, a ja sam niedawno spoglądałem na Dworce Chaosu. I nie dostrzegliśmy żadnego grupowania wojsk, żadnych ruchów na czarnej drodze. Wiem, że czas płynie tam inaczej. Powinni bez żadnych problemów przygotować kolejny atak. Chcę wiedzieć, co ich powstrzymuje. Dlaczego nie ruszyli? Na co czekają, Brandzie?

– Żądasz informacji, których nie posiadam.

– Nie sądzę. Jesteś uznanym ekspertem w tej dziedzinie. Prowadziłeś z nimi rozmowy. Ten Atut jest dowodem, że nie wyznałeś mi wszystkiego. Nie próbuj kluczyć, tylko mów.

– Dworce... – powtórzył. – Nie traciłeś czasu. Eryk był durniem, że nie kazał zabić cię od razu... o ile zdawał sobie sprawę z twojej wiedzy.

– Eryk był durniem – zgodziłem się. – Ale ty nie jesteś. Więc mów.

– Ależ jestem – oświadczył. – W dodatku sentymentalnym durniem. Czy pamiętasz naszą ostatnią kłótnię, tu w Amberze, dawno temu?

– Mniej więcej.

– Siedziałem wtedy na łóżku. Ty stałeś przy biurku. Kiedy się odwróciłeś i podszedłeś do drzwi, postanowiłem cię zabić. Sięgnąłem pod łóżko, gdzie zawsze trzymam naciągniętą kuszę ze strzałą. Miałem ją już w ręku i chciałem wymierzyć, gdy zauważyłem coś, co mnie powstrzymało.

Urwał.

– Co to było? – zapytałem.

– Spójrz tam, koło drzwi.

Spojrzałem, ale nie dostrzegłem niczego szczególnego. Pokręciłem głową, a on dodał:

– Na podłodze.

Wtedy zrozumiałem: rdzawy, oliwkowy, zielony, w drobny, geometryczny deseń.

Przytaknął.

– Stałeś na moim ulubionym dywanie. Nie chciałem poplamić go krwią. Później gniew minął. Tak więc, jak sam widzisz, ja również jestem niewolnikiem emocji i okoliczności.

– Wzruszająca historia... – zacząłem. – Ale teraz wolałbyś, żebym przeszedł do tematu.

– Ale ja wcale nie zmieniłem tematu. Próbowałem przeprowadzić porównanie. Wszyscy żyjemy dzięki czyjejś tolerancji i szczęśliwym przypadkom. Chcę zaproponować odłożenie na bok tej tolerancji i eliminację możliwych przypadków w kilku niezwykle ważnych kwestiach. Najpierw jednak postaram się odpowiedzieć na twoje pytanie. Nie wiem wprawdzie, co ich powstrzymuje, ale mogę chyba zaryzykować pewne hipotezy, moim zdaniem prawdopodobne. Bleys zebrał wielkie siły, mające zaatakować Amber. Na pewno daleko im do skali tej inwazji, w której sam wzięłeś udział. Liczy jednak na reakcję warunkowaną wspomnieniami z tamtej bitwy. Przypuszczam, że przed natarciem spróbują zamordować ciebie i Benedykta. Cały ten manewr posłuży jednak tylko odwróceniu uwagi. Sądzę, że Fiona nawiązała kontakt z Dworcami Chaosu, może nawet przebywa tam w tej chwili i przygotowała ich do prawdziwego ataku. Można go oczekiwać w każdej chwili, po zbrojnej wycieczce Bleysa. Zatem...

– Mówisz, że to prawdopodobna hipoteza – przerwałem. – Ale przecież nie wiemy nawet, czy

Bleys jeszcze żyje.

– Bleys żyje – oświadczył. – Za pomocą Atutu zdołałem się o tym przekonać. A nawet uzyskać krótki wgląd w jego działania, zanim wyczuł moją obecność i zablokował połączenie. Jest bardzo wyczulony na taką inwigilację. Widziałem go w polu, wśród żołnierzy, których chce użyć przeciw Amberowi.

– A Fiona?

– Nie. Wolałem unikać eksperymentów z jej Atutem, i tobie też je odradzam. Jest wyjątkowo groźna; nie chciałem się otwierać na jej wpływy. Domysły na temat jej aktualnej sytuacji opieram raczej na dedukcji niż na bezpośredniej wiedzy. Chociaż skłonny jestem na nich polegać.

– Rozumiem.

– Mam pewien plan.

– Mów.

– Uwolniłeś mnie z więzienia niezwykle chytrym sposobem: połączyłeś moc koncentracji wszystkich obecnych. Możemy jeszcze raz użyć tej samej techniki, choć w innym celu. Taka potęga bez trudu przełamie bariery ochronne jednego człowieka... Nawet kogoś takiego jak Fiona. Pod warunkiem, że zostanie właściwie pokierowana.

– Inaczej mówiąc: pokierowana przez ciebie?

– Oczywiście. Proponuję zebrać całą rodzinę i przeforsować kontakt z Fioną i Bleysem, gdziekolwiek się znajdują. Przytrzymamy ich, zablokujemy fizycznie. Wystarczy na chwilę. Żebym tylko zdążył uderzyć.

– Tak jak z Martinem?

– Wierzę, że lepiej. Martin wyrwał się w ostatniej chwili. Tym razem, gdy wszyscy będziecie mi pomagać, powinniśmy tego uniknąć. Przypuszczam, że wystarczy nawet troje albo czworo.

– Naprawdę sądzisz, że przeprowadzisz wszystko bez problemów?

– Wiem, że należy próbować. Czas ucieka. Będziesz jednym z tych, którzy zostaną zlikwidowani zaraz po zdobyciu Amberu. Ja zresztą też. Co ty na to?

– Jeśli mnie przekonasz, że to naprawdę konieczne; wtedy nie będę miał innego wyjścia, jak tylko wyrazić zgodę.

– Uwierz mi, to konieczne. Następną sprawą: będę potrzebował Klejnotu Wszechmocy.

– Po co?

– Jeśli Fiona rzeczywiście przebywa w Dworcach Chaosu, sam Atut nie wystarczy, żeby jej dosięgnąć i przytrzymać... Nawet gdybyśmy wszyscy próbowali. W jej przypadku Klejnot jest niezbędny, by zogniskować naszą energię.

– Sądzę, że to się da załatwić.

– Im szybciej zaczniemy, tym lepiej. Możesz zorganizować wszystko na dziś wieczór? Czuję się całkiem dobrze i potrafię wykonać swoje zadanie.

– Nie, do diabła – odparłem wstając.

– Co znaczy: nie? – Zacisnął palce na poręczach fotela i uniósł się lekko. – Dlaczego?

– Powiedziałem przecież: zgodzę się, jeśli mnie przekonasz, że to konieczne. Sam przyznałeś, że większa część twoich wywodów to hipotezy. Choćby to samo wystarczy, żebym nie był przekonany.

– Więc zapomnij o przekonaniach. Czy możesz sobie pozwolić na ryzyko? Następny atak, Corwinie, będzie o wiele silniejszy od poprzedniego. Wiedzą już o twojej nowej broni. Uwzględnią ją w swoich planach.

– Nawet gdybym się z tobą zgodził, Brandzie, to z pewnością nie przekonam pozostałych, że egzekucje są konieczne.

– Nie przekonasz? Po prostu im powiedz! Trzymasz ich teraz za gardło, Corwinie. Jesteś na szczycie. Chcesz chyba tam pozostać?

Uśmiechnąłem się i podszedłem do drzwi.

– I pozostanę – zapewniłem. – Załatwiam sprawy po swojemu. Zachowam w pamięci twoje sugestie.

– Po twojemu będziesz trupem. Szybciej, niż myślisz.

– Znowu stoję na twoim dywanie – zauważyłem.

Wybuchnął śmiechem.

– Bardzo dobrze. Ale nie próbowałem ci grozić. Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Jesteś odpowiedzialny za cały Amber. Nie możesz popełnić błędu.

– Ty także wiesz, o co mi chodzi. Nie zabiję kolejnej dwójki rodzeństwa jedynie z powodu twoich podejrzeń. Potrzebuję czegoś więcej.

– Kiedy to dostaniesz, może być za późno.

Wzruszyłem ramionami.

– Zobaczymy.

Chwyciłem za klamkę.

– Co teraz zrobisz?

Pokręciłem głową.

– Nie opowiadam wszystkim dookoła tego, co wiem, Brandzie. To rodzaj ubezpieczenia.

– Doceniam to. Mam tylko nadzieję, że wiesz wystarczająco dużo.

– A może się boisz, że wiem za dużo?

Przez sekundę błysnęła w jego oczach czujność. Potem się uśmiechnął.

– Nie boję się ciebie, bracie – oznajmił.

– To dobrze, gdy ktoś nie ma powodów do lęku – odparłem.

Otworzyłem drzwi.

– Zaczekaj – rzucił.

– Tak?

– Nie powiedziałaś, kto był z tobą, kiedy znalazłeś Atut Martina w miejscu, gdzie go zostawiłem.

– Ach... to Random.

– Rozumiem. Czy jest świadom wszystkich szczegółów?

– To znaczy, czy wie, że pchnąłeś nożem jego syna? Odpowiedź brzmi: nie. Jeszcze nie.

– Rozumiem. A co z nową ręką Benedykta? Słyszałem, że jakoś wyniosłeś ją z Tir-na Nog'th.

Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

– Nie teraz – powiedziałem. – Zostawmy coś na nasze następne spotkanie. Przecież to już niedługo.

Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi, dziękując w myślach dywanowi.

# Rozdział 8

---

Odwiedziłem kuchnię, starannie przygotowałem gigantyczny posiłek i zniszczyłem go doszczętnie. Potem ruszyłem do stajni, gdzie wyszukałem pięknego, młodego gniadosza. Dawniej należał do Eryka. Mimo to zaprzyjaźniliśmy się szybko i wkrótce podążaliśmy szlakiem prowadzącym w dół Kolviru, do obozu moich oddziałów z Cienia. Jechałem, trawiłem i próbowałem ułożyć w myślach wszystkie zdarzenia i fakty ostatnich kilku godzin. Jeżeli Amber istotnie powstał w wyniku aktu buntu Dworkina w Dworcach Chaosu, to wszyscy byliśmy spokrewnieni z siłami, które nam zagrażały.

Oczywiście, trudno ocenić, w jakiej mierze słowa starca zasługują na zaufanie. Jednakże czarna droga biegła wprost do Dworców Chaosu i najwyraźniej pojawiła się w rezultacie rytuału Branda, który z kolei opierał się na zasadach przekazanych przez szalonego maga. Szczęśliwie te fragmenty opowieści, w które najtrudniej było uwierzyć, z czysto praktycznego punktu widzenia nie miały istotnego znaczenia. Chociaż żywiłem dość mieszane uczucia dla teorii o swoim pochodzeniu od Jednorożca...

– Corwinie!

Ściągnąłem wodze. Otworzyłem umysł na przesłanie i pojawił się obraz Ganelona.

– Tu jestem – powiedziałem. – Jak zdobyłeś komplet Atutów? I jak nauczyłeś się ich używać?

– Zabrałem jedną talię z biblioteki. Już dość dawno. Pomyślałem, że dobrze będzie dysponować jakimś środkiem łączności w nagłych wypadkach. Co do używania, to właśnie zrobiłem to, co chyba wy wszyscy: popatrzyłem na Atut, pomyślałem o nim, skupiłem się na kontakcie z przedstawioną osobą.

– Sam powinienem dać ci komplet. Zapomniałem o tym i cieszę się, że naprawiłeś to przeoczenie.

Wypróbujesz je teraz, czy coś się stało?

– Stało się – odpowiedział. – Gdzie jesteś?

– Zupełnie przypadkiem jadę właśnie, żeby się z tobą zobaczyć.

– Nic ci nie jest?

– Nie.

– To dobrze. W takim razie zaczekam. Wolę na razie nie próbować przeciągania cię przez to cudo, tak jak wy to robicie. Sprawa nie jest aż tak pilna. Spotkamy się wkrótce.

– W porządku.

Przerwał kontakt, a ja spałem konia i ruszyłem dalej.

Przez chwilę byłem zirytowany, że zwyczajnie nie poprosił mnie o Atuty. Potem przypomniałem sobie, że byłem nieobecny prawie tydzień czasu Amberu. Pewnie się o mnie martwił, a wolał nie zwracać się do innych z taką prośbą. Może i słusznie.

Zjazd minął szybko, podobnie jak pozostała część drogi. Koń, który, nawiasem mówiąc, nazywał się Werbel, był szczęśliwy, że może się przejechać; przy każdej okazji przejawiał skłonność do przechodzenia w galop. W pewnym momencie pozwoliłem mu na to, żeby się trochę zmęczył. Po chwili dostrzegłem obóz.

Mniej więcej w tym samym czasie zdałem sobie sprawę, że tęsknię za Gwiazdą.

Kiedy wjechałem do obozu, zogniskowałem na sobie wszystkie spojrzenia. Ludzie salutowali. Gdzie przejeżdżałem, robiło się cicho i ustawała wszelka praca.

Zastanawiałem się, czy wierzą, że przybyłem wysłać ich do bitwy.

Zanim zeskoczyłem z siodła, w otworze namiotu stanął Ganelon.

– Szybko – zauważył, ściskając mi prawicę. – Piękny koń.

– Owszem – przyznałem, rzucając wodze jego ordynansowi. – Co nowego?

– No... – mruknął. – Rozmawiałem z Benedyktem..

– Coś się dzieje na czarnej drodze?

– Nie, nic podobnego. Przyjechał do mnie, kiedy wrócił od tych swoich przyjaciół, tych Tecysów.

Powiedział, że u Randoma wszystko w porządku i podąża jakimś śladem pozostawionym przez Martina. Potem zaczęliśmy gadać o innych sprawach i w końcu poprosił, żebym mu opowiedział wszystko, co wiem o Darze. Random mu mówił, jak przeszła Wzorzec, i uznał, że zbyt wielu ludzi potwierdza jej istnienie.

– I co mu powiedziałaś?

– Wszystko.

– O domysłach i spekulacjach... po Tir-na Nog'th?

– Właśnie tak.

– Rozumiem. Jak to przyjął?

– Chyba się ucieszył. Nawet był szczęśliwy. Zresztą sam z nim pogadaj.

Skinąłem głową, a on podszedł do namiotu, odchylił klapę i stanął z boku. Wszedłem.

Benedykt siedział na niskim stołku przy skrzyni, na której leżała rozłożona mapa. Przesuwał po niej długim, metalowym palcem lśniącej, szkieletowej dłoni, tkwiącej na końcu śmiercionośnego, okablowanego srebrem i łączonego płomieniem mechanicznego ramienia, umocowanego do kikuta prawej ręki trochę poniżej punktu, gdzie został odcięty rękaw brązowej koszuli. Ten widok sprawił, że zadrzałem: tak bardzo przypominał ducha spotkanego w mieście na niebie. Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Potem skinął ręką na powitanie – lekkim, perfekcyjnie wykonanym gestem. Na jego twarzy dostrzegłem najszerszy uśmiech, jaki widziałem w życiu.

– Corwinie! – powiedział, po czym wstał i wyciągnął tę rękę.

Zmusiłem się, by uścisnąć aparat, który omal mnie nie zabił. Jednak Benedykt sprawiał wrażenie przychylniej do mnie nastawionego, niż był przedtem. Potrząsałem nową dłonią. Ucisk palców był idealny. Próbowałem nie zwracać uwagi na jej chłód i kanciastość; prawie mi się udało. Byłem zdumiony, że tak szybko zdołał opanować urządzenie.

– Jestem ci winien przeprosiny – powiedział – Źle cię oceniłem. Przepraszam.

– Drobiazg. Rozumiem.

Uścisnął mnie, a moją wiarę, że między nami nareszcie zapanowała zgoda, przyćmiewał jedynie dotyk tych precyzyjnych, morderczych palców na ramieniu.

Ganelon parsknął śmiechem i wniósł dodatkowy stółek, który ustawił po przeciwnej stronie skrzyni.

Z początku byłem zły, że poruszył temat, którego wolałem unikać niezależnie od okoliczności. Jednak wobec efektów tej niedyskrecji gniew minął: nie pamiętam, żebym widział Benedykta w lepszym nastroju.

Ganelon był wyraźnie zadowolony, że doprowadził do zakończenia naszych sporów. Uśmiechnąłem się także. Odpiąłem pas, zawiesiłem Grayswandira na maszcie namiotu i przyjąłem podsunęty stółek. Ganelon wyjął trzy kielichy i butelkę wina.

– W podziękowaniu za gościnę w twoim namiocie – powiedział nalewając. – Tamtej nocy, w Avalonie.

Z cichutkim stukiem Benedykt ujął kielich.

– W tym namiocie jest więcej swobody – zauważył. – Prawda, Corwinie?

Przytaknąłem i uniosłem kielich.

– Wypijmy za tę swobodę. Oby trwała zawsze.

– Po raz pierwszy od bardzo dawna – powiedział – miałem okazję do szczerzej rozmowy z Randomem. Zmienił się trochę.

– To prawda.

– Bardziej jestem teraz skłonny mu zaufać, niż za dawnych dni. Kiedy opuściliśmy Tecysów, mieliśmy dość czasu na dyskusje.

– Dokąd zmierzaliście?

– Pewne uwagi, jakie Martin wypowiedział w obecności swoich gospodarzy, sugerowały, że ruszył do pewnego znanego mi miejsca w głębi Cienia: do blokowego miasta Heerat. Dotarliśmy tam i stwierdziliśmy, że odgadliśmy prawidłowo. Przejeżdżał tamtędy.

– Nie słyszałem o Heerat – wyznałem.

– To skupisko cegieł i kamieni, centrum handlowe na skrzyżowaniu kilku szlaków kupieckich. Random uzyskał tam informacje, które poprowadziły go na wschód i zapewne jeszcze dalej w Cień. Rozstaliśmy się w Heerat, gdyż nie chciałem na tak długo opuszczać Amberu. Była też pewna sprawa natury osobistej, którą chciałem zbadać. Random opowiadał, że widział, jak w dniu bitwy Dara przeszła Wzorzec.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Przeszła. Też tam byłem.

Skinął głową.

– Wspomniałem już, jakie wrażenie wywarł na mnie Random. Wierzyłem, że mówi prawdę. Jeśli tak, to może i ty nie kłamałeś. W tej sytuacji musiałem zająć się tą dziewczyną. Ty byłeś nieosiągalny, więc odwiedziłem Ganelona. Przybyłem parę dni temu i skłoniłem do opowiedzenia wszystkiego, co wiedział o Darze.

Spojrzałem na Ganelona, który lekko pochylił głowę.

– Zatem wierzysz teraz, że odkryłeś nową krewną – stwierdziłem. – Kłamliwą z natury, i możliwe, że naszą nieprzyjaciółkę, ale jednak krewną. Co teraz zrobisz?

Pociągnął łyk wina.

– Chciałbym wierzyć w nasze pokrewieństwo. Sama idea wydaje się interesująca. Dlatego zależy mi na całkowitej pewności. Gdyby się okazało, że naprawdę jesteśmy rodziną, chciałbym z kolei zrozumieć motyw jej postępowania. I dlaczego nigdy nie dała mi znać o swym istnieniu.

Odstawił kielich, podniósł nową dłoń i rozprostował palce.

– Zacznę więc – ciągnął – od pytania o twoje przeżycia w Tir-na Nog'th, mające związek ze mną i z Darą. Ciekaw też jestem, skąd wzięła się ta ręka, która jest jakby specjalnie dla mnie stworzona. Nie słyszałem jeszcze o obiekcie fizycznym, przyniesionym z miasta na niebie.

Zacisnął palce w pięść, rozprostował je, obrócił dłoń, wyciągnął rękę, podniósł i opuścił delikatnie na kolano.

– Random wykonał niezwykle udaną operację, nie sądzisz? – zakończył.

– Niezwykle – zgodziłem się.

– Więc opowiesz mi wszystko?

Kiwnąłem głową i wypilem łyk wina.

– Wszystko zdarzyło się w pałacu na niebie – zacząłem. – Otaczały mnie zmienne, atramentowe cienie. Czulem, że muszę dotrzeć do sali tronowej. Uczyniłem to, a kiedy cienie się rozstały, dostrzegłem ciebie, stojącego po prawej stronie tronu. Miałeś tę rękę. Kiedy wszystko jeszcze bardziej pojaśniało, zobaczyłem Darę na tronie. Podszedłem i dotknąłem jej Grayswandirem, dzięki czemu stałem się dla niej widzialny. Oświadczyła, że jestem martwy od wieków i nakazała powrót do grobu. Zażądałem, by wyznała swe pochodzenie. Powiedziała, że jest potomkiem twoim i diablidy

Lintry.

Benedykt odetchnął głośno, ale milczał.

– Czas, mówiła, płynie w miejscu jej narodzin w tempie tak różnym od naszego, że przeminęło tam już kilka pokoleń. Ona była pierwszą, która posiadała wszystkie ludzkie atrybuty. Raz jeszcze nakazała mi odejść. Ty przez ten czas studiowałeś klingę Grayswandira. Potem uderzyłeś, by oddalić od niej niebezpieczeństwo. Walczyliśmy. Moje ostrze mogło cię dotrzeć, twoja ręka mogła dotrzeć mnie. To wszystko. Poza tym był to pojedynek duchów. Kiedy zaczęło wschodzić słońce i miasto zanikało, pochwyliłeś mnie tą dłonią. Odrąbałem ją Grayswandirem i uciekłem. Zabrałem ją ze sobą, ponieważ jej palce były wbite w moje ramię.

– Ciekawe – mruknął Benedykt. – Wiedziałem, że można tam uzyskać fałszywe przepowiednie, obrazujące raczej lęki i ukryte pragnienia przybysza, niż prawdziwy obraz rzeczy przyszłych. Jednak Tir-na Nog'th czasem zdradza także nieznanne wcześniej fakty. I jak zwykle trudno jest oddzielić od plew to, co wartościowe. Jak odczytujesz te zdarzenia?

– Benedykcie – powiedziałem. – W zasadzie wierzę w opowieść o jej pochodzeniu. Ty nigdy jej nie widziałeś, ale ja tak. Jest do ciebie trochę podobna. Co do reszty... to dokładnie tak, jak powiedziałeś: resztki, które pozostają, kiedy oddzielimy prawdę.

Wolno skinął głową i wiedziałem, że nie jest przekonany. Wolałem jednak zakończyć tę rozmowę. Równie dobrze jak ja zdawał sobie sprawę, co implikują owe resztki. Gdyby zdecydował się zażądać tronu i gdyby go zdobył, pewnego dnia rzeczywiście mógłby ustąpić na korzyść swego jedynego potomka.

– Co zrobisz? – spytałem.

– Co zrobię? A co teraz robi Random z powodu Martina? Będę jej szukał, znajdę, wysłucham tej historii z jej własnych ust, a potem zdecyduję. To wszystko musi jednak poczekać, dopóki nie rozwiążemy problemu czarnej drogi. Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym z tobą omówić.

– O co chodzi?

– Jeżeli w ich twierdzy upływ czasu jest tylekroć szybszy, mieli go aż nadto, by przygotować kolejny atak. Nie mam ochoty czekać i spotykać ich tylko w potyczkach, które o niczym nie rozstrzygają. Myślę, by podążać czarną drogą aż do jej początków i uderzyć na ich własnym terenie. Wolałbym zrobić to z twoją zgodą.

– Benedykcie – powiedziałem. – Czy patrzyłeś kiedyś na Dworce Chaosu?

Uniósł głowę i spojrzał na ślepe ściany namiotu.

– Całe wieki temu, kiedy byłem młody – odparł. – Dotarłem w piekielnym rajdzie tak daleko, jak tylko zdołałem. Tam, pod rozdzielonym niebem, zobaczyłem przerażającą otchłań. Nie wiem, czy tam leży mój cel ani czy czarna droga biegnie tak daleko, ale gdyby tak właśnie było, gotów jestem wyruszyć znowu.

– Tak właśnie jest.

– Skąd masz tę pewność?

– Dopiero co powróciłem z tej krainy. Tam unosi się czarna cytadela. Do niej prowadzi droga.

– Czy trudno jest tam dotrzeć?

– Spójrz na to – wydobylem Atut i podałem mu. – Należał do Dworkina. Znalazłem go w jego rzeczach. I właśnie wypróbowałem. Przeniósł mnie. Czas płynie tam bardzo szybko. Zostałem zaatakowany przez jeźdźca na dryfującej ścieżce, której nie przedstawiono na rysunku. Kontakt przez Atuty jest utrudniony, być może z powodu różnicy czasów. Gerard ściągnął mnie z powrotem.

Przyglądał się karcie.

– To chyba to samo miejsce, które wtedy widziałem – mruknął. – To by rozwiązywało problemy

logistyczne. Jeśli staniemy po obu stronach Atutu, możemy przerzucić żołnierzy w taki sam sposób, jak z Kolviru do Garnath w dniu bitwy.

Przytaknąłem.

– To jeden z powodów, dla których pokazałem ci tę kartę: by cię przekonać, że działam w dobrej wierze. Istnieje może sposób mniej ryzykowny od marszu naszych wojsk w nieznaną. Zaczekaj ze swoim planem, póki nie zbadam dokładniej innych możliwości.

– I tak musiałbym czekać, aż zbiorę jakieś dane na temat tego miejsca. Nie wiemy nawet, czy twoja broń będzie tam działała. Prawda?

– Nie, nie wziąłem ze sobą egzemplarza.

Zacisnął wargi.

– Uważam, że powinieneś o tym pomyśleć, zabrać choć jedną sztukę i sprawdzić.

– Okoliczności mojego odjazdu nie pozwoliły na takie przygotowania.

– Okoliczności?

– Innym razem. To teraz nieważne. Wspomniałeś o podążeniu czarną drogą aż do jej początku...

– Owszem...

– To nie jest jej prawdziwy początek. Jej Źródło leży w prawdziwym Amberze, w defekcie pierwotnego Wzorca.

– Tak, słyszałem. I Random, i Ganelon opisali mi waszą drogę do miejsca, gdzie leży prawdziwy Wzorzec. A także jego uszkodzenie, jakie tam odkryliście. Dostrzegam analogię i możliwy związek...

– Pamiętasz moją ucieczkę z Avalonu i twój pościg?

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się lekko.

– Jeden raz przecinaliśmy czarną drogę. Przypominasz sobie?

Zmrużył oczy.

– Tak – przyznał. – Przebiłeś przez nią ścieżkę, świat wrócił tam do normy. Zapomniałem o tym.

– Wzorzec tak na nią podziałał – wyjaśniłem. – Uważam, że można wykorzystać ten efekt na szerszą skalę.

– Jak szerszą?

– Żeby zetrzeć całą drogę.

Odchylił się do tyłu i obserwował moją twarz.

– Dlaczego więc nie zajmujesz się tym?

– Muszę najpierw podjąć pewne przygotowania.

– Ile czasu to potrwa?

– Niewiele. Może tylko parę dni. Może kilka tygodni.

– Czemu wcześniej nic nie mówiłeś?

– Dopiero niedawno się dowiedziałem, jak można to zrobić.

– A jak można to zrobić?

– W zasadzie rzecz sprowadza się do naprawienia Wzorca.

– No, dobrze – westchnął. – Powiedzmy, że ci się uda. Nieprzyjaciel wciąż tam będzie. – Skinął ręką w stronę Garnath i czarnej drogi. – Ktoś już raz otworzył im przejście.

– Nieprzyjaciel zawsze tam był – zauważyłem. – I naszą sprawą będzie dopilnować, by znowu nie otworzono im przejścia... A można to osiągnąć przez odpowiednie potraktowanie tych, którzy zrobili to za pierwszym razem.

– Zgadza się z tobą – oświadczył. – Ale nie to miałem na myśli. Trzeba udzielić im lekcji, Corwinie. Chcę ich nauczyć szacunku dla Amberu, by nawet w przypadku ponownego otwarcia drogi bali się z niej skorzystać. O to mi chodzi. To konieczne.



– Nie zdajesz sobie sprawy, czym będzie walka w tamtym miejscu, Benedyckie. To... dosłownie... nie do opisanego.

Uśmiechnął się, wstając.

– W takim razie, chyba najlepiej sam wszystko obejrzę. Zatrzymam kartę na pewien czas, jeśli nie masz nic przeciw temu.

– Nie mam.

– To dobrze. Zatem, Corwinie, ty zajmiesz się sprawą Wzorca, a ja swoimi sprawami. Ja również potrzebuję czasu. A teraz, na okres mojej nieobecności, muszę wydać oficerom rozkazy. Zawrzyjmy umowę, że żaden z nas nie przedsięwzię niczego ostatecznego bez porozumienia z drugim.

– Zgoda.

Dopiliśmy resztkę wina.

– Wkrótce ja także ruszam w drogę – oznajmiłem. – Zatem: powodzenia.

– I tobie – uśmiechnął się znowu. – Wszystko wygląda lepiej – dodał i wychodząc uściśnął mnie za ramię.

Podążyliśmy za nim na zewnątrz.

– Przyrowadź konia Benedykta – polecił Ganelon ordynansowi, który stał pod drzewem. Potem odwrócił się i wyciągnął rękę do Benedykta. – Ja także chciałbym ci życzyć powodzenia.

Benedykt skinął głową i uściśnął mu dłoń.

– Dzięki, Ganelonie. Za wiele rzeczy.

Wyjął swoje Atuty.

– Zanim doprowadzą mi konia – stwierdził – mogę przekazać Gerardowi ostatnie wieści.

Przerzucił karty, wybrał jedną i spojrział na nią w skupieniu.

– Jak chcesz naprawić Wzorzec? – zapytał Ganelon.

– Muszę najpierw odzyskać Klejnot Wszechmocy – wyjaśniłem. – Z jego pomocą zdołam ponownie wyrysować uszkodzony fragment.

– Czy to niebezpieczne?

– Tak.

– A gdzie jest Klejnot?

– Na cieniu – Ziemi, gdzie go ukryłem.

– A czemu go tam zostawiłeś?

– Bałem się, że mnie zabije.

Wykrzywił twarz w niesamowitym grymasie.

– Nie podoba mi się to wszystko, Corwinie. Musi być jakiś inny sposób.

– Gdybym znał lepszy, na pewno bym go wypróbował.

– A gdyby zwyczajnie postąpić zgodnie z planem Benedykta i pobić ich wszystkich? Sam mówiłeś, że w Cieniu można zwerbować ogromną armię. A poza tym na polu bitwy nie ma równego sobie.

– Jednak uszkodzenie pozostałoby na Wzorcu i ktoś inny by się zjawił, by je wypełnić. W tej chwili to nie wrogowie są ważni, ale nasza własna, wewnętrzna słabość. Jeżeli jej nie usuniemy, to już jesteśmy pokonani, choć żaden obcy zdobywca nie stanął jeszcze w naszych murach.

Odwrócił się.

– Trudno się z tobą spierać. Lepiej znasz własną dziedzinę. Uważam jednak, że możesz popełnić tragiczny błąd, narażając się w zbędnym, być może, przedsięwzięciu i to w chwili, gdy jesteś tak bardzo potrzebny.

Parsknąłem śmiechem, ponieważ – gdy Vialle wypowiedziała to słowo – nie chciałem jej przyznać racji.

– To mój obowiązek – oświadczyłem.

Nie odpowiedział.

Dziesięć kroków od nas Benedykt najwyraźniej połączył się z Gerardem, gdyż na przemian mrucał coś i słuchał.

Czekaliśmy, aż skończy rozmowę i będziemy mogli go pożegnać.

– ...Tak, jest teraz tutaj – słyszałem, jak mówi. – Nie, bardzo wątpię. Ale...

Spojrzał na mnie uważnie i pokręcił głową.

– Nie, nie sędzę – stwierdził. I po chwili: – No dobrze, przechodź.

Wyciągnął swą nową rękę i Gerard pojawił się nagle, ściskając ją. Odwrócił głowę, dostrzegł mnie i natychmiast ruszył w moją stronę.

Przez chwilę badał mnie wzrokiem od góry do dołu, jakby czegoś szukał.

– O co chodzi? – zdziwiłem się.

– O Branda. Nie ma go w jego komnatach. A przynajmniej jego większej części. Zostawił tylko trochę krwi. Cały pokój jest tak zdemolowany, że wygląda, jakby odbyła się tam jakaś walka.

– Szukałeś śladów krwi? – spytałem, oglądając swoją koszulę i spodnie. – Jak widzisz, mam na sobie te same rzeczy, co przedtem. Są może trochę brudne i pomięte, ale nic więcej.

– To niczego nie dowodzi – oświadczył.

– Sam zaczęłeś szukać śladów. To twój pomysł, nie mój. Dlaczego sądzisz, że...

– Byłeś ostatnim człowiekiem, który go widział.

– Oprócz osoby, z którą walczył... o ile naprawdę walczył.

– Co to ma znaczyć?

– Znasz jego temperament i nastroje. Trochę się pokłóciliśmy. Kiedy wyszedłem, mógł zaczął łamać meble, mógł się skaleczyć, zdenerwować i wyatutować, by zmienić okolicę... Czekaj! Jego dywan! Czy były plamy krwi na takim małym, zabawnym dywanie przed drzwiami?

– Nie jestem pewien... Nie, chyba nie. Czemu pytasz?

– To pośredni dowód, że sam to zrobił. Bardzo lubił ten dywan. Nie chciał go poplamieć.

– To do mnie nie przemawia – oznajmił Gerard. – A śmierć Caine'a nadał wygląda podejrzanie... I sług Benedykta, którzy mogli odkryć, że szukasz prochu. A teraz Brand...

– To może być kolejna próba rzucenia na mnie podejrzeń – stwierdziłem. – Zwłaszcza teraz, kiedy moje stosunki z Benedyktem znacznie się poprawiły.

Gerard spojrzał na Benedykta, który nie ruszył się nawet i nadał stał o dziesięć kroków od nas, przyglądał się obojętnie i słuchał.

– Czy wytłumaczył tamte morderstwa? – spytał Gerard.

– Nie bezpośrednio – odparł Benedykt. – Ale większa część jego opowieści wygląda na prawdziwą. Inaczej mówiąc, skłonny byłbym mu uwierzyć.

Gerard pokręcił głową i zmierzył mnie wrogim spojrzeniem.

– Czyli wciąż nie wiadomo – oświadczył. – O co się kłóciliście z Brandem?

– Gerardzie, to nasza sprawa, dopóki Brand i ja nie postanowimy inaczej.

– Ja wyciągnąłem go z ran i ja go pilnowałem, Corwinie. Nie po to, żeby zginął w jakiejś sprzeczce.

– Pomysł chwilę. Czyj to był pomysł, żeby go szukać taką metodą? Żeby go sprowadzić?

– Czegoś od niego chciałeś. I dostałeś w końcu. Potem stał się tylko przeszkodą.

– Nie. Ale nawet gdyby tak było, czy zrobiłbym to w taki sposób, by wszystko wskazywało na mnie? Jeśli zginął, to z tych samych przyczyn, co Caine: żeby mnie obciążyć.

– Tego samego argumentu użyłeś w przypadku Caine'a. Mam wrażenie, że to tylko wybieg. A ty

jestes dobry w wybiegach.

– Mówiliśmy już o tym, Gerardzie...

– I pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem.

– Trudno by było zapomnieć.

Wyciągnął rękę i chwycił mnie za ramię. Natychmiast wbiłem mu prawą pięść w żołądek i odskoczyłem. Pomyślałem wtedy, że może powinienem mu powiedzieć, o czym rozmawialiśmy z Brandem. Ale nie podobał mi się jego sposób zadawania pytań.

Zbliżył się znowu. Trafiłem go lewym sierpowym przy prawym oku. Potem wymierzałem pojedyncze ciosy, głównie żeby nie mógł pochylić głowy. Nie byłem w formie i nie chciałem znowu z nim walczyć. Grayswandir został w namiocie, a nie miałem żadnej innej broni.

Okrażałem go. Rana w boku bolała, kiedy wyprowadzałem kopnięcia lewą nogą. Raz doszedłem prawą do uda, ale byłem zbyt wolny i brakowało mi równowagi, żeby wykorzystać trafienie. Nadal go tylko poszturchiwałem.

W końcu zablokował cios z lewej i zdołał zacisnąć palce na moim bicepsie. Powinienem odskoczyć, ale był całkiem odsłonięty. Wszedłem w zwarcie z mocnym prawym w żołądek. Włożyłem w to uderzenie wszystkie siły. Sapnął i zgiął się w przód, ale nadal trzymał mnie mocno za ramię. Lewą zablokował dolny sierpowy, przesunął rękę wyżej i grzbietem dłoni walnął mnie w pierś. Równocześnie szarpnął moim ramieniem w tył i w bok tak mocno, że runąłem na ziemię. Gdyby mnie wtedy przycisnął, to koniec.

Przyklęknął i sięgnął mi do gardła.

# Rozdział 9

---

Próbowałem zablokować jego rękę, ale nagle zatrzymała się w pół drogi. Odwróciwszy głowę dostrzegłem czyjąś dłoń, która opadła na ramię Gerarda i powstrzymała cios.

Przetoczyłem się. Kiedy spojrzałem znowu, zobaczyłem, że to Ganelon go trzyma. Gerard szarpnął ramieniem, ale nie zdołał się uwolnić.

– Nie mieszaj się do tego, Ganelonie – ostrzegł.

– Ruszaj, Corwinie! – krzyknął Ganelon. – Znajdź Klejnot!

Gerard zaczynał już wstawać. Ganelon trafił go lewym sierpowym w szczękę. Gerard padł jak długi. Ganelon wyprowadził kopnięcie w nerki, ale Gerard chwycił go za stopę i przewrócił na plecy. Podniosłem się z trudem, opierając na jednej ręce.

Gerard zerwał się i zaatakował Ganelona, który właśnie wstawał na nogi. Już miał go dopaść, gdy ten oburącz wymierzył mu cios w splot słoneczny. Gerard stanął jak wryty, a pięści Ganelona zaczęły pracować jak tłoki, atakując żołądek przeciwnika. Przez kilka chwil Gerard był zbyt oszołomiony, by myśleć o obronie.

Kiedy się w końcu pochylił i uniósł ręce, Ganelon trafił prawym w szczękę i Gerard zatoczył się do tyłu. Ganelon natychmiast to wykorzystał: objął go mocno, wysunął prawą stopę i pchnął. Gerard upadł, Ganelon za nim. Przycisnął go do ziemi i zadał potężny cios prawą w szczękę. Głowa Gerarda odskoczyła, a Ganelon poprawił z lewej.

Benedykt chciał interweniować, ale wtedy właśnie Ganelon wstał. Gerard leżał nieprzytomny; z ust i z nosa ciekła mu krew.

Wstałem niepewnie i otrzepałem ubranie.

Ganelon wyszczerzył zęby.

– Lepiej stąd znikaj – poradził. – Nie wiem, jak mi pójdzie w rewanżu. Jedź szukać świecidełka.

Benedykt skinął głową, gdy spojrzałem na niego pytająco. Wróciłem do namiotu po Grayswandira. Kiedy wyszedłem, Gerard nadal leżał nieruchomo, ale przede mną stanął Benedykt.

– Pamiętaj – powiedział. – Masz mój Atut, a ja mam twój. Nic decydującego bez wcześniejszej narady.

Kiwnąłem głową. Chciałem spytać, dlaczego odniosłem wrażenie, że wolałby pomóc raczej Gerardowi niż mnie. Po namyśle jednak postanowiłem nie psuć naszej świeżo odnowionej przyjaźni.

– W porządku.

Ruszyłem po konia. Ganelon ścisnął mnie za ramię, kiedy stanąłem obok niego.

– Powodzenia. Pojechałbym z tobą, ale będę potrzebny tutaj. Zwłaszcza że Benedykt chce się wyatutować do Chaosu.

– Niezła walka – pochwaliłem. – Nie spodziewam się żadnych kłopotów. Nie martw się.

Poszedłem na wybieg. Wkrótce potem siedziałem już w siodle. Ganelon zasalutował na pożegnanie, gdy przejeżdżałem. Benedykt klęczał przy Gerardzie.

Kierowałem się ku najbliższej ścieżce do Ardeny. Za plecami miałem morze, po lewej Garnath i czarną drogę, a Kolvir po prawej. Musiałem odjechać kawałek, zanim zacznę manipulować materia Cienia. Dzień był piękny; kilka wzniesień i dolinek dalej straciłem Garnath z oczu.

Trafiłem na szlak i podążyłem długim łukiem między drzewa, gdzie wilgotne cienie i odległy świergot ptaków przypominały o pamiętanych z dawnych lat długich okresach spokoju... i o jedwabistej, lśniącej postaci macierzystego Jednorozca.

Ból znikał wolno w rytmie jazdy. Wróciłem myślami do niedawnego spotkania. Nietrudno zrozumieć Gerarda; uprzedził mnie o swych podejrzeniach i udzielił ostrzeżenia. Jednak cokolwiek przydarzyło się Brandowi, nastąpiło w tak nieodpowiedniej chwili, że musiała to być kolejna próba opóźnienia lub wręcz uniemożliwienia moich działań. Na szczęście Ganelon był pod ręką i w dobrej formie, by przyłożyć pięści we właściwe miejsca we właściwych momentach. Ciekawe, co zrobiłby Benedykt, gdybyśmy znaleźli się tam tylko we trójkę?

Miałem wrażenie, że zaczekałby i interweniował dopiero w ostatniej chwili, tak by Gerard mnie nie zabił. Nasze stosunki dalekie były od ideału, choć i tak uległy zdecydowanej poprawie.

Wróciłem do problemu, co się stało z Brandem. Czy Fiona i Bleys w końcu go dostali? Czy może próbował samodzielnie wykonać planowane morderstwa, napotkał kontratak i został potem przeciągnięty przez Atut niedosłej ofiary? Albo dawni sprzymierzeńcy z Dworców Chaosu jakoś do niego dotarli? Lub znalazł go jeden z tych grzebieniorękich strażników wieży? A może było tak, jak mówiłem Gerardowi: przypadkowe zranienie w ataku szału, a potem ucieczka z Amberu, by rozmyślać i snuć intrygi w jakimś innym miejscu?

Gdy jedno zdarzenie rodzi tak wiele pytań, rzadko kiedy można znaleźć odpowiedź posługując się wyłącznie logiką. Musiałem jednak rozważyć wszystkie możliwości, by mieć skąd czerpać, gdy pojawiają się nowe dane. Na razie przemyślałem dokładnie wszystko, co mi powiedział, w świetle obecnie posiadanej wiedzy. Z jednym wyjątkiem nie wątpiłem w przedstawione fakty. Budował je zbyt starannie, by cała konstrukcja runęła tak po prostu – ale miał też mnóstwo czasu, żeby to sobie wymyślić. Nie, Co raczej sposób prezentacji zdarzeń miał mnie wprowadzić w błąd. Ostatnia propozycja upewniła mnie co do tego.

Stary szlak kluczył, to się poszerzał, to zwężał, wreszcie skręcił na północny zachód i w dół, do lasu. Puszcza prawie się nie zmieniła. Wydawało się, że tą samą ścieżką całe wieki temu jeździł pewien młody człowiek, o ile nie zboczył akurat w Cień; jeździł dla czystej przyjemności, by zbadać ogromną, zieloną dziedzinę, pokrywającą większą część kontynentu. Dobrze byłoby ruszyć znowu, bez żadnych innych powodów.

Po godzinie znalazłem się w głębi puszczy, gdzie drzewa były ciemnymi wieżami, a promienie słońca jak gniazda feniksów lśniły na najwyższych gałęziach, rozświetlając wiecznie wilgotną, mroczną miękkość, łagodzącą kontury pni, konarów, korzeni i omszałych gałęzi.

Jeleń przeskoczył ścieżkę, nie ufając idealnej kryjówce w gąszczu po prawej stronie. Wokół rozbrzmiewały głosy ptaków – nigdy zbyt blisko. Od czasu do czasu widziałem ślady innych jeźdźców, niektóre całkiem świeże. Niedługo jednak pozostawali na szlaku. Kolvir już dawno zniknął z oczu.

Ścieżka wiodła pod górę i wiedziałem, że wkrótce osiągnę szczyt niewielkiego grzbietu, przejadę między skałami i znów podążę w dół. Drzewa rosły trochę mniej gęsto i wreszcie zobaczyłem skrawek nieba. Rósł, gdy jechałem, a kiedy stanąłem na szczycie, usłyszałem daleki krzyk drapieżnego ptaka.

Podniosłem głowę. Wysoko nade mną zataczał kręgi wielki, czarny cień. Wjechałem między gałęzi i potrząsałem uzdą, by ruszyć galopem, gdy tylko droga będzie wolna. Pędziłem, chcąc jak najszybciej wrócić pod osłonę drzew.

Ptak krzyknął, kiedy tak gnałem, ale bez kłopotów dotarłem do cienia i półmroku. Zwolniłem trochę i nasłuchiwałem, lecz powietrze nie niosło żadnych podejrzanych odgłosów. Ta część lasu nie różniła się prawie od tamtej, którą zostawiłem za grzbietem. Płynął tu tylko niewielki strumień. Przez jakiś czas podążałem równolegle do niego, by wreszcie przekroczyć płytki bród. Szlak się rozszerzał; przez jakieś pół mili trochę więcej światła sączyło się przez liście i płynęło ze mną.

Dotarłem wystarczająco daleko, by spróbować drobnych manewrów z Cieniem, które miały mnie wprowadzić na drogę powrotną do cienia-Ziemi mojego wygnania. Jednak tutaj byłoby to dość trudne; lepiej poczekać jeszcze trochę. Postanowiłem oszczędzić wysiłku sobie i wierzchowcowi, jadąc dalej, do lepszego punktu startowego. Nie zdarzyło się właściwie nic groźnego. Ten ptak był pewnie zwykłym dzikim łowcą.

Jedna myśl tylko nie dawała mi spokoju.

Julian...

Arden był domeną Juliana, patrolowany przez jego łowców, zawsze kryjący liczne obozy jego żołnierzy – wewnętrznej straży granicznej Amberu, strzegącej zarówno przed naturalnymi intruzami, jak i przed stworami, jakie mogą się pojawiać na skraju Cienia.

Dokąd odjechał Julian, znikając nagle z pałacu tamtej nocy, gdy ktoś próbował zaszytutować Branda? Jeśli chciał tylko się ukryć, nie musiał jechać dalej niż tutaj. Tu czuł się pewnie, miał swoich ludzi, poruszał się po terenie, który znał lepiej niż ktokolwiek z nas. Całkiem możliwe, że w tej chwili znajdował się bardzo blisko.

A przy tym lubił polowania. Miał swoje piekielne psy, miał swoje sokoły...

Kilometr, dwa...

Wtedy właśnie usłyszałem głos, którego lękałem się najbardziej. Poprzez zieleń i mrok napłynął dźwięk myśliwskiego rogu. Dobiegał gdzieś z tyłu, chyba z lewej strony szlaku.

Popędziłem konia do galopu. Drzewa po obu stronach zmieniły się w rozmazane pasma. Szlak był równy, bez zakrętów. Wykorzystałem ten fakt.

Potem usłyszałem ryk, rodzaj głębokiego charkotu czy warczenia, wzmacnianego przez rezonans potężnych płuc. Nie wiedziałem, co wydało ten dźwięk, ale z pewnością nie pies. Nawet bestie Juliana tak nie warczały.

Obejrzałem się, ale nie dostrzegłem niczego. Jechałem więc pochylony i uspokajałem Werbla.

Po dłuższej chwili usłyszałem trzask wśród drzew po prawej stronie. Ryk się nie powtórzył. Spojrzałem znowu, nawet kilka razy, ale wciąż nie widziałem, co wywołuje te hałasy. Wkrótce zagrał róg, już o wiele bliżej, i teraz odpowiedziały mu szczekanie i warkot, których nie mogłem pomylić z niczym innym. Nadbiegały piekielne psy – szybkie, potężne, drapieżne bestie, wyszukane przez Juliana w jakimś cieniu i wytresowane do polowania.

Uznałem, że pora spróbować przeskoku. Amber wciąż był silnie obecny wokół mnie, lecz pochwyliłem Cięń najlepiej jak umiałem i rozpocząłem przejście.

Szlak skręcił w lewo, a gdy pędziliśmy, drzewa zmały nagle i odskoczyły na boki. Kolejny skręt i droga wprowadziła nas na polanę średnicy mniej więcej dwustu metrów. Spojrzałem w niebo i zobaczyłem, że ten przeklęty ptak wciąż tam krąży, dostatecznie blisko, żebyśmy pociągnęli go za sobą przez Cięń.

Rzecz była bardziej skomplikowana, niż sądziłem. Potrzebowałem otwartej przestrzeni, gdzie mógłbym zawrócić konia i zamachnąć się mieczem, gdyby już przyszło co do czego. A takie miejsce zdradzało moją pozycję ptakowi, którego – jak się okazało – niełatwo będzie zgubić.

No dobrze. Zbliżyliśmy się do niewysokiego pagórka, wjechaliśmy na szczyt, ruszyliśmy w dół, mijając samotne, rozszczepione piorunem drzewo. Na gałęzi siedział jastrząb, szary, srebrny i czarny. Gwizdnąłem przejeżdżając, a on z dzikim bojowym krzykiem wzniósł się w niebo.

Całkiem wyraźnie rozróżniałem już pojedyncze głosy psów i tętent końskich kopyt. Wmieszane w te dźwięki było jeszcze coś: jakby wibracja i drżenie gruntu. Obejrzałem się, ale nikt ze ścigających nie dotarł jeszcze do szczytu pagórka. Sięgnąłem myślą w przód i chmury zakryły słońce. Niezwykłe kwiaty wyrosły wzdłuż szlaku: zielone, żółte, fioletowe. Nadpłynął łoskot odległych gromów. Polana

poszerzyła się, wydłużyła i stała się zupełnie płaska.

Znów usłyszałem głos rogu. Odwróciłem głowę, by spojrzeć raz jeszcze.

Wskoczyła w pole widzenia i w jednej chwili pojąłem, że nie ja jestem obiektem polowania, że jeźdźcy, psy i ptak ścigają bestię biegnącą za mną. Oczywiście, różnica była raczej akademickiej natury, jako że to ja byłem z przodu i prawdopodobnie ona właśnie na mnie polowała. Pochyliłem się, krzyknąłem do Werbla, wbiłem kolana w jego boki. Natychmiast zrozumiałem, że to paskudztwo potrafi biec szybciej od nas. Zareagowałem panicznie.

Ścigała mnie manticora.

Ostatni raz widziałem je na dzień przed bitwą, w której zginął Eryk. Prowadziłem swoich żołnierzy po stokach Kolviru, a jedna z nich zjawiła się nagle i rozdarła na części człowieka imieniem Rall. Załatwiliśmy ją z karabinów. Miała cztery metry długości i, podobnie jak ta tutaj, ludzką twarz na barkach i tułowiowi lwa. Miała też parę orlich skrzydeł i długi, ostry ogon skorpiona, wygięty nad grzbietem. Kilka sztuk przybłąkało się jakoś z Cienia, by nękać nas, gdy szliśmy do bitwy. Nie było podstaw, by wierzyć, że pozbyliśmy się wszystkich.

Ale nikt ich potem nie widział, nie znalazł też żadnych śladów ich działalności w okolicy Amberu. Najwyraźniej ta jedna zawędrowała do Ardeny i od tamtego dnia żyła w lesie.

Jeszcze raz spojrzałem za siebie. Wiedziałem, że jeśli nie zacznę się bronić, za moment ściągnie mnie z siodła. Dostrzegłem też ciemną ławę psów pędzących ze wzgórza.

Nie znam się na inteligencji ani psychologii manticory.

Na ogół uciekające zwierzę nie zatrzyma się, by zaatakować coś, co nie staje mu na drodze. Instynkt samozachowawczy gra tu kluczową rolę. Z drugiej strony nie byłem pewien, czy manticora uświadamia sobie, że jest ścigana. Mogła biec moim tropem, gdy psy Juliana pochwyliły jej zapach. Mogła myśleć tylko o jednym.

Nie miałem czasu, żeby rozważać wszystkie możliwości. Wyjąłem Grayswandira i szarpnąłem konia w lewo, ściągając wodze, gdy tylko zakończył obrót.

Werbel zarżał i stanął dęba. Poczulem, że się zsuwam, więc zeskoczyłem i odstaپیłem na bok. Zapomniałem jednak, jak szybkie są ogary burzy, z jaką łatwością dopędziły kiedyś mnie i Randa w mercedesie Flory. Nie pamiętałem, że w przeciwieństwie do zwykłych, goniących za samochodami psów, te zaczęły rozrywać wóz na kawałki.

Nagle znalazły się przy manticorze – tuzin alba i więcej psów, skaczących i gryzących ze wszystkich stron. Bestia uniosła głowę i wydała kolejny ryk.

Machnęła silnym ogonem, odrzucając jednego, ogłuszając lub zabijając dwa inne. Stanęła dęba, odwróciła się i opadła, uderzając przednimi łapami.

Jeden z psów zdążył już wgrzyźć się w lewą przednią łapę, dwa następne w tylne, a jeden wskoczył na grzbiet, szarpiąc bark i szyję. Pozostałe krążyły dookoła. Gdy tylko rzucała się na jednego, pozostałe atakowały.

W końcu zabiła żądłem skorpiona tego na grzbiecie, wypruła flaki z wiszącego u łapy. Krwawiła jednak z kilkudziesięciu ran. Szybko stało się jasne, że noga sprawia jej kłopot: nie mogła nią uderzać ani oprzeć się pewnie, gdy walczyła z trzema pozostałymi. Po chwili kolejny pies znalazł się na jej grzbiecie i rozrywał szyję.

Jakoś nie mogła się go pozbyć. Inny doskoczył z boku i rozdarł ucho. Jeszcze dwa gryzły tylne łapy, a kiedy stanęła dęba, następny uderzył w brzuch. Warczenie i jazgot też chyba trochę ją rozpraszały. Na oślep uderzała w ruchliwe, szare cienie.

Pochwyliłem Werbla za uzdę. Próbowałem uspokoić go tak, by wskoczyć na siodło i jak najszybciej się stąd wynieść. Wciąż jednak stawał dęba i próbował uciekać. Samo utrzymanie go w

miejscu wymagało wielkiego trudu.

Manticora zawyla rozpaczliwie. Uderzyła na ślepo w psa na grzbiecie i wbiła żądło we własny bark. Ogary wykorzystały okazję i zaatakowały ze wszystkich stron, szarpiąc i gryząc.

Jestem pewien, że by ją w końcu zagryzły, ale wtedy właśnie jeźdźcy zjechali ze wzgórza. Było ich pięciu, z Julianem na czele. Miał na sobie swoją białą, łuskową zbroję, a na szyi myśliwski róg. Dosiadał gigantycznego wierzchowca, Morgensterna; ta bestia zawsze mnie nienawidziła. Uniósł długą lancę i zasalutował w moją stronę. Potem opuścił ją i krzyknął coś do psów.

Niechętnie porzuciły zdobycz. Nawet ten na grzbiecie manticory rozluźnił chwyt i zeskoczył na ziemię. Cofnęły się wszystkie, gdy Julian mocniej pochwycił lancę i dotknął ostrogami boków Morgensterna.

Bestia spojrzała na niego, ryknęła z ostatecznym wyzwaniem i skoczyła do przodu, odslaniając kły.

Zderzyli się i bark Morgensterna na moment przesłonił mi widok. Po chwili jednak z zachowania zwierzęcia poznałem, że cios doszedł celu.

Obrót – i zobaczyłem bestię rozciągniętą na ziemi.

Strumienie krwi tryskały z jej piersi i kwitły wokół ciemnego drzewca lancy.

Julian zeskoczył z konia. Rzucił pozostałym jakiś rozkaz, którego nie dosłyszałem. Nie ruszyli się z siodeł. Przez chwilę obserwował drgającą jeszcze manticorę, po czym z uśmiechem spojrzał na mnie. Podszedł do powalonego zwierzęcia, oparł mu stopę o pierś, jedną ręką chwycił lancę i wyrwał ze ścierwa. Wbił ją w ziemię i przywiązał Morgensterna do drzewca. Poklepał go, znowu spojrzał na mnie. Wreszcie podszedł.

– Szkoda, że zabiłeś Belę – powiedział, stając przede mną.

– Belę?

Podniósł głowę. Podążyłem za jego wzrokiem. Nie dostrzegłem żadnego z ptaków.

– To jeden z moich ulubionych.

– Przepraszam. Nie rozumiałem, co się dzieje.

Skinął głową.

– Zdarza się. Wyświadczyłem ci przysługę. Teraz ty możesz mi opowiedzieć, co zaszło, kiedy opuściłem pałac. Brand wyszedł z tego?

– Tak – potwierdziłem. – I nie jesteś już podejrzany. Brand stwierdził, że to Fiona chciała go zabić. A jej nie było, żeby to zakwestionować. Też zniknęła tej nocy. Dziwię się, że nie wpadliście na siebie.

– Mogłem się tego domyślić – mruknął z uśmiechem.

– Czemu uciekłeś w tak podejrzanych okolicznościach? To ustawiło cię w nie najlepszym świetle.

Wzruszył ramionami.

– Nie pierwszy raz byłbym fałszywie oskarżony czy podejrzewany. Zresztą, gdyby zamiary miały się liczyć, to jestem równie winien, jak nasza mała siostrzyczka. Gdybym mógł, zrobiłbym to samo. Miałem nawet przygotowany sztylet, ale odepchnęli mnie na bok.

– Ale dlaczego? – zdziwiłem się.

– Dlaczego? Boję się tego drania. Dlatego. Przez długi czas sądziłem, że nie żyje... taką przynajmniej miałem nadzieję: że wreszcie porwały go ciemne siły, z którymi wchodził w układy. Ile właściwie o nim wiesz, Corwinie?

– Długo rozmawialiśmy.

– I...?

– Przyznał, że on, Bleys i Fiona opracowali plan przejęcia tronu. Chcieli koronować Bleysa, ale wszyscy troje mieli dzielić władzę. Wykorzystali siły, o których wspominałeś, by zagwarantować



sobie nieobecność taty. Brand twierdził, że próbował skaptować Caine'a, ale on opowiedział wszystko tobie i Erykowi. Wasza trójka realizowała podobną intrygę: przejąć władzę, zanim oni zdążą to zrobić. W tym celu osadziliście na tronie Eryka.

Pokiwał głową.

– Fakty się zgadzają, ale nie przyczyny. Nie chcieliśmy tronu, przynajmniej nie tak szybko i nie w owej chwili. Stworzyliśmy naszą grupę, by się przeciwstawić ich grupie, ponieważ ktoś musiał to uczynić, aby obronić tron. Z początku zdołaliśmy jedynie nakłonić Eryka, by objął Protektorat. Bał się, że długo nie pożyje, jeśli pozwoli się koronować w takich okolicznościach. Wtedy ty się zjawiłeś ze swoimi całkiem słusznymi pretensjami. Nie mogliśmy ci w takim momencie pozwolić na działanie: grupa Branda groziła wojną totalną. Uznaliśmy, że gdyby tron był już zajęty, zawahaliby się przed wykonaniem ruchu. Nie mogliśmy ciebie na nim posadzić, gdyż nie zechciałbyś być tylko marionetką. A taką rolę musiałbyś grać, jako że rozgrywka trwała już dłuższy czas i o zbyt wielu sprawach nie miałeś pojęcia. Przekonaliśmy więc Eryka, by zaryzykował i przystał na koronację. Tak się to wszystko odbyło.

– Więc dlatego, kiedy przybyłem, wypalił mi oczy i dla żartu wrzucił do lochu?

Julian odwrócił się i spojrzął na martwą manticorę.

– Jesteś durniem – rzekł w końcu. – Od samego początku byłeś tylko narzędziem. Wykorzystali cię, by zmusić nas do działania. Przegrywałeś w każdym przypadku. Gdyby udał się ten idiotyczny szturm Bleysa, nie zdążyłbyś nawet głębiej odetchnąć. Gdyby został odparty, jak został, Bleys miał zniknąć, jak zniknął, pozostawiając cię, byś zapłacił życiem za próbę uzurpacji.

Spełniłeś swoje zadanie i musiałeś umrzeć. Nie zostawili nam wielkiego wyboru. Zgodnie z prawem powinniśmy cię zabić. Wiesz o tym.

Przygryzłem wargę. Wiele rzeczy mogłem teraz powiedzieć. Ale jeśli jego słowa były choć trochę zbliżone do prawdy, to trudno było odmówić im racji. No i chciałem usłyszeć coś więcej.

– Eryk założył – ciągnął – że po pewnym czasie możesz odzyskać wzrok. Wiedział przecież, jakie mamy zdolności do regeneracji. Sytuacja była niezwykle delikatna. Gdyby tata wrócił, Eryk mógłby ustąpić i wytłumaczyć rozsądnie wszystkie swoje działania... z wyjątkiem twojej śmierci. To posunięcie w zbyt oczywisty sposób miałoby na celu zapewnienie mu trwałej władzy, dłuższej niż chwilowa nieobecność taty. Powiem ci szczerze, że chciał po prostu uwięzić cię i zapomnieć.

– Więc kto wymyślił oślepienie?

Zamilkł na chwilę. Kiedy się odezwał, mówił bardzo cicho, niemal szeptem.

– Wysłuchaj mnie, proszę. To był mój pomysł i może ocalił ci życie. Wyrok na ciebie musiał być praktycznie równoważny śmierci. Inaczej tamci spróbowaliby sami to załatwić. Nie byłeś im już potrzebny, ale potencjalnie mogłeś okazać się niebezpieczny. Mogli użyć twojego Atutu, żeby cię zabić albo żeby cię uwolnić i poświęcić w kolejnym posunięciu przeciwko Erykowi. Niewidomy, mogłeś żyć dalej i nie mogli cię wykorzystać do swoich planów. Ocaliło cię to, ponieważ na pewien czas zniknąłeś ze sceny, a nam pozwoliło uniknąć bardziej drastycznych decyzji, które pewnego dnia mogłyby zostać użyte przeciwko nam. Z naszego punktu widzenia nie mieliśmy wyboru. To było jedyne możliwe wyjście. Nie mogliśmy okazać pobłażania, gdyż podejrzewaliby, że to my chcemy cię jakoś wykorzystać. A gdybyś nabrał pozornej choćby wartości, byłbyś trupem. Jedyne, co nam pozostało, to patrzeć w inną stronę, gdy Lord Rein usiłował uprzyjemnić ci życie. To wszystko.

– Teraz to widzę.

– Owszem – przyznał. – Przejrzałeś za szybko. Nikt nie przypuszczał, że w tak krótkim czasie odzyskasz wzrok ani że zdołasz uciec. Jak ci się to udało?

– Czy chłopcy Macy'ego zwierzają się chłopcom Gimbela?

– Słucham?

– Powiedziałem... mniejsza z tym. Co wiesz na temat uwięzienia Branda?

Przyjrzał mi się uważnie.

– Tyle tylko, że nastąpił jakiś rozłam w jego grupie. Nie znam szczegółów. Z jakichś powodów Bleys i Fiona bali się go zabić i bali wypuścić na swobodę. Kiedy wyciągnęliśmy go z tego kompromisowego więzienia, najwyraźniej Fiona bardziej się bała Branda na wolności.

– A ty sam powiedziałeś, że bałeś się go tak, by szykować zamach. Dlaczego po tak długim czasie, gdy wszystko to jest już historią, a władza znowu przeszła w inne ręce? Był słaby, praktycznie bezradny. Co mógłby zrobić?

Westchnął.

– Nie rozumiem jego mocy, ale jest znaczna. Wiem, że potrafi podróżować w Cieniu swoim umysłem, że może siedząc w fotelu, zlokalizować w Cieniu to, czego potrzebuje, i ściągnąć aktem woli, nie wstając z miejsca. W podobny sposób może wędrować po Cieniu fizycznie. Koncentruje umysł na miejscu, które chce odwiedzić, tworzy rodzaj psychicznej bramy i zwyczajnie przechodzi. Nawiasem mówiąc, mam wrażenie, że wie niekiedy, co ludzie myślą. Zupełnie jakby stał się czymś w rodzaju żywego Atutu. Wiem o tym, gdyż widziałem, jak robi te rzeczy. Pod koniec, kiedy był pod stałym nadzorem, tą metodą wymknął się z pałacu. Dotarł wtedy do cienia--Ziemi i kazał cię umieścić w Bedlam. Kiedy znów go schwytaliśmy, przez cały czas ktoś z nas mu towarzyszył.

Nie wiedzieliśmy jednak, że potrafi ściągać różne rzeczy z Cienia. Gdy się przekonał, że uciekłeś z więzienia, przywołał straszliwą bestię, która zaatakowała Caine'a, pełniącego akurat straż. Potem znowu ruszył za tobą. Bleys i Fiona dopadli go chyba wkrótce potem. Zdążyli przed nami. Zobaczyłem go znowu dopiero w bibliotece, kiedy sprowadziłeś go z powrotem. Boję się, gdyż dysponuje śmiertelnie groźną siłą, której nie rozumiem.

– W takim razie dziwię się, że w ogóle zdołali go jakoś uwięzić.

– Fiona ma podobną moc, a sądzę, że i Bleys ją miał. We dwoje zdołali jakoś zredukować potęgę Branda. Potem stworzyli miejsce, w którym nie mógł z niej korzystać.

– Niezupełnie – zauważyłem. – Przekazał wiadomość Randomowi. Ze mną również nawiązał kontakt, chociaż bardzo słaby.

– Czyli niezupełnie – przyznał. – Ale wystarczająco. Dopóki nie przebiliśmy ich osłony.

– Co wiesz o tej ich ubocznej zabawie ze mną: uwięzieniu, próbie zabójstwa, ocaleniu?

– Tego nie pojmuję. Był to element wewnętrznej próby sił. Nastąpił rozłam i jedna lub druga strona chciała cię jakoś wykorzystać. Tak więc, gdy jedni próbowali cię zabić, drudzy starali się chronić. W końcu najbardziej skorzystał na tym Bleys, któremu pomagałeś w ataku na Amber.

– Ale to on chciał mnie zabić na cieniu-Ziemi – zdziwiłem się. – On właśnie przestrzelił mi opony.

– Tak?

– Brand tak twierdzi, ale znalazłem sporo dowodów pośrednich.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę ci pomóc – oświadczył. – Zwyczajnie, nie mam pojęcia, co wtedy zaszło między nimi.

– Ale popierasz Fionę w Amberze – zauważyłem. – Jesteś bardziej serdeczny, niż wymaga tego dobre wychowanie.

– Oczywiście – przyznał z uśmiechem. – Zawsze bardzo lubiłem Fionę. Jest bez wątpienia najpiękniejszą, najbardziej cywilizowaną z nas wszystkich. Szkoda, że tata był przeciwny małżeństwom w rodzinie. Martwiłem się, że przez tak długi czas musimy walczyć przeciwko sobie. Stosunki unormowały się po śmierci Bleysa, twoim uwięzieniu i koronacji Eryka. Z wdziękiem uznała swoją porażkę. Najwyraźniej nie mniej niż ja bała się powrotu Branda

– Brand inaczej wszystko przedstawił – mruknąłem. – Ale trudno się dziwić. Twierdzi, że Bleys jeszcze żyje. Wytropił go poprzez Atut i wie, że ukrył się w Cieniu, by przygotować armię do kolejnego ataku na Amber.

– Niewykluczone. Ale teraz jesteśmy przygotowani.

– Jego zdaniem atak ma tylko odwrócić uwagę – mówiłem dalej. – Prawdziwy szturm nastąpi bezpośrednio z Dworców Chaosu, przez czarną drogę. Powiedział, że Fiona wyruszyła, by wszystko przygotować.

Zmarszczył czoło.

– Mam nadzieję, że kłamał – stwierdził. – Nie chciałbym, żeby ich grupa zebrała się znowu i ruszyła na nas, tym razem z pomocą ciemnej strony. I nie chciałbym, żeby Fiona była w to zamieszana.

– Brand zapewniał, że porzucił ich, gdy zrozumiał, że źle postępuje... i takie tam wyznania skruchy.

– Ha! Raczej zaufałbym tej bestii, którą właśnie zabiłem, niż uwierzył słowu Branda. Mam nadzieję, że trzymasz go pod dobrą strażą... chociaż nie na wiele się przyda, jeśli odzyskał swą dawną moc.

– Ale jakie ma teraz zamiary?

– Albo odtworzył dawny triumwirat, chociaż nie podoba mi się ten pomysł, albo realizuje własny plan. Moim zdaniem to drugie. Nigdy nie satysfakcjonowała go rola widza. Zawsze intrygował. Przysięgłbym, że spiskuje nawet przez sen.

– Może masz rację. Widzisz, sytuacja uległa zmianie, nie wiem jeszcze, na dobre czy na złe. Niedawno biłem się z Gerardem. Uważa, że wyrządziłem Brandowi jakąś krzywdę. To nieprawda, ale nie miałem szans, by udowodnić swoją niewinność. O ile wiem, byłem ostatnią osobą, która widziała dzisiaj Branda. Gerard zajrzał do niego jakiś czas temu. Mówi, że pokój jest zdemolowany, w kilku miejscach znalazł ślady krwi, a Brand zniknął. Nie wiem, co o tym myśleć.

– Ja też nie. Ale mam nadzieję, że tym razem ktoś załatwił sprawę na dobre.

– Boże – westchnąłem. – Sprawy się całkiem poplątały. Szkoda, że wcześniej tego wszystkiego nie wiedziałem.

– Nie było czasu, żeby ci powiedzieć. Dopiero teraz. Nie mogliśmy wtedy, kiedy siedziałeś w lochu i wciąż można cię było dosięgnąć, a potem zniknąłeś na dłużej.

Wróciłeś z armią i nową bronią, ale nie byłem pewien twoich intencji. Sprawy toczyły się szybko i wkrótce wrócił Brand. Musiałem zniknąć, żeby ratować skórę. Tu, w Ardenie, jestem silny. Tutaj odeprę każdy jego atak. Rozsyłałem patrole w pełnej obsadzie bojowej i czekałem na wiadomość o śmierci Branda. Chciałem spytać któreś z was, ale nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. Gdyby umarł, byłbym jednym z głównych podejrzanych. Gdybym się jednak dowiedział, że żyje, miałem zamiar sam go zlikwidować. A teraz taka... sytuacja... Co planujesz, Corwinie?

– Jadę zabrać Klejnot Wszchemocy z miejsca, gdzie go ukryłem w Cieniu. Istnieje sposób wykorzystania go dla zniszczenia czarnej drogi. Chcę spróbować.

– Jak tego dokona?

– To zbyt długa historia, jako że właśnie przyszła mi do głowy straszna myśl.

– To znaczy?

– Brand chce Klejnotu. Pytał o niego, a teraz... chodzi o tę moc znajdowania przedmiotów w Cieniu i sprowadzania do siebie. Czy zawsze jest skuteczna?

– Brand nie jest wszechwiedzący, jeśli o to ci chodzi – mruknął w zamyśleniu. – Każdy z nas może znaleźć w Cieniu, co tylko zechce, zupełnie zwyczajnie: musi po to pojechać. Według Fiony on po prostu oszczędza sobie wysiłku podróży. Przyciąga zatem nie konkretny, ale jakiś obiekt. Poza tym z

tego, co mówił mi Eryk, wynika, że Klejnot jest wyjątkowym obiektem. Sądzę, że Brand wybierze się po niego osobiście, gdy tylko wykryje, gdzie go schowałeś.

– W takim razie ruszam w piekielny rajd. Muszę go wyprzedzić.

– Widzę, że dosiadasz Werbla – zauważył. – To dobre i wytrzymałe zwierzę. Ma za sobą wiele takich rajdów.

– Miło to słyszeć – stwierdziłem. – A co ty zamierzasz?

– Skontaktuję się z kimś w Amberze i spróbuję wypytać o wszystko, o czym nie zdążyliśmy porozmawiać. Najpewniej z Benedyktem.

– Nic z tego. Nie dosięgniesz go. Wyruszył do Dworców Chaosu. Spróbuj z Gerardem, a przy okazji postaraj się go przekonać, że jestem człowiekiem honorowym.

– Tylko rudowłosi w naszej rodzinie są czarodziejami, ale spróbuję... Czy naprawdę powiedziałaś: Dworce Chaosu?

– Tak, ale niestety, czas jest zbyt cenny. – Naturalnie. Jedź więc. Później znajdziemy wolną chwilę... mam nadzieję.

Uścisnął mnie za ramię. Spojrzałem na manticorę i krąg siedzących wokół psów.

– Dzięki, Julianie. Ja... Trudno cię zrozumieć.

– Wcale nie. Myślę, że Corwin, którego nienawidziłem, umarł całe wieki temu. Jedź teraz, chłopie! Jeśli Brand się tu pokaże, przybiję jego skórę do drzewa.

Krzyknął na psy, gdy wskoczyłem na siodło. Rzuciły się na ścierwo manticory, rozchłapywały krew, wrywały wielkie kawały i pasy mięsa. Przejeżdżając obok dziwnej, masywnej, niemal ludzkiej twarzy spostrzegłem, że ma wciąż otwarte, choć zaszklone oczy. Były niebieskie i śmierć nie pozbawiła ich pewnej nadnaturalnej niewinności. Albo to, albo ich spojrzenie było ostatnim darem śmierci – bezsensowną demonstracją ironii.

Skierowałem Werbla na szlak i rozpocząłem piekielny rajd.

# Rozdział 10

---

Spokojnym krokiem idziemy wzdłuż szlaku, chmury zaciemniają niebo, a Werbel rzy z niepokojem lub z niecierpliwości... Zakręt w lewo i pod górę... Ziemia jest brunatna, żółta, znowu brunatna... Drzewa pokurczone, dalej od siebie... Trawy falują między nimi w podmuchach chłodnego, coraz silniejszego wiatru... Nagły płomień na niebie... Huk gromu strząsa krople deszczu...

Stromo i skaliście... Wiatr szarpie mój płaszcz... Wyżej.... Wyżej, gdzie srebrzyste pasy lśnią na skałach, a drzewa wytyczają linię frontu... Trawy, zielone ognie, gasną w deszczu... Wyżej, ku poszarpanym, lśniącym, zmywanym ulewą szczytom, gdzie chmury pędzą jak rzeka niosąca zwały błota w powodziowej fali... Deszcz żądli jak gruby śrut, a wiatr odchrząkuje, by zaśpiewać...

Wyżej i wyżej, aż w polu widzenia pojawia się grzebień niby głowa zaskoczonego byka, a rogi strzegą szlaku...

Błyskawice tańczą wokół ich czubków, przeskakują między nimi... Zapach ozonu, gdy docieramy na miejsce i pędzimy dalej wąwozem; deszcz nagle powstrzymany, wiatr odepchnięty...

Wyjeżdżamy po drugiej stronie... Nie pada tu deszcz, powietrze jest nieruchome, niebo gładkie i zaciemnione do odpowiedniej, rozgwieżdżonej czerni... Meteory rozcinają ją i płoną, rozcinają i płoną, wypalając blizny powidoków, ginące, niksące... Księżycy, rozrzucone jak garść monet... Trzy lśniące dziesiątki, matowa ćwiartka i para centów, jeden wyszczerbiony i poszarzały... W dół zatem, długą i krętą drogą... Stuk kopyt, czysty i metaliczny w nocnym powietrzu... Gdzieś tam kocie parsknięcie... Ciemny kształt przecina mniejszy księżyc, postrzępiony i szybki...

Niżej... Grunt opada po obu stronach... W dole ciemność... Jedziemy szczytem nieskończenie wysokiego, zakrzywionego muru, a sama droga jaśnieje w księżycowym blasku... Szlak zakręca, wygina się, staje przezroczysty... Wkrótce płynie włóknami mgły; gwiazdy lśnią w dole tak, jak w górze... Gwiazdy pod nami, z obu stron... Nie ma ziemi... Noc i cienki, półprzejrzysty szlak, którym muszę spróbować przejechać, nauczyć się, co wtedy czuję, by wykorzystać w przyszłości...

Panuje absolutna cisza, a iluzja powolności stapia się z każdym ruchem... Po chwili szlak znika i poruszamy się, jakbyśmy płynęli pod wodą na ogromnej głębokości, a gwiazdy to połyskliwe ryby... To jest wolność, to potęga piekielnego rajdu, co sprowadza uniesienie, podobne, a przecież inne od zapomnienia, które przychodzi czasem w bitwie, do brawury ryzykownego czynu, do napływu emocji po odnalezieniu właściwego słowa w wierszu... Jest tym wszystkim i jeszcze samą perspektywą, i jazdą, jazdą, jazdą, być może znikąd donikąd, poprzez i pomiędzy minerałami i ogniami pustki, uwolnieni od ziemi, powietrza i wody...

Ścigamy wielki meteor, dotykamy jego bryły... Pędzimy przez zrytą powierzchnię, w dół, dookoła, potem znowu w górę... Rozciąga się w szeroką równinę, rozjaśnia, żółknie...

To piasek, piasek jest teraz pod nami... Gwiazdy bledną, a świt pełen słonecznego blasku rozcieńcza ciemność... Przed nami pokosy cienia, a w nich pustyne drzewa... Pędzimy w mrok... Przebijamy się... Jasne ptaki podrywają się do lotu, skarżą się, opadają na powrót...

Wśród gęściej rosnących drzew... Ciemniejszy grunt i węższa droga... Liście palm maleją do rozmiarów dłoni, czernieją pnie... Skręt w prawo i szlak się rozszerza... Nasze kopyta krzesają iskry na bruku... Droga wciąż szersza, zmienia się w zadrzewioną ulicę... Mijamy niewielkie domki... Jasne okiennice, marmurowe stopnie, malowane drzwi za brukowanymi podjazdami... Mijamy konny wóz, wyładowany świeżymi jarzynami... Ludzcy przechodnie zatrzymują się, by popatrzeć... Cichy szum głosów...

Dalej... Przejeżdżamy pod mostem... Wzdłuż strumienia, aż zmieni się w rzekę, i dalej do morza... Dudnimy po plaży, pod cytrynowym niebem, gdzie mkną niebieskie chmury... piasek, wrak, muszle i gładź drzewa wyrzuconego przez fale... Biała mgiełka nad morzem koloru limony...

Galopem do miejsca, gdzie bezmiar wód kończy się tarasami... Wspinamy się, a każdy stopień kruszy się i zapada z hukiem, złączony z rykiem przyboju... W górę, coraz wyżej, na płaski szczyt, porośniętą drzewami równinę; złociste miasto migocze jak miraż na jej krańcu...

Miasto rośnie, ciemnieje pod parasolem cienia, szare wieże sięgają nieba, szkło i metal iskrami blasku przebijają mrok... Wieże zaczynają się kołysać...

Miasto zapada się w siebie bezgłośnie, gdy przejeżdżamy... Padają wieże, kłębi się kurz, unosi zaróżowiony blaskiem z dołu... Delikatny syk jakby zgaszonej świecy... Burza piaskowa ustaje szybko, ustępując miejsca mgle... Słyszymy w niej dźwięk klaksonów... Odpływ, krótkie rozstąpienie, przerwa w szarobiałym, perłowobiałym falowaniu... Odciski naszych kopyt na poboczu autostrady... Po prawej stronie nieskończone rzędy nieruchomych pojazdów... I znów perłowobiałe, szarobiałe falowanie...

Bez kierunkowe wrzaski i wycia... Przypadkowe rozbłyski światła...

Znowu pod górę... Mgła opada, odpływa... Trawa, trawa, trawa... Niebo lekko błękitne... Słońce pędzące ku zachodowi... Ptaki... Krowa na łące: żuje, patrzy i żuje...

Skok nad drewnianym parkanem, by stanąć na wiejskiej drodze... Nagły chłód za szczytem pagórka... Trawa jest sucha i śnieg leży na ziemi... Chata z blaszanym dachem na zboczu, a nad nią kłąb dymu...

Dalej... Wzgórza coraz wyższe, słońce toczy się w dół ciągnąc za sobą ciemność... Migotanie gwiazd... Dom stojący daleko od drogi... Następny, długi podjazd kluczy między starymi drzewami... Reflektory... Na bok, na pobocze... ściągnąć wodze, niech nas wyminie...

Otarłem czoło, strzepnąłem kurz z gorsu i rękawów.

Poklepałem Werbla po szyi. Nadjeżdżający samochód zwolnił, zbliżając się do mnie i widziałem, że kierowca patrzy zdumiony. Lekko poruszyłem uzdą i Werbel ruszył przed siebie. Wóz zahamował, a kierowca krzyknął coś do mnie, ale jechałem dalej. Po chwili usłyszałem, że rusza.

Przez jakiś czas podążałem wąską drogą. Jechałem w spokojnym tempie i mijając znajome punkty orientacyjne wspominałem dawne czasy. Kilka kilometrów dalej dotarłem do innej drogi, szerszej i lepszej.

Skręciłem w nią, trzymając się prawego pobocza.

Temperatura wciąż spadała, ale chłodne powietrze smakowało czystością. Rozcięty księżyc lśnił nad wzgórzami po lewej stronie. Kilka niedużych chmur przepływało mi nad głową, by delikatnym, przymglonym blaskiem dotknąć ćwiartki księżyca. Prawie nie było wiatru; czasem tylko lekko zadrżały gałęzie, nic więcej.

Po pewnym czasie dotarłem do ciągu wzniesień na drodze i wiedziałem, że jestem prawie na miejscu.

Zakręt, jeszcze kilka wzniesień... Dostrzegłem głaz przy podjeździe. Odczytałem na nim swój adres.

Szarpnąłem wodze i spojrzałem w górę. Na podjeździe stała furgonetka, a w domu paliło się światło. Skierowałem Werbla w bok od drogi, przez pole, do kępy drzew.

Tam uwiązałem go za dwoma choinkami, pogłaskałem po szyi i obiecałem, że niedługo wrócę.

Powróciłem na drogę: żadnego samochodu w polu widzenia. Przeszedłem na drugą stronę i ruszyłem wzdłuż podjazdu, kryjąc się za furgonetką. Światło paliło się tylko w salonie na prawo. Okrążyłem dom z lewej strony. Stałem, gdy dotarłem do patio. Rozejrzałem się.

Coś tu nie pasowało.

Podwórze się zmieniło. Zniknęła para przegniłych, ogrodowych foteli, opartych o rozpadający się kurnik, którego jakoś nigdy nie miałem czasu usunąć. Zresztą kurnik też zniknął. A przecież były tu, kiedy ostatnio odwiedziłem to miejsce. Ktoś wyniósł wszystkie suche gałęzie, rozrzucone dawniej po całym podwórzu, jak również gnijący stos drewna, które kiedyś zebrałem na opał.

Zniknęła pryzma kompostu.

Podszedłem do miejsca, gdzie leżała kiedyś. Pozostała tylko nieregularna łąta nagiej ziemi mniej więcej kształtu pryzmy.

Dostrajając się do Klejnotu odkryłem, że potrafię wyczuć jego obecność. Zamknąłem na chwilę oczy i spróbowałem to uczynić.

Nic.

Rozejrzałem się znowu, bardzo uważnie, ale nigdzie nie dostrzegłem znajomego błysku. Zresztą tak naprawdę nie oczekiwałem, że coś znajdę, skoro nic nie wyczułem w pobliżu.

Oświetlony pokój nie miał zasłon w oknach. Żadne okno w całym domu nie było zasłonięte. Zatem...

Obszedłem dom z drugiej strony. Zbliżywszy się do pierwszego oświetlonego okna, szybko zajrzałem do środka. Ochronne pokrowce zasłaniały większą część podłogi. Mężczyzna w czapeczce i kombinezonie malował ścianę.

Naturalnie.

Prosiłem Billa, żeby sprzedał posiadłość. Podpisałem niezbędne papiery, leżąc jako pacjent w pobliskim szpitalu, kiedy zostałem przeniesiony do mojego starego domu – zapewne w wyniku działania Klejnotu – zaraz po tym, jak ktoś pchnął mnie sztyletem. To pewnie kilka tygodni czasu lokalnego, jeśli uwzględnić współczynnik konwersji Amberu w stosunku do cienia-Ziemi, mniej więcej, dwa i pół do jednego i doliczając osiem dni, które w Amberze kosztowały mnie Dworce Chaosu. Oczywiście, Bill starał się spełnić moją prośbę.

Ale dom był w fatalnym stanie, porzucony i nie zamieszkanym przez kilka lat, zniszczony przez wandalów...

Potrzebował nowych szyb, nowego dachu, rynien, malowania, czyszczenia i polerowania. Zostało też mnóstwo przeróżnych śmieci, nie tylko wewnątrz, ale i na dworze...

Odwróciłem się i odszedłem z boczem aż do drogi.

Wspominałem, jak szedłem wtedy poprzednim razem, półprzytomny, na czworakach, krwawiąc z rany w boku.

Tamta noc była o wiele zimniejsza, a śnieg leżał na ziemi i padał z góry. Minąłem punkt, gdzie usiadłem i próbowałem poszewką poduszki zatrzymywać samochody. Wspomnienia stawały się niewyraźne, ale wciąż nie zapominałem tych, które wtedy przejechały obok mnie.

Przeszedłem przez drogę i brnąc polem dotarłem do kępy drzew. Odwiązałem Werbla i wskoczyłem na siodło.

– Musimy jeszcze kawałek podjechać – powiedziałem mu. – Tym razem niedaleko.

Wróciliśmy na drogę i ruszyliśmy dalej, mijając mój dawny dom. Gdybym nie prosił Billa, żeby go sprzedał, pryzma kompostu wciąż byłaby na miejscu. Klejnot byłby wciąż na miejscu. Mógłbym już wracać do Amberu z krwistym kamieniem na szyi, gotów spróbować tego, co musi zostać zrobione. A teraz... teraz musiałem go szukać. I miałem wrażenie, że czas znowu zaczyna się liczyć.

Przynajmniej miałem korzystny współczynnik względem jego upływu w Amberze. Cmoknąłem na Werbla i potrząsałem wodzami. Mimo wszystko nie warto go marnować.

Po półgodzinie wjechałem do miasteczka, na cichą uliczkę w dzielnicy willowej. Dookoła stały

domy. U Billa paliło się światło. Skręciłem na jego podjazd. Zostawiłem Werbla na tyłach. Zastukałem. Drzwi otworzyła Alice. Patrzyła przez chwilę zdziwiona, wreszcie wykrzyknęła:

– Mój Boże! Carl!

Po kilku minutach siedziałem już z Billem w salonie, a na stoliku stał mój drink. Alice wyszła do kuchni.

Popełniła błąd: spytała, czy nie jestem głodny.

Bill obserwował mnie uważnie, zapalając fajkę.

– Sposób, w jaki pojawiaasz się i odchodzisz, wciąż jest niezwykle barwny – zauważył.

Uśmiechnąłem się.

– To tylko własna wygoda – stwierdziłem.

– Ta pielęgniarka w szpitalu... Mało kto jej uwierzył.

– Mało kto?

– Ta mniejszość, o której wspomniałem, to oczywiście ja.

– Co mówiła?

– Powiedziała, że wyszedłeś na środek pokoju, stałeś się dwuwymiarowy i po prostu się rozviałeś jak stary żołnierz, którym zresztą jesteś, przy akompaniamencie tęczy.

– Jaskra powoduje czasem efekt tęczowego widzenia. Ta pielęgniarka powinna iść do okulisty.

– Była – odparł. – Nic jej nie jest.

– Och, to niedobrze. Następna przyczyna, jaka przychodzi mi do głowy, jest raczej neurologiczna.

– Daj spokój, Carl. Ona jest zdrowa. Wiesz o tym.

Uśmiechnąłem się i łyknąłem alkoholu.

– A ty – dodał – wyglądasz jak pewna karta do gry. Kompletna, razem z mieczem. Co się dzieje, Carl?

– To wciąż bardzo skomplikowane – wyjaśniłem. – Nawet bardziej niż podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Co oznacza, że niczego mi jeszcze nie powiesz?

Pokręciłem głową.

– Zasłużyłeś na darmowe wakacje w moich ojczystych stronach, kiedy to wszystko już się skończy... o ile będę jeszcze miał ojczyste strony. W tej chwili czas wyczynia potworne rzeczy.

– Jak mógłbym ci pomóc?

– Informacją. Mój stary dom. Kim jest ten facet, który go remontuje?

– Ed Wellen. Miejscowy przedsiębiorca. Chyba go znasz. Nie montował ci kiedyś prysznic czy czegoś takiego?

– A tak, rzeczywiście... przypominam sobie.

– Rozwinął firmę. Kupił trochę sprzętu, zatrudnił kilku ludzi. Prowadziłem jego sprawy.

– Czy wiesz, kto pracuje u mnie w tej chwili?

– Nie wiem. Ale zaraz mogę sprawdzić. – Położył dłoń na słuchawce telefonu. – Mam do niego zadzwonić?

– Tak. Ale jest jeszcze coś. Interesuje mnie tylko jedna rzecz. Na podwórzu stała przyzma kompostu. W każdym razie była, kiedy ostatnio tamtędy przechodziłem. Teraz zniknęła. Chcę wiedzieć, co się z nią stało.

Pochylił głowę i uśmiechnął się, nie wypuszczając fajki z ust.

– Mówisz poważnie? – zapytał w końcu.

– Poważnie, jak sama śmierć – zapewniłem. – Schowałem coś w tej przyzmi, kiedy przeczołgiwałem się obok, dekorując śnieg moimi cennymi płynami ustrojowymi. I muszę



natychmiast odzyskać to coś.

– A co to jest?

– Rubinowy wisior.

– Bezcenny, jak przypuszczam?

– Zgadza się.

Wolno kiwnął głową.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, pomyślałbym, że to głupi dowcip – stwierdził. – Skarb w pryzmie kompostu... Rodzinna pamiątka?

– Tak. Czterdzieści, może pięćdziesiąt karatów. Prosta oprawa. Ciężki łańcuch.

Wyjął fajkę z ust i gwizdnął cicho.

– Mogę spytać, po co go tam schowałeś?

– Gdyby nie to, byłbym już trupem.

– Rozsądny powód.

Znów sięgnął do telefonu.

– Ktoś już pytał o ten dom – zauważył. – Całkiem nieźle, jeśli wziąć pod uwagę, że jeszcze nie dałem ogłoszenia. Facet słyszał od kogoś, kto słyszał od kogoś. Zabrałem go tam dziś rano. Zastanawia się. Możliwe, że trzeba będzie się spieszyć.

Zaczął wykręcać numer.

– Czekał – rzuciłem. – Opowiedz mi o nim.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie.

– Szczupły – powiedział. – Rudowłosy. Z brodą. Twierdzi, że jest artystą i szuka jakiegoś mieszkania za miastem.

– Niech to szlag! – mruknąłem dokładnie w chwili, gdy Alice wniosła tacę z jedzeniem.

Syknęła cicho i uśmiechnęła się, stawiając ją na stoliku.

– To tylko dwa hamburgery i trochę sałatki z obiadu – stwierdziła. – Nie ma się czym podniecać.

Smacznego.

– Dzięki. Za chwilę zjadłbym własnego konia, a potem byłoby mi przykro.

– On też pewnie by się zbytnio nie ucieszył – powiedziała wracając do kuchni.

– Czy pryzma kompostu jeszcze tam była, kiedy pokazywałeś mu dom? – spytałem.

Przymknął oczy i zmarszczył czoło.

– Nie – oświadczył po chwili. – Podwórze było już wysprzątane.

– To już coś – odetchnąłem i wziąłem się do jedzenia.

Zadzwoił i rozmawiał przez kilka minut. Rozumiałem mniej więcej, co się dzieje, słuchając tylko jego wypowiedzi, ale potem powtórzył mi wszystko dokładnie. Tymczasem skończyłem jeść i splukałem gardło tym, co jeszcze zostało w szklance.

– Nie chciał marnować dobrego kompostu – wyjaśnił Bill. – Dlatego wczoraj załadował pryzmę na furgonetkę i wywiózł na swoją farmę. Zwalił w miejsce, które chce uprawiać, ale nie miał czasu rozrzucić.

Twierdzi, że nie zauważył żadnej biżuterii. Oczywiście łatwo mógł przeoczyć taki drobiazg.

Przytaknąłem.

– Jeśli pożyczysz mi latarkę, to zacznę się zbierać.

– Pewnie. Podwiozę cię.

– W danej chwili wolałbym nie rozstawać się z moim koniem.

– Ale będziesz pewnie potrzebował grabi i łopaty albo wideł. Wezmę je i spotkamy się na miejscu, jeśli wiesz, gdzie to jest.

– Wiem, gdzie jest farma Eda. I on na pewno ma wszystkie narzędzia.

Bill z uśmiechem wzruszył ramionami.

– No, dobrze – ustąpiłem. – Skoczę jeszcze do toalety, a potem ruszamy.

– Odniosłem wrażenie, że znasz potencjalnego nabywcę.

Odsunąłem tacę i wstałem.

– Ostatnio słyszałeś o nim jako Brandonie Coreyu.

– Ten, który udawał twojego brata i wsadził cię do szpitala?

– "Udawał", niech go diabli! On jest moim bratem. Ale to nie moja wina. Przepraszam na moment.

– On tam był.

– Gdzie?

– U Eda, dziś po południu. A w każdym razie jakiś rudowłosy brodacz.

– I czego chciał?

– Powiedział, że jest malarzem. Pytał, czy może ustawić sztalugi na polu.

– I Ed mu pozwolił?

– Naturalnie. Uznał, że to znakomity pomysł. Dlatego właśnie mi o tym powiedział: chciał się pochwalić.

– Bierz narzędzia. Spotkamy się na miejscu.

– Dobrze.

Drugą rzeczą, jaką wyjąłem w toalecie, była talia Atutów. Musiałem jak najszybciej porozmawiać z kimś w Amberze, kimś dostatecznie silnym, by go powstrzymał. Ale z kim? Benedykt wyruszył do Dworców Chaosu, Random szukał syna, a niedawno rozstałem się z Gerardem i to w nie całkiem przyjaznych stosunkach. Żałowałem, że nie mam Atutu Ganelona.

Uznałem, że muszę spróbować z Gerardem.

Wyjąłem jego kartę, wykonałem niezbędne manewry psychiczne i po chwili nastąpił kontakt.

– Corwin!

– Posłuchaj, Gerardzie! Brand żyje, jeśli ma cię to pocieszyć. Jestem tego pewien. Mam ważną sprawę. To kwestia życia i śmierci. Musisz coś zrobić, i to szybko.

Wyraz jego twarzy zmieniał się w miarę, jak mówiłem: gniew, zaskoczenie, ciekawość...

– Słucham – powiedział.

– Brand może niedługo wrócić. Może nawet już jest w Amberze. Nie widziałeś go jeszcze?

– Nie.

– Nie można pozwolić, aby przeszedł Wzorzec.

– Nie rozumiem. Ale mogę postawić strażnika przed komorą Wzorca.

– Postaw straż wewnątrz. Brand wykorzystuje ostatnio niezwykle metody pojawiania się i znikania. A jeśli przejdzie Wzorzec, mogą się zdarzyć straszne rzeczy.

– Więc będę pilnował osobiście. Co się dzieje?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Następne pytanie: czy Llewella wróciła do Rebmy?

– Tak.

– Połącz się z nią przez Atut. Musi uprzedzić Moire, że należy strzec także Wzorca w Rebmie.

– To aż tak poważna sprawa, Corwinie?

– To może być koniec wszystkiego – zapewniłem. – Teraz muszę już iść.

Przerwałem kontakt i ruszyłem do kuchni. Wyszedłem tylnymi drzwiami zatrzymując się tylko na chwilę, by podziękować Alice i życzyć dobrej nocy. Jeżeli Brand zdobył Klejnot i dostroił się do niego... nie wiedziałem, co robi, ale miałem nieprzyjemne przeczucia.

Dosiadłem Werbla i ruszyłem w stronę szosy. Bill cofał już wóz na podjeździe.



# Rozdział 11

---

Skracałem sobie drogę przez pola, więc nie straciłem zbyt wiele do Billa. Kiedy podjechałem, rozmawiał z Edem, który wskazywał ręką na południowy zachód.

Gdy zeskoczyłem z siodła, Ed przyjrzał się Werblowi.

- Piękny koń – ocenił.
- Dzięki.
- Dawno pana nie było.
- To fakt.

Podaliśmy sobie ręce.

– Miło znowu pana zobaczyć. Właśnie mówiłem Billowi, że właściwie nie wiem, jak długo ten malarz tu siedział. Pomyślałem, że pójdzie sobie, kiedy zrobi się ciemno, i nie zwracałem na niego uwagi. Ale jeżeli rzeczywiście czegoś szukał i wiedział o tej przyźnie kompostu, to może ciągle jeszcze tu jest. Może zabiorę strzelbę i pójdę z wami?

– Nie – odparłem. – Dziękuję. Chyba wiem, co to za jeden. Broń nie będzie potrzebna. Po prostu pójdziemy tam i pogrzebiemy trochę.

- Jak chcecie – zgodził się. – Przejdę się z wami i pomogę.
- Nie musi pan tego robić.
- To może zajmę się koniem? Dam mu coś do jedzenia i picia, wyczyszczę trochę?
- Na pewno będzie wdzięczny. Ja bym był.
- Jak ma na imię?
- Werbel.

Podszedł do zwierzęcia i spróbował się z nim zaprzyjaźnić.

- W porządku – rzucił przez ramię. – Będę w stodole. Gdybyście czegoś potrzebowali, krzyczcie.
- Dziękuję.

Wyjąłem z samochodu Billa narzędzia, a on wziął latarkę i poprowadził mnie na południowy zachód, gdzie wskazywał Ed.

Przeszliśmy przez pole. Spoglądałem wzdłuż promienia światła, wypatrując przyzmy. Westchnąłem głęboko, gdy dostrzegłem coś, co przypominało jej resztki. Ktoś musiał tu grzebać. Grudy były porozrzucane; nie mogły w ten sposób spaść z ciężarówki.

Jednak... z faktu, że ktoś szukał, nie wynikało jeszcze, że znalazł.

- Co o tym myślisz? – zapytał Bill.
- Sam nie wiem. – Ułożyłem narzędzia na ziemi i podszedłem do największego stosu. – Poświeć tutaj.

Przyjrzałem się uważnie temu, co pozostało z przyzmy.

Potem chwyciłem grabie i wziąłem się do pracy. Rozbijałem każdą grudę i rozrzucałem po ziemi, przeczesując stalowymi zębami. Po chwili Bill ułożył latarkę pod odpowiednim kątem i zaczął mi pomagać.

- Mam takie zabawne przeczucie... – zaczął.
- Ja też.
- ...że chyba się spóźniliśmy.

Poczułem znajomy dreszcz czyjejś obecności. Wyprostowałem się i czekałem. Kontakt nastąpił po kilku sekundach.

– Corwinie!

– Jestem, Gerardzie.

– Co mówisz? – zdziwił się Bill.

Uniosłem dłoń nakazując milczenie i skoncentrowałem uwagę na Gerardzie. Wsparty na swym wielkim mieczu stał w półmroku obok lśniącego Wzorca.

– Miałeś rację – oświadczył. – Brand rzeczywiście pokazał się tu przed chwilą. Nie wiem, jak wszedł. Nagle wynurzył się z cieni, tam, po lewej – wskazał ręką. – Przyglądał mi się przez chwilę, potem zawrócił i zniknął w mroku. Nie odpowiadał, kiedy go wołałem. Odwróciłem latarnię, ale nigdzie go nie było. Rozpłynął się. Co mam teraz zrobić?

– Czy nosił Klejnot Wszechmocy?

– Trudno powiedzieć. Widziałem go tylko przez moment, w marnym oświetleniu.

– Czy pilnują Wzorca w Rebmie?

– Tak. Llewella ich uprzedziła.

– To dobrze. Zostań na straży. Odezwę się.

– Dobrze. Corwinie... to, co się zdarzyło...

– Nie ma o czym mówić.

– Dzięki. Ale ten Ganelon to twardy zawodnik.

– To fakt – przyznałem. – Nie zaśnij tylko.

Wizerunek znikł, gdy przerwałem kontakt, lecz zdarzyło się coś dziwnego. Wrażenie kontaktu, ścieżka, pozostało, bezkierunkowe i otwarte, jak włączone radio nie nastrojone na żadną stację.

Bill przyglądał mi się z uwagą.

– Carl, co się dzieje?

– Nie wiem. Zaczekaj chwilę.

Nagle znowu nastąpiło połączenie, chociaż nie z Gerardem. Musiała próbować mnie dosięgnąć, gdy byłem zajęty rozmową.

– Corwinie, to ważne.

– Mów, Fi.

– Nie znajdziesz tego, czego tam szukasz. Brand to ma.

– Właśnie zaczynałem to podejrzewać.

– Musimy go powstrzymać. Nie mam pojęcia, ile już wiesz...

– W tej chwili ja też nie mam – odparłem. – Ale kazałem postawić strażę przy Wzorcu w Amberze i w Rebmie. Przed chwilą Gerard powiedział, że Brand zjawił się przy tym w Amberze, ale się przestraszył.

Skinęła głową o drobnej twarzyczce o delikatnych rysach. Rude loki miała mocno splątane. Wyglądała na zmęczoną.

– Wiem o tym – oznajmiła. – Obserwuję jego działania. Ale zapomniałeś o jeszcze jednej możliwości.

– Nie – zaprotestowałem. – Według moich wyliczeń, Tir-na Nog'th jest jeszcze nieosiągalne...

– Nie o to mi chodzi. On się kieruje do pierwotnego Wzorca.

– Chce dostroić Klejnot?

– Przynajmniej za pierwszym razem.

– Żeby przejść, musi minąć uszkodzone obszary. Jak rozumiem, jest to dość trudne.

– Więc wiesz – mruknęła. – Dobrze. Zaoszczędzi mi to tłumaczeń. Te ciemne obszary nie sprawią mi takich problemów jak komukolwiek z nas. Zawarł ugodę z ciemnością. Musimy go powstrzymać, natychmiast.

– Znasz jakąś krótszą drogę do tamtego miejsca?

– Tak. Chodź do mnie. Zabiorę cię tam.

– Chwileczkę. Chciałbym zabrać Werbla.

– Po co?

– Trudno powiedzieć. Właśnie dlatego nie chcę się z nim rozstawać.

– W porządku. Więc ty mnie przerzuć. Równie dobrze możemy wyruszyć stamtąd, jak stąd.

Wyciągnąłem rękę. Po chwili trzymałem jej dłoń. Zrobiła krok do przodu.

– Boże! – jęknął Bill i cofnął się nieco. – Wiesz, Carl, miałem wątpliwości co do twojego

zdrowia psychicznego, ale teraz martwię się o własne. Ona... ona była na jednej z kart, prawda?

– Tak. Bill, poznaj moją siostrę Fionę. Fiono, to jest Bill Roth, bardzo dobry przyjaciel.

Fi z uśmiechem podała mu dłoń. Zostawiłem ich, a sam poszedłem po Werbla. Po kilku minutach byłem już z powrotem.

– Bill – zacząłem. – Przepraszam, że przeze mnie straciłeś tyle czasu. Mój brat ma ten przedmiot.

Teraz ruszamy za nim. Dziękuję za pomoc.

Uścisnąłem mu dłoń.

– Corwinie – powiedział i uśmiechnął się.

– Tak, to moje imię.

– Rozmawiałem z twoją siostrą. Niewiele można się dowiedzieć w tak krótkim czasie, ale wiem, że to niebezpieczna misja. Zatem: powodzenia. Nadal chciałbym kiedyś usłyszeć całą tę historię.

– Dzięki. Postaram się to załatwić.

Wskoczyłem na siodło i posadziłem Fionę przed sobą.

– Dobranoc, panie Roth – rzuciła. Potem zwróciła się do mnie: – Ruszaj powoli, przez pole.

Posłuchałem.

– Brand mówił, że to ty próbowałaś go zabić – zacząłem, gdy odjechaliśmy już dość daleko.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Żeby uniknąć tego wszystkiego.

– Odbyłem z nim długą rozmowę. Powiedział, że na początku ty, Bleys i on planowaliście przejęcie władzy.

– Zgadza się.

– Powiedział też, że rozmawiał z Caine'em i próbował go przeciągnąć na waszą stronę, ale Caine nie chciał nawet o tym słyszeć. Powtórzył wszystko Erykowi i Julianowi. To spowodowało, że utworzyli własną grupę, by zablokować wam drogę do tronu.

– W ogólnych zarysach tak właśnie było. Caine miał własne ambicje, wprawdzie na daleką przyszłość, ale jednak ambicje. Nie miał jednak możliwości ich realizacji. Uznał więc, że jeśli przeznaczono mu niższe stanowiska, to woli je sprawować pod Erykiem niż pod Bleyssem. Potrafię go zrozumieć.

– Twierdził też, że wasza trójka zawarła układ z siłami na końcu czarnej drogi, w Dworcach Chaosu.

– Tak – przyznała. – Był taki układ.

– Użyłaś czasu przeszłego.

– Dla mnie i dla Bleysa to przeszłość.

– Brand mówił co innego.

– Nie dziwię się.

– Powiedział, że ty i Bleys nadał wykorzystujecie to przymierze, ale że on zmienił poglądy. Z tego

powodu zwróciliście się przeciw niemu i uwięziliście w tej wieży.

– Czemu go zwyczajnie nie zabiliśmy?

– Poddaję się. Wyjaśnij.

– Był zbyt niebezpieczny, by pozostawić go na wolności, ale nie mogliśmy go zabić, gdyż miał coś niezwykle cennego.

– Co?

– Po śmierci Dworkina tylko Brand wiedział, jak odtworzyć pierwotny Wzorzec, który uszkodził.

– Mieliście dużo czasu, żeby wydobyć z niego tę informację.

– Dysponuje niesamowitymi rezerwami.

– Więc czemu próbowałaś go zasztyletować?

– Powtarzam: żeby uniknąć tego wszystkiego. Kiedy doszło do wyboru między jego wolnością a śmiercią, lepiej było, żeby umarł. Musielibyśmy zaryzykować i spróbować bez niego znaleźć sposób naprawy Wzorca.

– W takim razie czemu nam pomagałaś, kiedy chcieliśmy sprowadzić go z powrotem?

– Po pierwsze, wcale nie pomagałam. Starłam się przeciwdziałać. Ale było was zbyt wielu i zbyt mocno się staraliście. Przedostaliście się mimo moich wysiłków. Po drugie, musiałam być na miejscu, żeby go zabić, gdyby się wam udało. Niedobrze, że wszystko poszło tak, jak poszło.

– Mówiłaś, że ty i Bleys mieliście opory wobec tego przymierza, a Brand nie?

– Tak.

– A jak te wasze opory wpłynęły na chęć zdobycia tronu?

– Uznaliśmy, że poradzimy sobie bez dodatkowej pomocy.

– Rozumiem.

– Wierzysz mi?

– Obawiam się, że zaczynam wierzyć.

– Skręć tutaj.

Wjechałem w szczelinę na zboczu. Przejazd był wąski i bardzo ciemny. Tylko kilka gwiazd lśniło nam nad głowami. Fiona przekształcała Cień podczas rozmowy, prowadząc nas z pola Eda w dół, na mgliste mokradła, potem znów w górę, na otwarty szlak między górami.

Teraz, w mrocznym wąwozie, poczułem, że znów pracuje nad Cieniem. Powietrze było chłodne, ale nie mroźne.

Po lewej i prawej stronie zalegała absolutna czerń, budząca złudzenie straszliwej głębi raczej niż okrytej cieniem skalnej ściany. Wrażenie to potęgował jeszcze fakt, który nagle sobie uświadomiłem: że stuk kopyt Werbla nie wywołuje żadnego echa, pogłosu, szumu...

– Co mogę zrobić, by zyskać twoje zaufanie? – spytała.

– Prosisz o wiele.

Zaśmiała się.

– Może inaczej to sformułuję. Co mogę zrobić, by cię przekonać, że mówię prawdę?

– Odpowiedz na jedno pytanie.

– Jakie?

– Kto mi przestrzelił opony?

Znów się roześmiała.

– Przecież sam się domyśliłeś.

– Może. Ale powiedz.

– Brand – stwierdziła. – Nie zdołał trwale uszkodzić ci pamięci, więc postanowił załatwić tę sprawę w sposób ostateczny.

– Według znanej mi wersji strzelał Bleys, który zostawił mnie w jeziorze, a Brand przybył w samą porę, żeby mnie wyciągnąć i uratować. Policyjny raport sugerował coś takiego.

– Kto wezwał policję? – spytała.

– Mają to zapisane jako anonimowy telefon, ale...

– Bleys ich wezwał. Kiedy zrozumiał, co się dzieje, nie mógł już dotrzeć na czas, żeby cię uratować. Miał nadzieję, że im się uda. I rzeczywiście.

– Nie rozumiem.

– Brand nie wyciągnął cię z samochodu. Sam tego dokonałeś. Czekał w pobliżu, by się upewnić, że nie żyjesz. A ty wypłynąłeś na powierzchnię i wyczołgałeś się na brzeg. Zszedł więc na dół. Chciał cię obejrzyć i zdecydować, czy umrzesz, jeśli cię zwyczajnie zostawi, czy może powinien wrzucić cię z powrotem. Mniej więcej wtedy przyjechała policja i musiał zniknąć. Dogoniliśmy go wkrótce potem. Udało się nam go pokonać i uwięzić w wieży. Potem skontaktowałam się z Erykiem i opowiedziałam, co zaszło. Poleciał Florze umieścić cię w tym drugim szpitalu i dopilnować, żebyś tam został aż do jego koronacji.

– To by się zgadzało – mruknąłem. – Dzięki.

– Co by się zgadzało?

– W czasach mniej skomplikowanych byłem tylko zwykłym konowalem i rzadko miałem do czynienia z przypadkami psychiatrycznymi. Ale wiem, że dla przywrócenia pamięci nie aplikuje się elektrowstrząsów. Na ogół wywołują przeciwny efekt: kasują pewne krótkotrwałe wspomnienia. Kiedy się dowiedziałem, co Brand ze mną zrobił, zacząłem coś podejrzewać. W końcu stworzyłem własną hipotezę. Wypadek samochodowy nie przywrócił mi pamięci, tak samo jak elektrowstrząsy. Zacząłem ją odzyskiwać w sposób naturalny, a nie w rezultacie jakiegoś szczególnego szoku. Musiałem zrobić albo powiedzieć coś, co wskazywało, że taki proces się rozpoczął. Brand się jakoś dowiedział i uznał, że w danej chwili to mu nie odpowiada. Wybrał się zatem do mojego cienia, zamknął mnie w szpitalu i poddał terapii, która powinna zatrzeć to, co sobie ostatnio przypominałem. Nie udało mu się: jedynym trwałym efektem było zatarcie wspomnień z kilku dni przed i po sesji terapeutycznej. Wypadek też miał w tym swój udział. Ale kiedy uciekłem z Portera i przeżyłem jego zamach na mnie, proces przywracania pamięci trwał nadal, kiedy obudziłem się w Greenwood i kiedy ich opuściłem. Kiedy mieszkałem u Flory, przypominałem sobie coraz więcej. Rekonwalescencję przyspieszył Random, zabierając mnie do Rebmy, gdzie przeszedłem Wzorzec. Jestem jednak przekonany, że nawet gdyby to nie nastąpiło, w końcu odzyskałbym wszystkie wspomnienia. Potrwałoby to pewnie trochę dłużej, ale przełamałem pewną barierę i przypomnianie było procesem ciągłym i coraz szybszym. Dlatego doszedłem do wniosku, że Brand próbował mi przeszkodzić i to właśnie pasuje do twojej wersji.

Pasmo gwiazd nad nami zwężyło się i wreszcie zniknęło. Jechaliśmy przez coś, co sprawiało wrażenie ciemnego tunelu z niezwykle delikatnym lśnieniem gdzieś daleko w przedzie.

– Tak – odezwała się z ciemności przede mną. – Prawidłowo odgadłeś. Brand bał się ciebie. Twierdził, że pewnej nocy w Tir-na Nog'th widział twój powrót i to, jak wniwecz obracasz wszystkie nasze plany. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, bo nie wiedziałam nawet, że żyjesz. Zapewne wtedy także postanowił cię odszukać. Czy odgadł miejsce twego pobytu jakimiś magicznymi sposobami, czy po prostu wyczytał je z umysłu Eryka, tego nie wiem. Pewnie to drugie. Czasami jest zdolny do takich wyczynów. W każdym razie cię znalazł. Resztę już znasz.

– To obecność Flory w tym cieniu i jej podejrzane związki z Erykiem wzbudziły jego podejrzliwość. Tak przynajmniej twierdził. Zresztą teraz to bez znaczenia. Co proponujesz z nim zrobić, jeśli wpadnie nam w ręce?



Parsknęła.

– Masz przecież swój miecz.

– Brand powiedział mi niedawno, że Bleys wciąż żyje. Czy to prawda?

– Tak.

– Więc czemu ja tu jestem zamiast niego?

– Bleys nie jest dostrojony do Klejnotu. Ty jesteś.

Reagujecie na siebie na bliskie odległości. W razie bezpośredniego zagrożenia Klejnot spróbuje ratować ci życie. Ryzyko zatem nie jest zbyt duże – wyjaśniła. Po chwili namysłu dodała: – Ale nie bądź za pewny. Szybkie cięcie może wyprzedzić reakcję. Czyli możesz zginąć w jego obecności.

Światło przed nami urosło i pojaśniało, ale wciąż nie dochodziły z tamtej strony żadne zapachy, powiewy czy dźwięki. Pomyślałem o kolejnych poziomach wyjaśnień, na jakie natrafiłem od chwili swego powrotu, a każde z własnym, skomplikowanym zestawem motywacji i usprawiedliwień wszystkiego, co zaszło, gdy byłem daleko, co zaszło potem i co działo się teraz. Emocje, plany, uczucia i cele dostrzegałem jako wiry w wodnej fali, płynącej przez miasto faktów, wolno budowane na grobie dawnego ja. Akt jest aktem, w najlepszej, steinowskiej tradycji, lecz każda załamująca się nade mną fala interpretacji przemieszczała jeden lub więcej obiektów, które uważałem za bezpiecznie zakotwiczone. To z kolei wprowadzało zmiany w całości, aż wreszcie samo życie wydało mi się niemalże zmienną grą Cienia wokół Amberu nieosiągalnej prawdy. Musiałem jednak przyznać, że wiem teraz więcej niż kilka lat temu, że jestem bliżej sedna spraw, że cała akcja, która porwała mnie od momentu powrotu, zmierza chyba w stronę jakiegoś ostatecznego rozwiązania. Czego chciałem? Szansy, by odkryć, co jest słuszne, i działać zgodnie z tym odkryciem. Roześmiałem się. Czy komukolwiek udało się kiedy osiągnąć to pierwsze, nie mówiąc już o drugim? W takim razie szukałem może aproksymacji prawdy, na której mógłbym się oprzeć. To by wystarczyło... I jeszcze szansa, by kilka razy machnąć klingą we właściwym kierunku: najwyższe zadośćuczynienie, jakie może ofiarować świat godziny pierwszej za zmiany dokonane od południa. Roześmiałem się znowu i sprawdziłem, czy ostrze lekko wychodzi z pochwy.

– Brand mówił, że Bleys organizuje kolejną armię... – zacząłem.

– Później – przerwała mi. – Później. Nie mamy już czasu.

Miała rację. Światło rozrosło się i przekształciło w okrągły otwór. Zbliżało się w tempie zupełnie nieproporcjonalnym do szybkości naszego ruchu, jak gdyby sam tunel ulegał skróceniu. Miałem wrażenie, że to dzienne światło wpada przez coś, co postanowiłem uznać za wyjście z jaskini.

– Jak chcesz – powiedziałem, a po chwili dotarliśmy do otworu i wyjechaliśmy na zewnątrz.

Zamrugalem. Po lewej stronie było morze, które zlewało się z niebem tej samej barwy. Złote słońce płynęło/wisało nad/wśród niego, na wszystkie strony posyłając promienie blasku. Za plecami miałem teraz już tylko skałę. Przejście wiodące do tego miejsca zniknęło bez śladu. Niezbyt daleko z przodu i w dole – może jakieś trzydzieści metrów – leżał pierwotny Wzorzec. Jakiś człowiek kroczył po drugim z zewnętrznych łuków, tak pochłonięty marszem, że najwyraźniej nie dostrzegł jeszcze naszego przybycia. Błysk czerwieni, gdy zakręcał: Klejnot, zwisający z jego szyi, jak wcześniej zwisał z mojej, z Eryka, z taty. Tym człowiekiem był naturalnie Brand.

Zeskoczyłem z siodła. Spojrzałem na Fionę, drobną i strapioną, po czym wsunąłem wodze w jej dłoni.

– Masz jakiś pomysł oprócz tego, żeby iść za nim?

Pokręciła głową.

Odwracając się, dobyłem Grayswandira i ruszyłem przed siebie.

– Powodzenia – rzuciła cicho.

Idąc w stronę Wzorca, dostrzegłem długi łańcuch biegnący od otworu jaskini do nieruchomego teraz gryfa Wixera. Głowa Wixera leżała na ziemi, kilka kroków na lewo od ciała. Z tułowia i szyi ciekła na kamienie zwykła, czerwona krew.

Stając przy początku drogi, dokonałem szybkich obliczeń. Brand minął już kilka zakrętów głównej spirali. Pokonał mniej więcej dwa i pół okrążenia. Gdyby rozdzielał nas tylko jeden zwój, mógłbym dosięgnąć go mieczem z pozycji równoległej do niego. Jednakże im dalej się zagłębiał, tym trudniejsza była droga. W rezultacie Brand poruszał się coraz wolniej. Krótko mówiąc, miałem szanse. Nie muszę go doganiać. Wystarczy, że nadrobię półtora okrążenia i wejdem na pozycję obok niego.

Postawiłem stopę na Wzorcu i ruszyłem tak szybko, jak tylko potrafiłem. Błękitne iskry zapłonęły wokół moich stóp, gdy walcząc z rosnącym oporem prawie biegiem pokonywałem pierwszą krzywą. Sięgały coraz wyżej. Włosy stawały mi dęba, gdy dotarłem do Pierwszej Zasłony, i wyraźnie słyszałem trzask wyładowań. Napierałem na Zasłonę myśląc, czy Brand mnie już zauważył. W tej chwili nie mogłem sobie pozwolić na rzut oka w jego stronę. Wyteżyłem siły, by pokonać opór, i po kilku krokach przebiłem Pierwszą Zasłonę. Poruszanie stało się łatwiejsze.

Uniosłem głowę. Brand właśnie się wynurzał ze strasznej Drugiej Zasłony, a błękitne iskry sięgały mu do piersi. Przebił się i z tryumfalnym uśmiechem wykonał krok do przodu. I wtedy mnie zauważył.

Uśmiech zniknął. Zawahał się – punkt dla mnie. Jeśli to tylko możliwe, na Wzorcu nie wolno się zatrzymywać. Traci się masę energii, by znowu ruszyć z miejsca.

– Spóźniłeś się! – zawołał.

Nie odpowiadałem. Po prostu szedłem. Błękitne iskry strzelały z rysunku Wzorca na ostrze Grayswandira.

– Nie przejdziesz przez czerń – oznajmił.

Nadał szedłem. Ciemny obszar był tuż przede mną.

Cieszyłem się, że przynajmniej na tym okrążeniu nie wypadł na którymś z trudniejszych fragmentów Wzorca.

Brand ruszył powoli w kierunku Wielkiego Łuku. Gdybym tam właśnie go dopadł, nie byłoby żadnej walki: nie miałby sił, by się bronić.

Zbliżałem się do uszkodzonego fragmentu Wzorca.

Wspomniałem sposób, dzięki któremu wraz z Ganelonem przejechaliśmy przez czarną drogę podczas ucieczki z Avalonu. Złamałem jej moc, przywołując w myślach obraz Wzorca. Teraz, oczywiście, Worzec rozciągał się wokół mnie, a odległość była o wiele mniejsza. Z początku pomyślałem, że Brand chce mnie tylko przestraszyć, teraz jednak przyszło mi do głowy, że moc czarnego obszaru może być znacznie większa tutaj, u jego Źródła.

Kiedy się zbliżyłem, Grayswandir zajaśniał nagłym blaskiem, przewyższającym poprzednie lśnienie. Pod wpływem impulsu przytknąłem jego ostrze do krawędzi czerni w miejscu, gdzie urywał się Worzec.

Grayswandir przylgnął do powierzchni i nie dał się oderwać. Szedłem dalej, a ostrze wycinało drogę przede mną, ślizgając się po linii zbliżonej do oryginalnego rysunku. Podążałem za nim. Słońce pociemniało, gdy stanąłem na czarnym fragmencie. Nagle usłyszałem bicie własnego serca, a pot zrosił mi czoło. Szary cień ogarnął wszystko. Świat był przymglony, a Worzec zbladł.

Miałem wrażenie, że łatwo byłoby o fałszywy krok, a nie byłem pewien, czy rezultat byłby podobny, jak po błędzie na nie naruszonej części Wzorca. Wolałem nie sprawdzać. Nie odrywałem wzroku od linii, jaką kreślił przede mną Grayswandir. Błękitny płomień ostrza był jedyną rzeczą, która w tym świecie zachowała kolor. Prawa stopa, lewa stopa...:

I nagle wyszedłem, czerni się skończyła i znowu mogłem swobodnie poruszać mieczem. Ognie przygasły, czy to przez kontrast z ponownie jasnym tłem, czy z innych, nie znanych mi powodów. Rozejrzałem się. Brand dochodził do Wielkiego Łuku.

Ja zbliżałem się do Drugiej Zastony. Za kilka minut obaj skoncentrujemy się na wysiłku, jakiego wymagały te przeszkody. Jednak Wielki Łuk jest trudniejszy, dłuższy od Drugiej Zastony. Powinienem być wolny i ruszyć szybciej, zanim on pokona swoją barierę. Potem znów muszę przekroczyć uszkodzony obszar. On pewnie już się uwolni, ale będzie szedł wolniej niż ja, ponieważ wkroczy w odcinek, gdzie marsz jest jeszcze trudniejszy. Równomierne trzaski rozlegały się przy każdym moim kroku, a uczucie mrowienia ogarnęło całe ciało. Iskry sięgały już połowy uda. Miałem wrażenie, że idę polem elektrycznej pszenicy. Włosy miałem zjeżone, przynajmniej częściowo. Czulem, jak wibrują. Obejrzałem się, by spojrzeć na Fionę: siedziała w siodle, nieruchoma i czujna...

Natarłem na Drugą Zastonę.

Kąty... krótkie, ostre zakręty... Opór narastał, aż wreszcie całą uwagę i wszystkie siły skoncentrowałem na walce. Znowu napłynęło znajome uczucie beczasowości, jak gdyby to właśnie było wszystkim, czego kiedykolwiek dokonałem i czego dokonam. I wola... koncentracja pragnienia o takiej intensywności, że wyłączała wszystko inne... Branda, Fionę, Amber, własną tożsamość... Iskry uniosły się jeszcze wyżej, a ja napierałem, skręcałem, walczyłem o każdy krok, a każdy następny wymagał większego wysiłku niż poprzedni.

Przebiłem się. Wprost na czarny obszar. Odruchowo wyciągnąłem klingę Grayswandira przed siebie i w dół, jak poprzednio. I znowu szarość, monochromatyczna mgła rozcinana błękitem ostrza otwierającego mi drogę jak chirurgiczne nacięcie.

Gdy wróciłem do normalnego oświetlenia, poszukałem wzrokiem Branda. Wciąż był w zachodniej ćwiartce i przebijał się przez Wielki Łuk. Dotarł mniej więcej do dwóch trzecich długości. Gdybym zwiększył tempo, mógłbym go dogonić tuż przy wyjściu. Wkładając w to wszystkie siły, ruszyłem najszybciej, jak potrafiłem. Kiedy dotarłem do północnej części Wzorca i na krzywą prowadzącą z powrotem, uświadomiłem sobie, co właściwie chcę zrobić.

Miałem zamiar znowu splamić Wzorzec krwią. Gdyby chodziło o wybór między jego dalszym uszkodzeniem a całkowitym zniszczeniem przez Branda, wiedziałbym, co jest moim obowiązkiem. Czulem jednak, że musi być inna możliwość. Tak...

Zwolniłem odrobinę. Wszystko było kwestią trafienia w odpowiedni moment. W tej chwili jemu było o wiele trudniej niż mnie, dysponowałem więc pewną rezerwą. Cała moja strategia polegała na doprowadzeniu do spotkania w odpowiednim punkcie. Z ironią wspomniałem troskę Branda o dywan. Utrzymanie czystości Wzorca będzie jednak wiele bardziej skomplikowane.

Zbliżał się już do końca Wielkiego Łuku, a ja ścigałem go oceniając odległość do czerni. Postanowiłem, że pozwolę mu krwawić na uszkodzonym już obszarze. Jedynym minusem tego planu było, że znajdę się po prawej ręce Branda. Aby zmniejszyć przewagę, jaką dzięki temu uzyska, gdy skrzyżujemy klingi, muszę pozostać trochę z tyłu.

Brand zmagał się i parł do przodu, poruszając się jakby w zwolnionym tempie. Ja także walczyłem, lecz nie tak ciężko. Utrzymywałem tempo. Myślałem o Klejnocie, o moim z nim pokrewieństwie, jakie narodziło się w chwili dostrojenia. Wyczuwałem jego obecność, po lewej stronie i z przodu, choć w tej chwili nie mogłem go dostrzec na piersi Branda. Czy naprawdę spróbuje mnie ratować, gdyby Brand zwyciężał w nadchodzącym starciu? Wierzyłem niemal, że zadziała. Już raz uratował mnie przed zamachem i odszukał jakoś w moich wspomnieniach tradycyjnie bezpieczną kryjówkę: moje własne łóżko. Przeniósł mnie tam. Teraz go czulem, niemal widziałem poprzez niego drogę przed Brandem. Byłem prawie pewien, że raz jeszcze spróbuje

działać w mojej obronie. Pamiętając słowa Fiony, postanowiłem jednak za bardzo na to nie liczyć. Rozważałem jednak inne jego funkcje i zastanawiałem się, czy potrafiłbym nim operować bez fizycznego kontaktu.

Brand prawie pokonał Wielki Łuk. Sięgnąłem ku niemu z jakiegoś poziomu mojej istoty i nawiązałem kontakt z Klejnotem. Przekazując mu swą wolę, wezwałem burzę typu czerwonego cyklonu, który unicestwił Iago. Nie miałem pojęcia, czy potrafię zapanować nad tak szczególnym zjawiskiem w tym szczególnym miejscu, ale mimo to go przywołałem i skierowałem przeciw Brandowi. Na razie nic się nie działo, choć czułem, że Klejnot zaczął funkcjonować. Brand dotarł do końca; jeszcze jeden wysiłek i zszedł z Wielkiego Łuku.

Byłem tuż za nim.

Jakoś się tego domyślił. Wyciągnął miecz w chwili, gdy zmałał opór, przebył kolejny metr szybciej, niż uważałem to za możliwe, wysunął do przodu lewą stopę, odwrócił się i spojrzał mi w oczy ponad linią naszych kling.

– Niech to diabli, udało ci się – powiedział, dotykając ostrzem czubka Grayswandira. – Ale nigdy tu byś nie dotarł tak szybko, gdyby nie ta dziwka na koniu.

– Ładnie się wyrażasz o naszej siostrze – odparłem, zaatakowałem i patrzyłem, jak odparowuje cios. Żaden z nas nie miał swobody ruchu, żaden nie mógł zaatakować nie opuszczając ścieżki Wzorca. Mnie dodatkowo ograniczał fakt, że na razie nie chciałem przelewać jego krwi. Zamarkowałem pchnięcie blokujące, a on cofnął się, przesuwając lewą stopę do tyłu wzdłuż linii Wzorca. Potem podciągnął prawą i bez ostrzeżenia spróbował ataku na głowę. Niech to! Odparowałem i zripostowałem czysto instynktownie. Nie chciałem trafić go w pierś, ale ostrze Grayswandira wykreśliło łuk pod jego mostkiem. W powietrzu nad nami rozległo się głucho brzęczenie. Nie mogłem jednak oderwać wzroku od Branda. On spojrzał w dół i cofnął się jeszcze o krok.

Doskonale. Czerwona linia ozdabiała mu gors w miejscu, gdzie przejechała klinga. Na razie materiał koszuli wchłaniał krew. Wysunąłem nogę, zrobiłem zwód, pchnąłem, odparowałem ripostę, poszedłem do zwarcia, cofnąłem klingę – wszystko, co tylko mogłem wymyślić, żeby go zmusić do ruchu w tył. Dysponowałem psychologiczną przewagą: wiedział, że mam większy zasięg ramion, że dzięki temu potrafię zrobić więcej i szybciej.

Zbliżał się już do czarnego obszaru. Jeszcze tylko kilka kroków... Usłyszałem dźwięk podobny do pojedynczego uderzenia dzwonu, a potem głośny ryk. Nagle padł na nas cień, jak gdyby chmura przesłoniła słońce.

Brand podniósł głowę. Chyba mogłem go wtedy załatwić, ale wciąż stał za daleko od powierzchni docelowej.

Natychmiast się opanował i spojrzał na mnie z wściekłością.

– Niech cię diabli porwą, Corwinie! To twoje dzieło! – krzyknął i natarł, zapominając o ostrożności.

Na nieszczęście znajdowałem się w nie najlepszej pozycji, gdyż właśnie podchodziłem, by spróbować odepchnąć go jeszcze trochę. Byłem odsłonięty i stałem niezbyt pewnie. Już parując atak zrozumiałem, że to nie wystarczy. Skręciłem tułów i padłem do tyłu. Przewracając się usiłowałem trzymać stopy na linii.

Upadłem na prawy łokieć i lewą dłoń. Zakląłem, gdyż ból był zbyt silny, łokieć zsunął się na bok i wylądowałem na prawym ramieniu.

Jednak pchnięcie przeszło nade mną, a otoczone błękitną aureolą stopy pozostały na ścieżce. Znalazłem się poza zasięgiem śmiertelnego ciosu Branda, choć mógł atakować moje nogi. Zasłoniłem

się prawą ręką, z której nie wypuściłem Grayswandira. Próbowałem usiąść. Dostrzegłem czerwoną formację chmur, żółtych przy krawędziach, wirującą dokładnie nad Brandem. Trzaskała iskrami i małymi błyskawicami; ryk zmienił się w wycie.

Brand chwycił miecz za klingę i uniósł jak włócznię. Wiedziałem, że nie zdołam go odbić ani się odsunąć. Sięgnąłem myślą do Klejnotu, a poprzez niego do zjawiska na niebie...

Nastąpił jaskrawy błysk, a palec błyskawicy dotknął jego miecza.

Broń wypadła mu z ręki, a dłoń odruchowo skoczyła do ust. Zamknął w lewej Klejnot Wszechmocy, jak gdyby rozumiał, co robię, i zasłaniając kamień próbował mi przeszkodzić. Ssąc palce spojrział w górę; wściekłość odpłynęła z jego twarzy, zastąpiona wyrazem bliskiego grozy przerażenia. Lej zaczynał opadać. Odwrócił się wtedy, wstąpił na poczerniały obszar, stanął twarzą w kierunku południa, uniósł ramiona i wykrzyknął coś, czego nie dosłyszałem w ogłuszającym wyciu.

Lej sięgał ku niemu, ale on stawał się jakby dwuwymiarowy. Kontury zafalowały. Zaczął się zmniejszać, ale nie było to rezultatem zmiany wymiarów, a raczej wzrostu odległości. Stawał się wciąż mniejszy – aż zniknął wreszcie, na mgnienie oka przed tym, jak lej przesunął się przez miejsce, w którym stał.

Wraz z nim zniknął Klejnot i nie miałem już żadnej możliwości kontrolowania zjawiska nad głową. Nie wiedziałem, czy lepiej trzymać się nisko, czy raczej przyjąć normalną na Wzorcu pozycję. Wybrałem to drugie, gdyż wir atakował chyba to, co naruszało zwykły ciąg zdarzeń. Usiadłem, po czym przesunąłem się wolno do linii. Potem spróbowałem przykucnąć, lecz lej już się podnosił. Wycie cichło. Zgasły błękitne ognie wokół moich butów. Obejrzałem się na Fionę. Dawła mi znaki, bym wstawał i szedł dalej.

Wstałem więc powoli widząc, że wir rozprasza się nade mną. Wkraczając na obszar, gdzie jeszcze niedawno stał Brand, raz jeszcze użyłem Grayswandira, by mnie poprowadził. Poskręcane resztki miecza Branda leżały po drugiej stronie czarnej plamy.

Żałowałem, że nie ma jakiejś łatwiejszej drogi – zejścia z Wzorca. Nie widziałem sensu pokonywania reszty trasy. Ale gdy postawiłem stopę na Wzorcu, nie było już odwrotu, a nie miałem specjalnej ochoty próbować wyjścia czarnym szlakiem. Dlatego ruszyłem w stronę Wielkiego Łuku. Zastanawiałem się, gdzie odszedł Brand. Gdybym wiedział, mógłbym rozkazać Wzorcowi, by przeniósł mnie za nim, kiedy już dojdę do środka. Może Fiona ma jakiś pomysł. Z drugiej strony, prawdopodobnie wybrał miejsce, gdzie ma sprzymierzeńców. Niemądrze byłoby ścigać go samotnie.

Przynajmniej nie dopuściłem do dostrojenia, pocieszyłem się.

I wszedłem na Wielki Łuk. Iskry strzeliły wokół mnie.

# Rozdział 12

---

Późne popołudnie na zboczu góry: zachodzące słońce świeciło pełnym blaskiem na głązy po lewej stronie i wycinało długie cienie tym po prawej; sączyło się przez liście nad moim grobem; w pewnym stopniu chroniło przed chłodnymi wiatrami Kolviru. Puściłem dłoń Randoma i spojrzałem z uwagą na mężczyznę siedzącego na ławie przed mauzoleum.

Miał twarz młodzika z przebitego sztyletem Atutu. Wokół ust pojawiły się zmarszczki, pociemniały brwi; ogólne zmęczenie widoczne w oczach i ułożeniu szczęki, na karcie nie było tak wyraźne.

Poznałem go więc, zanim Random oznajmił:

– To mój syn, Martin.

Martin wstał i uścisnął mi rękę.

– Wuju Corwinie – powiedział.

Wyraz jego twarzy zmienił się tylko minimalnie. Przyglądał mi się badawczo.

Był o kilka centymetrów wyższy od Randoma, ale tej samej, drobnej budowy. Podbródek i kości policzkowe miały identyczny wykrój, a włosy podobną barwę.

Uśmiechnąłem się.

– Długo cię nie było – stwierdziłem. – Mnie też.

Skinął głową.

– Ale ja nigdy nie widziałem Amberu – zauważył. – Dorastałem w Rebmie... i w innych miejscach.

– Więc pozwól, że cię powitam, bratanku. Przybyłeś w ciekawym czasie. Random na pewno ci o tym opowiedział.

– Tak. Dlatego prosiłem o spotkanie tutaj, nie tam.

Spojrzałem na Randoma.

– Ostatnim wujem, jakiego spotkał, był Brand – wyjaśnił. – I odbyło się to w wyjątkowo nieprzyjemnych okolicznościach. Dziwisz mu się?

– Raczej nie. Sam wpadłem na Branda jakiś czas temu. Nie było to najmiłsze spotkanie.

– Wpadłeś na niego? Nie rozumiem.

– Opuścił Amber i ma ze sobą Klejnot Wszehmocy. Gdybym wcześniej wiedział to, co wiem teraz, nadal siedziałby w wieży. To człowiek, którego szukaliśmy. Jest bardzo niebezpieczny.

Random przytaknął.

– Wiem o tym. Martin potwierdził wszystkie nasze podejrzenia w kwestii zamachu: to był Brand. Ale co to za sprawa z Klejnotem?

– Wyprzedził mnie w miejscu, gdzie zostawiłem kamień na cieniu-Ziemi. Musiał jednak przejść Wzorzec i dokonać projekcji siebie przez Klejnot, by się dostroić i móc z niego korzystać. Właśnie mu to udaremniłem na pierwotnym Wzorcu w prawdziwym Amberze. Zdołał mi uciec. Byłem tuż za górą, z Gerardem. Wysłaliśmy oddział straży do Fiony, która tam została. Mają nie dopuścić, żeby wrócił i spróbował znowu. Nasz własny Wzorzec i ten w Rebmie także są strzeżone.

– Dlaczego tak mu zależy na dostrojeniu? Żeby wywołać parę burz? Do licha, może się przejść w Cieniu i znaleźć taką pogodę, o jakiej tylko zamarzy.

– Człowiek dostrojony do Klejnotu może go wykorzystać, by zniszczyć Wzorzec.

– Naprawdę? I co się wtedy stanie?

– Świat, jaki znamy, przestanie istnieć.

– Naprawdę? – powtórzył Random. – Skąd o tym wiesz, do diabła?

– To długa historia, a my nie mamy czasu, ale słyszałem ją od Dworkina i wierzę w większą część tego, co mówił.

– Wciąż jeszcze żyje?

– Kiedy indziej, Randomie.

– Jak chcesz. Ale Brand musi być szaleńcem, żeby próbować czegoś takiego.

Kiwnąłem głową.

– Moim zdaniem uważa, że potrafi wykreślić nowy Wzorzec, przebudować wszechświat na nowy, z sobą w roli głównej.

– To możliwe?

– Teoretycznie tak. Ale nawet Dworkin miał pewne wątpliwości, czy da się powtórzyć ten wyczyn. Układ czynników był wyjątkowy... Tak, Brand musi być trochę szalony. Kiedy przypominam go sobie przez te wszystkie lata, te jego zmiany osobowości, cykle nastrojów, mam wrażenie, że dostrzegam jakiś syndrom schizoidalny. Nie wiem, czy układ z nieprzyjacielem ostatecznie pchnął go w obłąd czy nie. To bez znaczenia. Chciałbym, żeby znów siedział w wieży. Albo żeby Gerard był gorszym lekarzem.

– Wiesz, kto go pchnął?

– Fiona. Ale sama ci wszystko opowie.

Oparł się o moje epitafium i pokręcił głową.

– Brand – mruknął. – Niech go szlag trafi. Każdy z nas mógł go zabić i to przy wielu okazjach... za dawnych lat. Ale kiedy doprowadzał cię już do szału, nagle się zmieniał. Po pewnym czasie zaczynałeś myśleć, że nie jest taki zły. Szkoda, że nie zirytował któregoś z nas trochę bardziej i w odpowiedniej chwili...

– Jak rozumiem, jest teraz uczciwą zdobyczą? – wtrącił Martin.

Popatrzyłem na niego. Mięśnie szczęk stężały, zmrużył oczy. W jednej chwili po jego obliczu przepłynęły nasze twarze, jakby tasował talię rodzinnych kart. Cały nasz egoizm, nienawiść, zazdrość, pycha i buta przemknęły w ciągu sekundy, a przecież jeszcze nie postawił nogi w Amberze. Coś we mnie pękło.

Chwyciłem go za ramiona.

– Masz wszelkie powody, by go nienawidzić – zacząłem. – A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Sezon polowań został otwarty. Nie widzę innego sposobu rozstrzygnięcia tej sprawy niż jego śmierć. Sam nienawidziłem go od dawna, choć był wtedy dla mnie abstrakcją. Ale teraz..., coś się zmieniło. Tak, trzeba go zabić. Ale nie pozwól, by nienawiść była dla ciebie chrztem bojowym i wprowadziła w nasze towarzystwo. Zbyt wiele jej było między nami. Spoglądam na twoją twarz... nie wiem... Przykro mi, Martinie. Za dużo się dzieje właśnie teraz. Jesteś młody. Więcej widziałem niż ty. Część tego niepokoi mnie... w inny sposób. To wszystko.

Zwolniłem uścisk i odstałem.

– Opowiedz mi o sobie.

– Przez długi czas bałem się Amberu – zaczął. – I chyba nadal się boję. Odkąd Brand mnie zaatakował, wciąż myślałem, czy znowu mnie nie dopadnie. Przez całe lata stale oglądałem się za siebie. Przypuszczam, że bałem się was. Znałem większość z portretów na kartach... i ze złej reputacji. Mówiłem Randomowi... tacie... że nie chciałem spotkać was wszystkich jednocześnie. Zaproponował, żebym najpierw zobaczył się z tobą. Nie wiedzieliśmy wtedy, że jesteś szczególnie zainteresowany pewnymi informacjami, które posiadam. Gdy jednak o nich napomknąłem, tata uznał, że muszę się z tobą spotkać jak najszybciej. Opowiadał mi, co się tu działo i... widzisz, wiem coś na ten temat.

– Miałem przeczucie, że będziesz wiedział... kiedy niedawno usłyszałem pewną nazwę.

– Tecysowie? – spytał Random.

– Ci sami.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć – powiedział Martin.

– Wiem, że dorastałeś w Rebmie, przeszedłeś Wzorzec, potem wykorzystałaś władzę nad Cieniem, by odwiedzić Benedykta w Avalonie. Benedykt opowiedział ci dokładniej o Amberze, nauczył posługiwać się Atutami i używać broni. Później odjechałeś, by samodzielnie podróżować w Cieniu. Wiem, co ci zrobił Brand. I to już wszystko.

Skinął głową i spojrzał ku zachodowi.

– Kiedy rozstałem się z Benedyktem, przez długi czas wędrowałem w Cieniu – zaczął. – To były moje najszczęśliwsze lata. Przygody, emocje, nieznanne rzeczy do zobaczenia, do zrobienia... Gdzieś w głębi mózgu zawsze tkwiła myśl, że kiedy będę mądrzejszy, twardszy, bardziej doświadczony, wybiorę się do Amberu i poznam swoich krewnych. Potem odnalazł mnie Brand. Obozowałem na małym wzgórku, odpoczywałem po długiej jeździe i jadłem lunch w drodze do moich przyjaciół Tecysów. Brand nawiązał kontakt. Łączyłem się już z Benedyktem przez jego Atut, kiedy mnie uczył, jak się nimi posługiwać. Kilka razy nawet przerzucił mnie tą drogą. Dlatego wiedziałem, jakie to uczucie, i rozumiałem, co się dzieje. Przez chwilę myślałem nawet, że to Benedykt mnie wzywa. Ale nie. To był Brand... znałem go z portretu w talii. Stał w samym centrum czegoś, co wyglądało jak Wzorzec. Zaciekawilo mnie to. Nie wiedziałem, jak do mnie dotarł. Przecież nie istniał mój Atut. Mówił przez minutę. Nie pamiętam już, co powiedział. A kiedy wszystko już było jasne, wtedy... wtedy zadał mi cios. Odepchnąłem go i wyrwałem się. Jakoś utrzymał kontakt. Trudno mi było go zerwać... a kiedy wreszcie się udało, znowu próbował mnie osiągnąć. Ale umiałem to zablokować. Benedykt mnie nauczył. Próbował kilka razy, ale ciągle blokowałem. Wreszcie przestał. Miałem już niedaleko do Tecysów.

Zdołałem jakoś dosiąść konia i dojechać do nich. Bałem się już, że umrę, bo nigdy jeszcze nie byłem tak ciężko ranny. Ale po pewnym czasie zacząłem wracać do zdrowia. I wtedy znowu zacząłem się bać: że Brand mnie odnajdzie i dokończy to, co zaczął.

– Dlaczego nie wezwałeś Benedykta? – zapytałem. – I nie opowiedziałeś o tym, co zaszło i o swoich obawach?

– Myślałem o tym – przyznał. – Ale pomyślałem też, że Brand wierzy, że mu się udało. I że nie żyję. Nie wiedziałem, jakie siły walczą ze sobą w Amberze, ale uznałem, że zamach na moje życie jest zapewne elementem takiej konfrontacji. Benedykt opowiedział mi dostatecznie dużo, by była to pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Uznałem więc, że lepiej pozostać martwym. Opuściłem Tecysów, zanim jeszcze do końca wyzdrowiałem. I odjechałem, by skryć się w Cieniu.

– Natrafiłem wtedy na niezwykle zjawisko – podjął po chwili przerwy. – Coś, czego jeszcze nigdy nie spotkałem, ale co teraz zdawało się praktycznie wszechobecne: w prawie wszystkich cieniach, które mijałem, istniała w tej czy innej formie niezwykle czarna droga. Nie rozumiałem, czym jest, ale zainteresowała mnie, gdyż była jedynym napotkanym obiektem, który przecinał sam Cień. Postanowiłem podążyć wzdłuż niej i dowiedzieć się czegoś więcej. Była niebezpieczna. Prędko się nauczyłem, by na nią nie wjeżdżać. Dziwne rzeczy podróżowały tamtędy po zmroku. Zwykłe stworzenia, które na nią trafiły, chorowały i ginęły. Dlatego byłem ostrożny. Jechałem nie bliżej niż to konieczne, by nie tracić jej z oczu. Podążałem za nią przez różne okolice. Przekonałem się, że gdziekolwiek prowadziła, tam zawsze nadciągała śmierć, zniszczenie albo inne kłopoty. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Umilkł.



– Nie odzyskałem jeszcze sił – podjął po chwili. – Popełniłem błąd: zanadto się zmęczyłem, za dużą odległość próbowałem pokonać za dnia, jechałem zbyt szybko. Wieczorem zachorowałem. Przez całą noc i większą część następnego dnia dygotałem pod kocem. Traciłem i odzyskiwałem przytomność, więc nie wiem, kiedy dokładnie się zjawiała. Przez dłuższy czas sądziłem, że jest częścią snu. Młoda dziewczyna. Ładna. Opiekowała się mną, aż wróciłem do zdrowia. Miała na imię Dara. Rozmawialiśmy bez końca. To było miłe. Wreszcie znalazł się ktoś, z kim mogę porozmawiać. Musiałem jej opowiedzieć o całym swoim życiu. Potem ona mówiła trochę o sobie. Nie pochodziła z tej okolicy. Twierdziła, że podróżowała przez Ciebie. Nie potrafiła jeszcze chodzić wśród cieni tak jak my, ale uważała, że może się tego nauczyć. Twierdziła, że pochodzi z Rodu Amber, ze strony Benedykta. Szczerze mówiąc, bardzo jej zależało na tej umiejętności. Do podróży wykorzystywała samą czarną drogę. Nie odczuwała jej szkodliwego wpływu, gdyż była spokrewniona również z mieszkańcami jej przeciwnego końca, Dworców Chaosu. Chciała jednak poznać nasze sposoby, więc starałem się jej przekazać wszystko, co wiem. Powiedziałem o Wzorcu, nawet go dla niej naszkicowałem, pokazałem moje Atuty – Benedykt dał mi talię – żeby mogła poznać krewnych. Twoja karta interesowała ją szczególnie.

– Zaczynam rozumieć – mruknąłem. – Mów dalej.

– Wytłumaczyła mi, że Amber, zanurzony w otchłani zepsucia i arogancji, zakłócił rodzaj metafizycznej równowagi pomiędzy nim a Dworcami Chaosu. I teraz oni muszą podjąć dzieło naprawy poprzez zniszczenie Amberu. Ich ojczyzna nie jest cieniem Amberu, ale trwałym zjawiskiem, istniejącym na własnych prawach. Tymczasem wszystkie cienie cierpią z powodu czarnej drogi. Wiedząc o Amberze to, co wiedziałem, raczej nie mogłem protestować. Z początku wierzyłem we wszystko, co mówiła. Szczególnie Brand dobrze pasował do jej opisów zła panującego w Amberze. Ale kiedy o nim wspomniałem, zaprzeczyła. Tam, skąd przybyła, był czymś w rodzaju bohatera. Nie była pewna, z jakiego powodu, ale nie przejmowała się tym specjalnie. Wtedy zacząłem dostrzegać, że jest zbyt pewna swoich przekonań. W tym, co mówiła, wyczuwałem cień fanatyzmu. Niemal wbrew własnej woli zacząłem bronić Amberu. Myślałem o Llewelli, o Benedykcie... i o Gerardzie, którego spotkałem kilka razy. Odkryłem, że chętnie słucha o Benedykcie. Okazał się jej słabym punktem. Mogłem mówić o tym, co znałem, a ona skłonna była wierzyć w dobre rzeczy, które miałem do powiedzenia. Nie wiem, jaki był ostateczny rezultat tych rozmów, tyle że pod koniec stała się chyba trochę mniej pewna siebie.

– Pod koniec? – powtórzyłem. – Co masz na myśli? Jak długo była przy tobie?

– Prawie tydzień. Obiecała, że będzie się mną opiekować, póki nie wrócę do zdrowia. I dotrzymała słowa. Została nawet parę dni dłużej. Twierdziła, że chce się upewnić, ale przypuszczam, że pragnęła raczej kontynuować nasze dyskusje. W końcu jednak oświadczyła, że musi jechać dalej. Prosiłem, żeby została ze mną, ale odmówiła. Zaproponowałem, że z nią pojadę, ale też odmówiła. Pewnie się domyśliła, że zamierzam ruszyć za nią, bo wymknęła się nocą. Nie mogłem ściagać jej czarną drogą, a nie miałem pojęcia, do jakiego cienia podąży w drodze do Amberu. Kiedy obudziłem się rano i stwierdziłem, że zniknęła, myślałem, żeby samemu odwiedzić Amber. Ale ciągle jeszcze się bałem. Może pewne sprawy, o których opowiadała, zwiększyły mój lęk. W każdym razie postanowiłem zostać jeszcze w Cieniu. Ruszyłem w drogę. Oglądałem nowe rzeczy, nowych rzeczy próbowałem się uczyć... aż znalazł mnie Random i powiedział, że chce, bym wrócił do domu. Najpierw jednak sprowadził mnie tutaj, żebyś przed innymi wysłuchał mojej opowieści. Mówił, że znasz Darę i chcesz dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Mam nadzieję, że ci pomogłem.

– Tak – przyznałem. – Dziękuję ci.

– Rozumiem, że w końcu przeszła Wzorzec.

– Tak, udało jej się.

– A potem zadeklarowała się jako wróg Amberu?

– Istotnie.

– Mam nadzieję – dodał – że nie stanie jej się krzywda. Była dla mnie dobra.

– Chyba potrafi o siebie zadbać – odparłem. – Ale... tak, to sympatyczna dziewczyna. Nie mogę ci niczego obiecać w kwestii jej bezpieczeństwa, ponieważ wciąż zbyt mało wiem o niej i o jej roli we wszystkim, co się teraz dzieje. Jednak to, co mi powiedziałeś, będzie bardzo pomocne. Sprawia, że będę się starał tłumaczyć wszelkie wątpliwości na jej korzyść.

Uśmiechnął się.

– Miło mi to słyszeć.

Wzruszyłem ramionami.

– Co masz zamiar robić dalej? – spytałem.

– Zabieram go, żeby poznał Vialle – wtrącił Random. – A potem pozostałych, jeśli czas i okazja pozwoli. Chyba że wyniknęły jakieś nowe okoliczności i jestem ci potrzebny już teraz.

– Wyniknęły nowe okoliczności – przyznałem. – Ale na razie nie jesteś mi potrzebny. Lepiej jednak, żebym wprowadził cię w sytuację. Mam jeszcze trochę czasu.

Kiedy streszczałem Randomowi to, co się wydarzyło pod jego nieobecność, myślałem o Martinie. Jeśli o mnie chodzi, wciąż pozostawał niewiadomą. Jego opowieść mogła być absolutnie prawdziwa. Szczerze mówiąc czułem, że jest. Z drugiej jednak strony miałem wrażenie, że nie jest kompletna, że świadomie coś pominął. Może coś nieszkodliwego. A może nie. Nie miał powodów, żeby nas kochać. Wręcz przeciwnie. I może Random wprowadza do domu konia trojańskiego? Prawdopodobnie się mylę. Po prostu nie mam w zwyczaju komukolwiek ufać, jeśli istnieją inne możliwości.

Zresztą niewiele z tego, co mówiłem Randomowi, można by użyć przeciwko nam, a miałem poważne wątpliwości, czy Martin potrafiłby nam zaszkodzić, nawet gdyby miał taki zamiar. Nie, raczej był zwyczajnie ostrożny, jak my wszyscy, i z tych samych powodów: strachu i chęci przetrwania. Pod wpływem nagłego impulsu zapytałem:

– Czy spotkałeś jeszcze kiedyś Darę?

Zarumienił się.

– Nie – odpowiedział zbyt szybko. – Tylko ten jeden raz.

– Rozumiem.

Random był zbyt dobrym pokerzystą, by tego nie zauważyć. Tym samym uzyskałem drobne zabezpieczenie za niewielką cenę podejrzliwości ojca wobec dawno utraconego syna.

Szybko skierowałem rozmowę na Branda. Porównywaliśmy właśnie nasze dane z psychopatologii, kiedy poczułem znajome mrowienie i wrażenie czyjejś obecności, zwiastujące połączenie przez Atut. Uniosłem dłoń i odwróciłem się.

Po chwili nastąpił kontakt. Ganelon i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Corwinie – zaczął. – Uznałem, że powinienem sprawdzić. Do tej pory albo ty masz Klejnot, albo Brand ma Klejnot, albo obaj jeszcze szukacie. Jak jest?

– Brand ma Klejnot.

– To niedobrze. Opowiedz mi o tym.

Opowiedziałem.

– Więc Gerard powtórzył prawidłowo – stwierdził.

– Już zdążył?

– Bez szczegółów – odparł Ganelon. – I chciałem się upewnić, że dobrze zrozumiałem.

Rozmawiałem z nim przed chwilą.

Spojrzał w górę.

– Jeśli dobrze pamiętam pory wschodu księżyca, to chyba powinieneś już ruszać.

Kiwnąłem głową.

– Masz rację. Za chwilę odjeżdżam do schodów. To niedaleko.

– Dobrze. Oto, co powinieneś zrobić...

– Wiem, co powinienem zrobić – przerwałem. – Muszę wejść do Tir-na Nog'th, zanim Brand tam dotrze, i zablokować mu drogę do Wzorca. Jeśli mi się nie uda, muszę znowu go ścigać.

– To nie jest najlepszy sposób – stwierdził.

– A znasz lepszy?

– Owszem. Masz przy sobie Atuty?

– Tak.

– Świetnie. Po pierwsze, nie dostaniesz się tam tak szybko, by nie dopuścić go do Wzorca...

– Dlaczego nie?

– Musisz wejść po stopniach, potem dojść do pałacu i przedostać się do podziemi, do Wzorca. To zajmuje czas, nawet w Tir-na Nog'th., zwłaszcza w Tir-na Nog'th, gdzie czas robi różne sztuczki. Nie wiesz przecież, czy podświadomie nie pragniesz śmierci, a to wydłuży drogę. Ja też nie wiem. W każdym razie, zanim tam dotrzesz, on rozpocznie przejście. Może będzie już za daleko, żebyś go dogonił.

– Prawdopodobnie będzie zmęczony. To go przyhamuje.

– Nie. Postaw się na jego miejscu. Gdybyś był Brandem, czy nie wybrałbyś się do jakiegoś cienia, gdzie czas płynie inaczej? Zamiast jednego popołudnia, miałbyś nawet kilka dni wypoczynku przed dzisiejszą próbą. Bezpieczniej będzie założyć, że jest w dobrej formie.

– Masz rację – przyznałem. – Nie mogę liczyć na jego zmęczenie. W porządku. Istnieje inna możliwość, którą rozważałem, choć wolałbym nie próbować, jeśli da się tego uniknąć. Mogę go zabić na odległość. Zabrać ze sobą kuszę albo jeden z naszych karabinów i po prostu go zastrzelić w centrum Wzorca. Niepokoi mnie tylko działanie naszej krwi. Może szkodzi tylko pierwotnemu Wzorcowi, ale nie wiem na pewno.

– Zgadza się. Nie wiesz – stwierdził. – W dodatku tam, na górze, nie polegałbym zbyt na normalnej broni. To niezwykle miejsce. Sam mówiłeś, że to dziwny skrawek Cienia płynący po niebie. Wymyśliłeś sposób, by karabin strzelał w Amberze, ale tam mogą obowiązywać inne reguły.

– To rzeczywiście ryzyko – przytaknąłem.

– Co do kuszy... Powiedzmy, że nagły podmuch wiatru odchyli każdą strzałę, którą wypuścisz?

– Nie rozumiem.

– Klejnot. Przeszedł z nim przynajmniej część pierwotnego Wzorca i miał dość czasu na eksperymenty. Jak myślisz, czy to możliwe, by był już częściowo dostrojony?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem pewien, jak przebiega ten proces.

– Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że jeśli przebiega właśnie tak, on może to wykorzystać, by się bronić. Klejnot może mieć właściwości, o których nie masz pojęcia. A więc nie liczyłbym na to, że zdołam go zabić na odległość. Nie radziłbym ci nawet polegać znowu na tej sztuczce z Klejnotem, jeżeli on potrafi go w pewnym stopniu kontrolować.

– Prezentujesz sytuację bardziej ponuro, niż ją sobie wyobrażałem.

– Ale może bardziej realistycznie – zauważył.

– Przyznaję. Mów dalej. Podobno masz jakiś plan.

– To prawda. Moim zdaniem nie można dopuścić, by Brand w ogóle osiągnął Wzorzec. Kiedy już

postawi na nim stopę, ryzyko katastrofy gwałtownie wzrasta.

– I sądzisz, że nie zdołam dotrzeć tam przed nim?

– Nie, jeśli naprawdę potrafi przenosić się z miejsca na miejsce prawie natychmiast, a ty musisz iść piechotą. Uważam, że czeka na wschód księżyca, a gdy tylko miasto się pojawi, będzie już wewnątrz, od razu obok Wzorca.

– Dostrzegam problem, ale nie widzę rozwiązania.

– Rozwiązanie polega na tym, że nie pójdiesz dziś wieczór do Tir-na Nog'th.

– Zaraz, chwileczkę!

– Ciszej, do diabła. Sprowadziłeś sobie wybitnego stratega, to lepiej słuchaj, co ma do powiedzenia.

– Dobrze, słucham.

– Przyznałeś, że prawdopodobnie nie potrafisz dotrzeć na miejsce o czasie. Ale ktoś inny potrafi.

– Kto i w jaki sposób?

– Już mówię. Skontaktowałem się z Benedyktem. Wrócił. W tej chwili jest w Amberze, w sali Wzorca. Powinien już go przejść; pewnie stoi teraz w samym środku i czeka. Ty ruszasz do stóp schodów prowadzących do miasta na niebie. Tam oczekujesz wschodu księżyca. Gdy tylko pojawi się Tir-na Nog'th, przez Atut nawiążesz kontakt z Benedyktem. Powiesz, że wszystko gotowe, a on użyje mocy Wzorca i przeniesie się do Tir-na Nog'th. Nieważne, jak szybko podróżuje Brand. Nie może go wyprzedzić.

– Twój plan ma same zalety – pochwaliłem. – To najszybszy sposób dotarcia na górę, a Benedykt jest z pewnością odpowiednim człowiekiem. Nie powinien mieć kłopotów z Brandem.

– Naprawdę sądzisz, że Brand nie poczyni żadnych przygotowań? – zapytał Ganelon. – Z tego, co słyszałem, jest sprytny, chociaż szalony. Mógł przewidzieć coś takiego.

– Możliwe. Domyślasz się, co może zrobić?

Zatoczył ręką krąg, uderzył się w szyję i uśmiechnął.

– Komar – wyjaśnił. – Przepraszam. Złośliwe stworzonka.

– Nadal uważasz...

– Uważam, że powinieneś utrzymywać kontakt z Benedyktem przez cały czas, gdy będzie na górze. Oto, co uważam. Jeśli Brand zacznie zwyciężać, będziesz musiał ściągnąć go z powrotem jak najszybciej, by ocalić mu życie.

– Naturalnie. Ale wtedy...

– Wtedy przegramy rundę. Przyznaję. Ale nie walkę. Nawet z całkowicie dostrojonym Klejnotem będzie musiał się dostać do pierwotnego Wzorca, żeby poważnie nam zaszkodzić. A przy pierwotnym Wzorcu postawiłeś strażę.

– Tak – mruknąłem. – Przemyślałeś wszystko. Zaskoczyłeś mnie tym tempem.

– Miałem ostatnio sporo wolnego czasu, a to niedobrze... chyba że zużyje się go na myślenie. I tak zrobiłem. A teraz sądzę, że powinieneś ruszać jak najprędzej. Dzień nie robi się coraz dłuższy.

– Tak. Dzięki za dobrą radę.

– Zachowaj swoje podziękowania, dopóki się nie przekonamy, co z tego wyjdzie – powiedział i przerwał kontakt.

– To chyba było coś ważnego – stwierdził Random. – Co się dzieje?

– Rozsądne pytanie – odparłem. – Ale nie mam już czasu. Na odpowiedź musisz poczekać do rana.

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Właściwie możesz – przyznałem. – Jeżeli pojedziecie na jednym koniu albo wróćcie do Amberu przez Atut. Potrzebuję Gwiazdy.

– Jasne – zgodził się Random. – Nie ma sprawy.

To wszystko?

– Tak. najważniejszy jest pośpiech.

Podeszliśmy do koni.

Poklepałem Gwiazdę po grzbiecie i wskoczyłem na siodło.

– Spotkamy się w Amberze! – zawołał Random. – Powodzenia.

– W Amberze – przytaknąłem. – Dzięki.

Zawróciłem i podążyłem do stopni. Po drodze przeciąłem cień mego grobu, wydłużający się ku wschodowi.

# Rozdział 13

---

Na najwyższej grani Kolviru jest skała, przypominająca kształtem trzy stopnie. Usiadłem na najniższym i czekałem, aż pojawi się ich więcej. Trzeba do tego nocy i księżyc, więc połowa warunków została już spełniona.

Na zachodzie i północnym wschodzie zbierały się chmury. Trochę mnie niepokoiły. Jeśli były dostatecznie gęste, by całkiem przesłonić światło księżyc, Tir-na Nog'th rozpływało się w nicłość. Dlatego właśnie zawsze należy mieć na dole pomocnika, który wyatutuje cię w bezpieczne miejsce, gdyby miasto nagle zniknęło.

Niebo nad głową było jednak całkiem czyste, pełne znajomych gwiazd. Gdy wszędzie księżyc, a jego promienie padną na kamień, na którym siedziałem, pojawią się schody na niebie, sięgające wysoko w górę, aż do Tir-na Nog'th, obrazu Amberu płynącego przez nocne niebo.

Byłem zmęczony. Zbyt wiele się zdarzyło w tak krótkim czasie. Wypoczynek, zdjęcie butów i rozmasowanie stóp, oparcie głowy nawet o kamień było luksusem, czysto zwierzęcą rozkoszą. Szczelniej okryłem się płaszczem, by powstrzymać chłód wieczoru. Gorąca kąpiel, solidny posiłek i łóżko bardzo by mi się przydały. Lecz spoglądałem na nie jak na mistyczne niemal obiekty.

W tej chwili wystarczał mi w zupełności odpoczynek, jaki tu znalazłem. Myśli płynęły wolno, wracając do zdarzeń minionego dnia.

Tak wiele ich było... Ale teraz znałem przynajmniej niektóre odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Na pewno nie wszystkie. Ale dosyć, by zaspokoić pierwszy głód umysłu. Nareszcie wiedziałem, co zaszło podczas mojej nieobecności, rozumiałem, co dzieje się teraz, co trzeba zrobić i co muszę zrobić ja sam. I miałem wrażenie, że wiedziałem więcej, niż zdawałem sobie z tego sprawę, wiedziałem, że trzymam już elementy pasujące do rosnącego przede mną obrazu, muszę tylko dopasować je, odwrócić, ustawić właściwie. Tempo wydarzeń, zwłaszcza dzisiejszych, nie pozwalało nawet na chwilę zastanowienia. Teraz jednak niektóre kawałki zdawały się układać pod dziwnymi kątami.

Moją uwagę zwróciło jakieś drzenie za plecami, nagle rozjaśnienie powietrza. Obejrzałem się, potem wstałem i spojrzałem na horyzont. Przygotowawczy blask załśnił ponad morzem w miejscu, gdzie miał wzejść księżyc.

Kiedy patrzyłem, pojawił się maleńki skrawek światła. Chmury także przesunęły się kawałek, lecz nie tyle, by budzić niepokój. Podniosłem głowę, ale niebieski fenomen jeszcze nie wystąpił. Mimo to wyjąłem Atuty, przejrzałem je i wybrałem kartę Benedykta.

Zapominając o niedawnej apatii obserwowałem księżyc rosnący nad wodami, rzucający na fale świetlną ścieżkę. Wysoko w górze, na progu widzialności, zamigotały mgliste kształty. Blask nabierał mocy; tu i tam zajaśniała iskra. Ponad głazem pojawiły się pierwsze linie, delikatne jak pajęczce sieci. Wpatrzony w kartę Benedykta spróbowałem nawiązać kontakt.

Zimny wizerunek nabrał życia. Zobaczyłem go w komorze Wzorca, stojącego w samym centrum obrazu. Zapalona latarnia lśniła przy jego lewej stopie. Spostrzegł moją obecność.

– Corwinie – odezwał się. – Czy już czas?

– Niezupełnie – odpowiedziałem. – Księżyc wschodzi. Miasto zaczyna dopiero nabierać kształtów. To już nie potrwa długo. Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś gotów.

– Jestem gotów.

– To dobrze, że wróciłeś akurat teraz. Odkryłeś coś interesującego?

– Ganelon mnie wezwał – wyjaśnił. – Kiedy tylko się dowiedział, co zaszło. Jego plan był dobry i dlatego tu jestem. A co do Dworców Chaosu, to owszem. Chyba odkryłem kilka rzeczy...

– Chwileczkę – przerwałem.

Pasma księżycowych promieni nabrały bardziej materialnego aspektu. Miasto nad głową miało już zupełnie wyraźne kształty. Schody były widoczne w całości, choć w niektórych miejscach słabiej. Wyciągnąłem dłoń ponad drugim stopniem, ponad trzecim... Spokojnie i lekko dotknąłem czwartego stopnia. Miałem wrażenie, że ustępuje pod naciskiem.

– Prawie – powiedziałem Benedyktowi. – Sprawdzę schody.

Skinął głową.

Wspiąłem się na pierwszy, drugi, trzeci stopień. Uniosłem stopę i opuściłem ją na czwarty, widmowy. Poddał się lekko. Bałem się podnieść drugą nogę, więc czekałem, obserwując księżyc. Odetchnąłem chłodnym powietrzem, kiedy narastała jasność i poszerzała się ścieżka przez wody. W górze Tir-na Nog'th utraciło część swej przejrzystości. Gwiazdy przesłoniła mgiełka. Gdy to nastąpiło, stopień stwardniał pod moją nogą. Cała elastyczność zniknęła. Poczulem, że uniesie mój ciężar.

Podążyłem wzrokiem w górę schodów i zobaczyłem je wszystkie, tu półprzejrzyste, tam przezrocyste, migotliwe, ale prowadzące nieprzerwanie aż do milczącego miasta, szybującego ponad morzem. Uniosłem nogę i stanąłem na czwartym stopniu. Gdybym zechciał, kilka kroków posłałoby mnie tym niebiańskim eskalatorem do miejsca, gdzie sny stają się rzeczywistością, gdzie spacerują neurozy i wątpliwe proroctwa, do księżycowego miasta dwuznacznego spełniania życzeń, zwichrowanego czasu i bladego piękna. Zstąpiłem niżej i rzuciłem okiem w stronę księżyca, zawieszzonego teraz ponad mokrą krawędzią świata. Potem, w srebrzystym blasku, spojrzałem na Atut Benedykta.

– Stopnie są twarde, księżyc w górze.

– W porządku. Idę.

Patrzyłem na niego. Lewą ręką podniósł latarnię i przez chwilę stał nieruchomo. W następnym momencie zniknął, a wraz z nim Wzorzec. Jeszcze moment i stał w podobnej komorze, tym razem na zewnątrz Wzorca, niedaleko punktu, gdzie zaczynała się ścieżka. Uniósł wysoko latarnię i rozejrzał się uważnie. Był sam.

Podszedł do ściany, postawił latarnię. Jego cień sięgnął Wzorca i zmienił kształt, gdy Benedykt odwrócił się na pięcie, wracając na poprzednie miejsce.

Zauważyłem, że ten Wzorzec lśnił bledszym światłem niż tamten w Amberze: srebrzystobiałym, ale bez znajomego błękitnego odcienia. Konfiguracja była identyczna, lecz widmowe miasto wyczyniało różne sztuczki z perspektywą. Powstawały zniekształcenia: zwężenia i rozszerzenia zdawały się przemieszczać po powierzchni bez widocznych powodów, jak gdybym patrzył przez krzywą szybę, a nie przez Atut Benedykta.

Zszedłem na dół i znowu usiadłem na najniższym stopniu. Obserwowałem.

Benedykt poluzował miecz w pochwie.

– Wiesz, jaki efekt może wyrzucić krew na Wzorcu? – zapytałem.

– Tak. Ganelon mi mówił.

– Czy podejrzewałeś kiedy... coś takiego?

– Nigdy nie ufałem Brandowi – odparł.

– A co z twoją wyprawą do Dworców Chaosu?

Czego się dowiedziałeś?

– Później, Corwinie. On może się zjawić w każdej chwili.

– Mam nadzieję, że nie pojawią się żadne rozprasające wizje – mruknąłem, wspominając własny pobyt w Tir-na Nog'th i jego rolę w mojej końcowej przygodzie.

Wzruszył ramionami.

– Dajesz im siłę zwracając na nie uwagę. Moja uwaga jest dziś zarezerwowana tylko dla jednej sprawy.

Rozejrzał się po komorze, pilnie obserwując wszystkie zakamarki. Gdy skończył, stanął nieruchomo.

– Ciekawe, czy wie, że tam jesteś? – zastanowiłem się.

– Możliwe. To bez znaczenia.

Przytaknąłem. Jeśli się nie pokaże, zyskamy jeszcze jeden dzień. Straże będą pilnować innych Wzorców, a Fiona może zademonstrować swe umiejętności w sprawach tajemnych, odnajdując dla nas Branda. Wtedy możemy go ścigać. Ona i Bleys potrafili go kiedyś powstrzymać. Czy zdoła dokonać tego samotnie? Czy będzie musiała odszukać Bleysa i przekonać go, by nam pomógł? Czy Brand znalazł Bleysa? A w ogóle, to po diabła Brandowi taka moc? Pragnienie zdobycia tronu mogłem zrozumieć, ale... Ten człowiek był obłąkany i tyle. Szkoda, ale nic nie można poradzić. Dziedziczenie czy wpływ środowiska, zastanawiałem się ponuro. Wszyscy byliśmy w pewnym stopniu szaleni. Trzeba uczciwie przyznać, że to musi być jakaś forma obłądu, by mieć tak wiele i tak zapalczywie walczyć o odrobinę więcej, o minimalną przewagę nad innymi. On po prostu doprowadził tę skłonność do ekstremalnych wymiarów. Był karykaturą manii obecnej w każdym z nas. A w takim razie czy to naprawdę istotne, które z nas jest zdrajcą?

Owszem, istotne. To on zaczął działać. Szalony czy nie, posunął się za daleko. Popełnił czyny, których nie popełniłby Eryk, Julian ani ja. Bleys i Fiona w końcu wycofali się z coraz bardziej niebezpiecznego spisku.

Gerard i Benedykt stali o stopień wyżej niż pozostali – pod względem moralności, dojrzałości, czegokolwiek – ponieważ zrezygnowali z tej gry sił o sumie zerowej. Random bardzo się zmienił w ostatnich latach. Czy to możliwe, że dzieci Jednorożca potrzebowały stuleci, by dorosnąć? Że postępujący z wolna proces jakoś ominął Branda? A może swymi czynami Brand wywołał go u nas? Jak zwykle przy takich pytaniach, korzyść płynęła z ich stawiania, nie z odpowiedzi. Byliśmy dostatecznie podobni do Branda, bym poznał ten szczególny rodzaj lęku, którego nic więcej nie może wywołać. Ale tak, to było istotne. Nieważne z jakich powodów, to on działał.

Księżyc stał teraz wyżej, a jego wizja nakładała się na mój wewnętrzny obraz komory Wzorca. Chmury sunęły po niebie i kłębiły się coraz bliżej księżyca. Pomyślałem, czy nie ostrzec Benedykta, ale to by go tylko rozproszyło.

Tir-na Nog'th płynęło nade mną jak nadnaturalna arka po morzach nocy.

I nagle Brand już tam był.

Dłoń odruchowo sięgnęła do rękojeści Grayswandira, mimo iż wiedziałem, że Brand stoi naprzeciw Benedykta, po przeciwnej stronie Wzorca, w mrocznej komorze na niebie.

Opuściłem rękę. Benedykt natychmiast zauważył obecność intruza i odwrócił się, by stanąć z nim twarzą w twarz. Nie próbował sięgać po broń. Po prostu przyglądał się naszemu bratu ponad Wzorcem.

Najbardziej się bałem, że Brand znajdzie sposób, by zjawić się tuż za Benedyktem i wbije mu sztylet w plecy.

Ja wolałbym tego nie próbować, gdyż nawet w chwili śmierci odruchy Benedykta mogą wystarczyć, by zlikwidować napastnika. Najwyraźniej Brand nie był aż tak szalony.

Uśmiechnął się.



– Benedykt – mruknął. – Zabawne... Ty... Tutaj...

Klejnot Wszechmocy płonął mu na piersi.

– Brandzie – powiedział Benedykt. – Nie próbuj tego.

Nie przestając się uśmiechać, Brand odpiął pas z mieczem i pozwolił, by broń upadła na podłogę.

– Nie jestem durniem, Benedykcie – stwierdził, gdy ucichły echa. – Nie urodził się jeszcze człowiek, który mógłby ci stawić czoło z mieczem w ręku.

– Nie potrzebuję miecza, Brandzie.

Brand ruszył wolno wzdłuż brzegu Wzorca.

– A jednak nosisz go jako sługa tronu, gdy mógłbyś być królem.

– Ta funkcja nigdy nie zajmowała wysokiego miejsca na liście moich ambicji.

– To prawda. – Zatrzymał się w pół drogi. – Lojalny, nie dbający o własne korzyści... Nic się nie zmieniłeś. Szkoda, że tata tak dobrze cię uwarunkował. Mógłbyś zejść wysoko.

– Mam wszystko, czego chcę – odparł Benedykt.

– Tak wcześnie zostałeś przycięty, zduszony.

– Nie przekonasz mnie, Brandzie. Nie zmuszaj mnie, bym cię skrzywdził.

Wciąż z uśmiechem na twarzy Brand ruszył znowu Powoli. Co próbował osiągnąć? Nie rozumiałem jego strategii.

– Wiesz, że potrafię robić to, czego inni nie mogą – oświadczył. – Jeśli jest coś, czego zawsze pragnąłeś i sądziłeś, że nie możesz zdobyć, teraz masz szansę. Powiedz, co to, a przekonasz się, że byłeś w błędzie. Nauczyłem się rzeczy, w które byś nie uwierzył, – Benedykt uśmiechnął się, co było raczej rzadkością.

– Wybrałeś złe podejście – zauważył. – Zawsze mogę przejść do tego, czego pragnę.

– Cienie! – parsknął Brand i znów się zatrzymał. – Każdy z nas potrafi schwycić widmo! Ja mówię o rzeczywistości! Amber! Władza! Chaos! To nie zmaterializowane sny! Nie drugi gatunek!

– Gdybym chciał czegoś więcej, niż mam, wiedziałbym, co robić. Nie robię tego.

Brand zaśmiał się. Znów podjął marsz. Przebył już ćwierć obwodu Wzorca. Jego głos huczał. Klejnot zapłonął jaśniej.

– Jesteś głupcem, jeśli z własnej woli nosisz łańcuchy! Ale jeśli przedmioty nie budzą w tobie chęci posiadania, jeśli nie pociąga cię władza, to może wiedza? Do końca poznałem sztukę Dworkina. Od tego czasu poszedłem dalej i drogo zapłaciłem za wgląd w mechanizmy wszechświata. Możesz go mieć za darmo.

– Będzie miał swoją cenę – stwierdził Benedykt. – Cenę, której nie chcę płacić.

Brand potrząsnął głową i odgarnął włosy. Obraz Wzorca zafalował lekko, gdy strzęp chmury przesłonił księżyc. Tir-na Nog'th przyblakło, by po chwili zogniskować się ponownie.

– Ty naprawdę tak myślisz – Brand widocznie nie dostrzegł chwilowego przygaszenia. – Nie będę więcej wystawiał cię na próbę. Musiałem jednak sprawdzić. – Zatrzymał się znowu i spojrzał. – Jesteś zbyt dobrym człowiekiem, by się marnować w tym bałaganie, bronić czegoś, co już się rozpada. Ja zwyciężę, Benedykcie. Zetrę Amber i zbuduję go na nowo. Wymażę stary Wzorzec i nakreślę własny. Możesz mi pomóc. Chcę, byś stanął przy moim boku. Zamierzam stworzyć doskonalszy świat, z łatwiejszym dostępem do Cienia. Zamierzam połączyć Amber z Dworcami Chaosu. Zamierzam rozciągnąć tę dziedzinę na cały Cień. Będziesz dowodził naszymi legionami, największą potęgą militarną, jaka kiedykolwiek powstała. Mógłbyś...

– Jeśli twój nowy świat ma być tak doskonały, jak twierdzisz, nie będzie potrzebował legionów. Jeśli natomiast ma być odbiciem duszy swego stwórcy, trudno go uznać za doskonalszy od obecnego. Dzięki za propozycję, ale raczej zostanę przy Amberze, który już istnieje.

– Jesteś głupcem, Benedykcie. Masz dobre chęci, ale jesteś głupcem.

Znowu ruszył przed siebie, jakby mimochodem. Był już piętnaście metrów od Benedykta. Dziesięć... Szedł dalej. Wreszcie stanął, jakieś sześć metrów od niego, zaczepił kciuki o pas i patrzył. Benedykt wytrzymał jego wzrok. Sprawdziłem położenie chmur. Skłębiona masa wciąż sunęła w stronę księżyca. Jednakże mogłem ściągnąć Benedykta w każdej chwili. Nie warto mu teraz przeszkadzać.

– Więc czemu nie podejdziesz i nie zabijesz mnie? – spytał w końcu Brand. – Jestem bez broni, więc nie sprawię kłopotów. Co prawda w naszych żyłach płynie ta sama krew, ale to chyba nie robi ci żadnej różnicy? Na co czekasz?

– Powiedziałem już, że nie chcę cię skrzywdzić – odparł Benedykt.

– Lecz nie zawahasz się, jeśli spróbuję przejść obok ciebie?

Benedykt skinął tylko głową.

– Przyznaj, że się mnie boisz, Benedykcie. Nawet kiedy podchodzę nie uzbrojony, coś ściska ci wnętrzności. Dostrzegasz moją pewność siebie i nie pojmujesz jej. Musisz się lękać.

Benedykt nie odpowiedział.

– Boisz się mojej krwi na swych rękach – mówił dalej Brand. – I mojej śmiertelnej klątwy.

– A czy ty bałeś się krwi Martina na swoich? – spytał Benedykt.

– To szczeniak i bękart! – warknął Brand. – Nie był naprawdę jednym z nas. Był tylko narzędziem.

– Brandzie, nie mam ochoty zabijać brata. Oddaj tę błyskotkę, którą nosisz na szyi, i wróć ze mną do Amberu. Nie jest jeszcze za późno, by wszystko naprawić.

Brand odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Co za szlachetne słowa, Benedykcie! Prawdziwego władcy tej ziemi. Twoja prawość mnie zawstydza. A jaki jest główny cel tego wszystkiego? – Poglądził palcem Klejnot Wszechmocy. – To?

– Znów się roześmiał i zrobił kilka kroków do przodu. – Ta zabawka? Jeśli ją oddam, czy kupi nam pokój, przyjaźń i ład? Czy będzie dostateczną zapłatą za moje życie?

Znów się zatrzymał, nie więcej niż trzy metry od Benedykta. Uniósł Klejnot w palcach i spojrzał na niego. – Czy zdajesz sobie sprawę z potęgi tego kamienia? – zapytał.

– Dość te... – zaczął Benedykt i głos uwiązł mu w gardle.

Brand zrobił kolejny krok. Klejnot płonął jasnym blaskiem. Dłoń Benedykta poruszyła się w stronę rękojeści miecza, lecz nie dotknęła jej. Stał sztywno, jak gdyby nagle zmienił się w posąg. Wtedy zacząłem pojmować, ale było już za późno.

Nic, co powiedział Brand, nie miało naprawdę znaczenia. Po prostu gadał cokolwiek, by odwrócić uwagę, gdy szukał odpowiedniej odległości. Rzeczywiście był częściowo dostrojony do Klejnotu, zyskał nad nim częściową kontrolę, lecz to wystarczyło, by wywołać pewne efekty. Nie sądziłem, że takie efekty są możliwe, ale on wiedział o nich od samego początku. Brand starannie wybrał miejsce przybycia. Stanął dość daleko, spróbował Klejnotu, podszedł bliżej, spróbował, znów podszedł, aż wreszcie znalazł punkt, skąd mógł oddziaływać na system nerwowy Benedykta.

– Benedykcie – odezwałem się. – Lepiej będzie, jeśli zejdziesz do mnie natychmiast.

Wyteżyłem wolę, ale on nawet nie drgnął ani nie odpowiedział. Jego Atut wciąż działał, wyczuwałem jego obecność, widziałem, co się dzieje, ale nie mogłem go dosięgnąć. Najwyraźniej Klejnot działał nie tylko na system motoryczny.

Spojrzałem na chmury. Były coraz gęściejsze, sięgały już księżyca. Zdawało się, że wkrótce go przesłonią. Gdy to nastąpi, a ja nie zdołam ściągnąć Benedykta, spadnie do morza, kiedy tylko zgaśnie księżycowy blask i rozwieje się miasto.

Brand! Gdyby wiedział, co się dzieje, mógłby użyć Klejnotu, by rozproszyc chmury. Ale zapewne

wtedy musiałby uwolnić Benedykta. Nie wierzyłem, by się na to zdecydował. A jednak... Chmury chyba trochę zwolniły. Wszystkie przemyślenia mogły się okazać zbędne.

Na wszelki wypadek odszukałem Atut Branda i odłożyłem na bok.

– Benedykcie, Benedykcie – Brand uśmiechał się z pobłażaniem. – Jaki pożytek z najlepszego szermierza, jeśli nie potrafi dobyć miecza? Mówiłem, że jesteś głupcem. Czy sądzisz, że z własnej woli dałbym się zabić? Powinieneś zaufać lękowi, który z pewnością odczuwałeś. Powinieneś wiedzieć, że nie przybędę tu bezbronny. Nie żartowałem mówiąc, że zwyciężę. Chociaż słusznie wybrali właśnie ciebie. Jesteś najlepszy. Naprawdę wolałbym, żebyś przyjął moją propozycję. Teraz to już nieważne. Nie można mnie powstrzymać. Nikt z pozostałych nie ma najmniejszej szansy, a bez ciebie wszystko będzie o wiele łatwiejsze.

Sięgnął pod płaszcz i wyjął sztylet.

– Przeciągnij mnie, Benedykcie! – krzyknąłem, choć bez nadziei. Nie było żadnej reakcji, żadnej energii, by przeatutować mnie na górę.

Chwyciłem kartę Branda. Przypomniałem sobie stoczoną przez Atuty bitwę z Erykiem. Gdybym potrafił uderzyć Branda dość mocno, mógłbym odwrócić jego uwagę, a Benedykt zdołałby się uwolnić. Całą siłę woli skierowałem na kartę, przygotowując potężny atak psychiczny.

Nic z tego. Droga pozostała lodowata i ciemna. Zapewne był tak skoncentrowany na tym, co robił, tak całkowicie złączony umysłem z Klejnotem, że po prostu nie mogłem go dosięgnąć. Na każdym zakręcie blokował mi drogę.

Nagle schody pobladły; nerwowo spojrzałem na księżyc. Macka cumulusa przesłoniła część tarczy. Niech to diabli!

Wróciłem do Atutu Benedykta. Reagował powoli, ale odzyskałem kontakt. Co dowodziło, że gdzieś tam, wewnątrz tego wszystkiego, Benedykt zachował świadomość. Brand zbliżył się o krok i wciąż drwił z niego.

Klejnot na ciężkim łańcuchu płonął blaskiem swej mocy.

Stali może trzy kroki od siebie. Brand bawił się sztyletem.

– Tak, Benedykcie – mówił. – Zapewne wołałbyś zginąć w bitwie. Z drugiej strony możesz to potraktować jako zaszczyt... i symbol. Twoja śmierć będzie początkiem nowego ładu...

Wzorzec za nimi rozmył się na moment. Nie mogłem oderwać oczu od tej sceny, by popatrzeć na księżyc.

Wśród cieni i migotliwego blasku, stojąc plecami do Wzorca, Brand niczego chyba nie zauważył. Zrobił kolejny krok.

– Dość już – oznajmił. – Są sprawy, które muszę załatwić, a noc nie staje się dłuższa.

Zbliżył się o krok i opuścił klingę.

– Dobranoc, słodki książę – powiedział i zamachnął się.

W tym właśnie momencie dziwne, mechaniczne ramię Benedykta, wyrwane z tego miejsca cieni, srebra i księżycowego blasku, poruszyło się z szybkością atakującej kobry. Aparat z połyskliwych, metalicznych płaszczyzn jak fasety klejnotu, nadgarstek cudownego splotu srebrzystego kabla nakrapianego igłami płomieni, stylizowana, szkieletowa szwajcarska zabawka, mechaniczny owad, funkcjonalny, śmiertcionośny, piękny na swój sposób, wystrzelił do przodu z prędkością, za którą nie nadążał wzrok, podczas gdy całe ciało pozostało w bezruchu jak posąg.

Mechaniczne palce schwyciły łańcuch Klejnotu. Ramię natychmiast przesunęło się w górę, unosząc Branda nad podłogą. Wypuścił sztylet i dwoma rękami sięgnął do gardła.

Za jego plecami Wzorzec znów zniknął na chwilę i powrócił o wiele bledszy. W blasku latarni twarz Branda zmieniła się w upiorną, wykrzywioną maskę.

Benedykt stał skamieniały i trzymał go w górze, jak nieruchoma, ludzka szubienica. Wzorzec był coraz słabiej widoczny. Nade mną zaczynały znikać stopnie. Chmury zasłoniły już połowę księżycowej tarczy.

Wijąc się, Brand wyciągnął ręce za głowę i pochwycił łańcuch po obu stronach trzymającej go mechanicznej dłoni. Był silny; wszyscy jesteśmy silni. Widziałem, jak nabrzmiewają i twardnieją mu mięśnie. Twarz miał siną, a szyja była masą naprężonych ścięgien. Przygryzł wargę; krew spływała na brodę, gdy szarpał za łańcuch.

Coś trzasnęło ostro, potem brzęknęło, łańcuch pękł i Brand dysząc ciężko runął na podłogę. Przetoczył się, obiema rękami obejmując szyję. Powoli, bardzo powoli Benedykt opuścił niezwykle ramię. Wciąż trzymał łańcuch i Klejnot. Zacisnął palce drugiej ręki. Odetchnął głęboko.

Wzorzec zbladł jeszcze bardziej. Nade mną Tir-na Nog'th było już przezroczyste. Księżyc znikł niemal zupełnie.

– Benedykcie! – krzyknąłem. – Słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedział cicho i zaczął się zapadać.

– Miasto zanika! Musisz natychmiast wracać!

Wyciągnąłem rękę.

– Brand... – Obejrzał się.

Lecz Brand także się zapadał i widziałem, że Benedykt nie zdoła go dosięgnąć. Chwyciłem go za lewe ramię i pociągnąłem. Obaj padliśmy na ziemię obok głazu.

Pomogłem mu wstać. Potem razem usiedliśmy na skale. Przez długą chwilę żaden z nas nie odzywał się ani słowem.

Spojrzeliliśmy jeszcze raz: Tir-na Nog'th zniknęło.

Przebiegłem myślami to, co tak szybko, tak nagle zdarzyło się dzisiejszego dnia. Czułem ogromny ciężar zmęczenia i wiedziałem, że moja energia jest już na wyczerpaniu, że wkrótce zasnę. Nie mogłem zebrać myśli. Zbyt wiele działo się ostatnio. Oparłem głowę na kamieniu, obserwując chmury i gwiazdy. Klocki łamigłówek... kawałki, które powinny pasować, jeśli tylko zamienię je, poprzestawiam, ułożę we właściwy sposób.

Już teraz zamieniały się miejscami, przesuwały i odwracały, jakby z własnej woli.

– Zginął? Jak myślisz? – zapytał Benedykt, wyrrywając mnie z zadumy.

– Prawdopodobnie. Był w fatalnym stanie, kiedy wszystko się rozpadło.

– Miał długą drogę w dół. Może zdążył znaleźć jakiś sposób ratunku, podobny do metody przybycia.

– W tej chwili to już bez znaczenia – odparłem. – Wyrwałeś mu kły.

Benedykt westchnął. Wciąż trzymał Klejnot, o wiele ciemniejszy niż przed chwilą.

– To prawda – przyznał w końcu. – Wzorzec jest bezpieczny... Chciałbym, by kiedyś, przed laty, nie powiedziano czegoś, co zostało powiedziane, albo nie uczyniono tego, co uczyniono. Czegoś, o czym nie wiedzieliśmy, a co pozwoliłoby mu dorosnąć inaczej, sprawiło, że byłby kimś innym niż ten zgorzkniały, złamany człowiek, jakiego spotkałem tam, w górze. Lepiej, że zginął. Ale to strata czegoś, czym mógł się stać.

Nie odpowiedziałem. To, o czym mówił, mogło, ale nie musiało być prawdą. To bez znaczenia. Brand mógł być skrajnym przypadkiem choroby psychicznej, cokolwiek to oznacza, ale nie musiał. Zawsze są jakieś powody.

Kiedy coś się zapaskudzi, kiedy nastąpi coś obrzydliwego, na pewno istnieje przyczyna. Wciąż jednak trzeba sobie jakoś radzić z zapaskudzoną, obrzydliwą sytuacją, a wytłumaczenie, skąd się wzięła, nie pomaga ani odrobinę. Jeśli ktoś postąpi naprawdę wrednie, zawsze istnieje tego

przyczyna. Możesz jej szukać, jeśli masz ochotę, a dowiesz się, dlaczego taki z niego sukinsyn.

Problem w tym, że nie zmienia to faktów. Brand działał. Pośmiertna psychoanaliza niczego nie zmieniała. Bliźni osądzają nas według czynów i ich konsekwencji. Przy innych kryteriach zyskujesz tylko tanie poczucie moralnej wyższości myśląc, że ty na jego miejscu postąpiłbyś ładniej. Dlatego zostawiam te kwestie niebiosom. Nie mam dostatecznych kwalifikacji.

– Lepiej wracajmy do Amberu – rzekł Benedykt. – Jest jeszcze wiele spraw, których trzeba dopilnować.

– Zaczekaj – powstrzymałem go.

– Na co?

– Zastanawiałem się.

A kiedy nie powiedziałem nic więcej, zapytał:

– I?

Przerzuciłem swoje Atuty, schowałem jego, schowałem Branda.

– Nie myślałeś kiedy, skąd się wzięło twoje nowe ramię? – spytałem.

– Oczywiście. Zdobyłeś je w Tir-na Nog'th, w dość niezwykłych okolicznościach. Pasuje. Działa. Dzisiaj wykazało swoją przydatność.

– Dokładnie. Czy to nie za wielki ciężar, by zrzucić go na czysty przypadek? Jedyna broń, jaka tam, w górze, dawała ci szansę w starciu z Klejnotem. I akurat ona była częścią ciebie. A ty akurat byłeś tą osobą, która czekała tam, by jej użyć. Prześledź wstecz wszystkie fakty. Czy nie nazbyt niezwykły... nie, raczej absurdalny ciąg zdarzeń doprowadził do takiej sytuacji?

– Jeżeli tak na to spojrzeć...

– Ja spojrzałem. I rozumiesz pewnie równie dobrze jak ja, że to coś więcej niż zbieg okoliczności.

– No, dobrze. Zgoda. Ale jak? Jak tego dokonano?

– Nie mam pojęcia – odparłem wyjmując kartę, na którą nie patrzyłem już od dawna. Czulem pod palcami jej chłód i twardość. – Ale nie metoda jest ważna. Zadałaś niewłaściwe pytanie.

– A o co powinienem spytać?

– Nie "jak?", ale "kto?"

– Myślisz, że to ludzki czynnik był przyczyną ciągu zdarzeń, prowadzących do odzyskania Klejnotu?

– Tego nie wiem. Co znaczy: ludzki? Ale myślę, że ktoś, kogo dobrze znamy, powrócił i stoi za tym wszystkim.

– No, dobrze. Kto?

Pokazałem mu Atut.

– Tata? To śmieszne! Na pewno już nie żyje. To już tak długo.

– Wiesz, że potrafiłby tego dokonać. Jest wystarczająco przebiegły. Nigdy do końca nie rozumieliśmy jego mocy.

Benedykt wstał. Przeciągnął się. Pokręcił głową.

– Chyba za długo siedziałeś na zimnie, Corwinie. Wracajmy do domu.

– Bez sprawdzenia? Daj spokój. To żadna zabawa. Siadaj i daj mi jedną minutę. Spróbujmy jego Atutu.

– Na pewno do tej pory już by się z kimś skontaktował.

– Nie sądzę. A nawet... No, Benedykcie. Zrób mi przyjemność. Co mamy do stracenia?

– Zgoda. Czemu nie?

Usiadł przy mnie. Trzymałem Atut tak, żebyśmy obaj go widzieli. Patrzyliśmy. Oczyszcziłem umysł i spróbowałem kontaktu. Nastąpił prawie natychmiast.

Przyglądał się nam z uśmiechem.

– Dobry wieczór. To była dobra robota – powiedział Ganelon. – Cieszę się, że przynieśliście moje świecidełko. Już wkrótce będzie mi potrzebne.

# SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 2](#)

[Rozdział 2. 9](#)

[Rozdział 3. 17](#)

[Rozdział 4. 23](#)

[Rozdział 5. 32](#)

[Rozdział 6. 39](#)

[Rozdział 7. 44](#)

[Rozdział 8. 49](#)

[Rozdział 9. 57](#)

[Rozdział 10. 66](#)

[Rozdział 11. 72](#)

[Rozdział 12. 82](#)

[Rozdział 13. 89](#)